

O CO CHODZI
HOŁOWNI

SAPIEHA, WOJTYŁA
I TAJEMNICE TECZEK

POWIEŚCI HISTORYCZNE,
KTÓRE WARTO CZYTAĆ

Kraków 5 marca 2023 nr 10 (3843)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Joe Biden i nowa mapa świata



**Prawda nie obroni
się sama.
Przekaż wsparcie
na**prawdę****

1,5%

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Przekaż 1,5% podatku
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

» KRS 0000 125 605

KS. ADAM

Boniecki: Wzgórze Świątynne

BEN-GVIR, OD NIEDAWNA MINISTER BEZPIECZEŃstwa wewnętrznego Państwa Izrael, odwiedził w styczniu tego roku Wzgórze Świątynne/Haram al-Shafir. Czemu to jest takie ważne? Tak, to miejsce dla Żydów jest święte: tam stały dwie świątynie Izraela i tam ma stanąć kolejna, związana z odkupieniem. Ale dla islamu stojący teraz na Wzgórzu Świątynnym meczet Al-Aksa to trzecie najważniejsze miejsce święte, po Mekce i Medynie.



O tym opowiada artykuł Zuzanny Radzik w bieżącym numerze „Tygodnika”.

Niedawna wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych Joeego Bidena w Kijowie wzbudziła entuzjazm, lecz nie rozwiązała problemów, które stwarza ta wojna. Putin dysponuje ogromnymi możliwościami, tak jeśli chodzi o ludzi, jak i o środki materialne. Czy Ukraina będzie w stanie temu się oprzeć? To, że do tej pory jest, to skutek jej hartu ducha, ale i wynik solidarności wielu krajów.

Wojna, która narusza wszystkie przyjęte przez cywilizowany świat zasady, przeraziła tak wiele z nich. I tak wielu nie przeraziła. Donald Trump zapowiada, że wystartuje w kolejnych wyborach przeciw Bidenowi i dogada się z Rosją. Będzie „siłą pokoju, wbrew rządzącej teraz w Stanach partii wojny”.

Wojna o meczet Al-Aksa byłaby dla nas niezrozumiała, ale czy niemożliwa? Przecież istnieje – choć nie jest ani przemożne, ani powszechne – pragnienie odbudowania świątyni Izraela. Nie, wojna o rekonstrukcję świątyni Heroda nie wybuchnie. Tymczasem nie. Może w międzyczasie samo niebo ześle trzecią świątynię i tak ją usytuuje, że niczego nie trzeba będzie burzyć ani nikogo wykluczać. ©P

Izraelska świątynia została zburzona przez Rzymian w roku 70. W jej miejscu kalif Abd al-Malik, po zdobyciu miasta, zbudował (w 691 lub 692 r.) Kopułę Skały. Wielka świątynia muzułmańska do dziś pozostaje pod zarządem islamskiego funduszu powierniczego, co potwierdza zapis traktatu pokojowego z Jordanią z 1994 r. Istnieją ruchy dążące do odbudowy świątyni (czyli zburzenia meczetu), lecz nie wydają się one na razie istotne. Za to dyskusja nad tym, czy trzecia świątynia ma być dana z nieba, czy wzniesiona przez ludzi, trwa, choć nie wydaje się niebezpieczna. Bez względu jednak na to, czy kwestia odbudowy wyjdzie ze sfery projektów niektórych marzycieli, czy nie, wizyta ministra Ben-Gvira na Wzgórzu Świątynnym może mieć poważne konsekwencje.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to nowy newsletter „Tygodnika Powszechnego”. Codziennie rano, od poniedziałku do piątku, wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.

Zapisz się pod adresem powszech.net/pobudka i bądź na bieżąco z tym, co najlepsze na TygodnikPowszechny.pl



zapisz się!



20 Radykalne centrum ROZMOWA Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ:

Demokratyczna opozycja nie może stać się grupą rekonstrukcyjną rzeczywistości sprzed 2015 roku. Wyborcy nie zrezygnują z „dzisiaj” na rzecz tego, co było „wczoraj”. Zrobią to tylko dla „jutra”.



42 Dlaczego ja?

PAWEŁ PIENIAŻEK Z FRONTU W OBLUDZIE DONIECKIM (UKRAINA):

Wojskowi medycy codziennie ratują rannych żołnierzy na froncie. Ich życie zależy od tego, jak szybko uda się im udzielić pierwszej pomocy i przewieźć na tyły do szpitala.

32 Sapieha, Wojtyła i tajemnice teczek

ARTUR SPORNIĄK

Materiały historyczne na temat erotycznych zachowań kard. Sapiehy są na tyle poważne, że wymagają dalszego badania. Czy jednak są podstawy, aby budować na nich hipotezę o molestowaniu Wojtyły przez Sapiechę?



58 Ogórek czy winogrono MARTA ALICJA TRZECIAK

Równy podział, nagradzanie wedle zasług lub potrzeb, dążenie do harmonii czy korygowanie nierówności? Każdą z tych wersji sprawiedliwości można odnaleźć w królestwie zwierząt.

78 Cicho, ciało!

ROZMOWA

Z PATRYCJĄ

BEREZNOWSKĄ,

MISTRZYNIA

ŚWIATA W BIEGU

48-GODZINNYM:

Biegło nas dwie. Ja i jakby narratorka, która obserwowała mnie z lotu ptaka.

Kiedy słabłam, ona mówiła: daj spokój, to tylko mózg wymięka.

Zmęczenie to ściema. Nie istnieje.



62 Zgubione pióra

BARTOSZ HLEBOWICZ

Obsypana nagrodami książka tubylczej reporterki wprowadza nas w świat kanadyjskich Indian. Czy ich los jest przesądzony? Czy demony nigdy ich nie opuszczą?

6 Duda w roli dżokera
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Radykalne centrum
ROZMOWA Z SZYMONEM HOŁOWNIĄ

25 Sama się prosiła
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
*Przemoc na wsi działa tak samo
destrukcyjnie jak w mieście,
ale charakter stosunków społecznych
powoduje, że trudniej się wyzwolić
z toksycznych relacji*

28 Sprawę załatwimy, ale później
ANNA GOC: *Komendy policji, ośrodki
zdrowia oraz urzędy powinny być
dostępne dla wszystkich. Głusi
o swoje prawa wciąż walczą, często
bezszykownie*

■ ■ WIARA

**32 Sapieha, Wojtyła i tajemnice
teczek**
ARTUR SPORNIAN

36 Trzecia świątynia i trzy religie
ZUZANNA RADZIK: *Dlaczego
wizyta na Wzgórzu Świątynnym
izraelskiego ministra bezpieczeństwa
wzbudziła tak silny sprzeciw
zarówno Palestyńczyków, jak części
Izraelczyków?*

38 Płacz Boga
WACŁAW OSZAJCA SJ:
*Wypowiadane w kontekście religijnym
słowa nie są niewinne*

■ ■ ŚWIAT

42 Dlaczego ja?
PAWEŁ PIENIAŻEK

TEMAT TYGODNIKA



12 Trzecia połowa świata

MARCIN ŻYŁA

Joe Biden mówi o starciu wolności
z tyranią i nie ustępuje przed
Rosją. Ale reakcji na wojnę
w Ukrainie nie da się sprowadzić
do łatwego podziału „z nami
albo przeciw nam”.

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI

41 ZUZANNA RADZIK

53 ELIZA KĄCKA

76 OLGA DREND

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: JOE BIDEN, LISTOPAD 2021 R.
FOT. JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

46 Jaka piękna katastrofa

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA:
subiektywny portret stolicy Niemiec

**50 Wszystkie drogi prowadzą
do Wilna**

TOMASZ OTOCKI: *Jubileusz 700-lecia
miasta zbiega się ze zmianą: z funkcją
mera żegna się znany liberalny polityk*

■ ■ HISTORIA

54 Jak Finowie wyszli z lasów
WOJCIECH WOŹNIAK Z HELSINKI:
*W Finlandii trwa złota epoka, która
zaczęła się pod koniec XX wieku.
Szukając jej przyczyn, trzeba sięgnąć
do przeszłości*

■ ■ NAUKA

58 Ogórek czy winogrono
MARTA ALICJA TRZECIAK

■ ■ KULTURA

62 Zgubione pióra
BARTOSZ HLEBOWICZ

66 Historie nieoklepane
PIOTR KOFTA: *Od powieści
historycznych uginają się półki
w księgarniach. Okładki: on i ona, a w tle
wicher dziejów. Nie da się tego czytać*

70 Przytul Kijów, przytul wieczność
ROZMOWA Z OLEHEM SHPUDEIKĄ:
*Im lepiej Zachód zrozumie, czym jest
ukraińska kultura, tym szybciej odrzuci
narrację o „bratnich narodach”*

74 Czador i podszełka
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Holy Spider”

75 Rytuał
LEKTOR o książce Marce Blocha
„Królowie cudotwórcy. Studium
o nadprzyrodzonym charakterze
przypisywanym władzy królewskiej
zwłaszcza we Francji i Anglii”

■ ■ ZMYŚŁ

78 Cicho, ciało!
ROZMOWA Z PATRYCJĄ BEREZNOWSKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Ranking wolności i tyranii [STRONA ŚWIATA]

Mieszkańcy Azji Środkowej, uchodzącej od stuleci za oazę tyranii i korupcji,
mają w końcu powody do zadowolenia – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
| tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Chiny i wojna w Ukrainie

Chiny mogłyby zmusić Moskwę do zakończenia wojny.
Kłeska wywołać może jednak w Rosji chaos
– pisze **PIOTR BERNARDYN** | powszech.net/chiny-ukraina

Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA



OBRAZ
TYGODNIA

DUDA W ROLI DŻOKERA

Marginalizowany przez lata prezydent podniósł głowę. Nie ma ochoty na emeryturę, jaką przewidział dla niego Jarosław Kaczyński. Będzie walczył o silną pozycję na prawicy.

MAREK KĘSKRAWIEC

WNIOSEK ANDRZEJA DUDY, SKARŻĄCY ustawę o Sądzie Najwyższym, liczy aż 107 stron i podważa nie tylko tzw. test niezawisłości jako podstawę do kwestionowania prezydenckich nominacji oraz niekonstytucyjną próbę przeniesienia spraw dyscyplinarnych do NSA. Opinia prezydenta jest miażdżąca do tego stopnia, że warto zastanowić się nad strategią jej autora. Bardziej logiczne wydawałoby się zawetowanie ustawy, która miała być owocem kompromisu pomiędzy rządem i Komisją Europejską, i którą udało się PiS-owi przepchnąć przez

parlament także dzięki opozycji. Problem w tym, że uchwalanych przepisów nie dano wcześniej do akceptacji Kancelarii Prezydenta.

Wydaje się, że Duda uznał to za afront i postanowił całą ustawę wysadzić w powietrze, ale tak, by samemu jak najmniej na tym stracić. Weto czyniłoby go odpowiedzialnym za fakt, że przed jesiennymi wyborami do Polski nie trafi ani grosz ze 160 mld zł, jakie zostały zarezerwowane dla nas w ramach KPO. Tymczasem dla PiS niedowieszenie tych funduszy oznacza wstrzymanie strategicznych projek-

Joe Biden i Andrzej Duda podczas spotkania z przywódcami Bukaresztańskiej Dziewiątki (członków NATO z krajów Europy Środkowo-Wschodniej). Warszawa, 22 lutego 2023 r.

tów i brak dodatkowych środków na wyborcze obietnice. To zaś może oznaczać koniec długiego okresu sprawowania władzy przez partię Jarosława Kaczyńskiego.

Prezydent mógł ustawę podpisać zgodnie z życzeniami PiS (a także dużej części opozycji, która nie głosowała przeciw) i dopiero potem złożyć wniosek do Trybunału. Nadal nie byłoby wtedy pewności, czy miliardy z UE zaczęłyby spływać do Polski, gdyż Komisja zapowiedziała, że z wypłatą wstrzyma się do oceny, jak nowe prawo zafunkcjonuje w praktyce. Niemniej nie dałoby się przy takim scenariuszu obarczyć Andrzeja Dudy odpowiedzialnością za fiasko starań o KPO. W co tak naprawdę gra więc prezydent?

Z rozmów „Tygodnika” z ludźmi związanymi z Pałacem Prezydenckim oraz siedzibą PiS na Nowogrodzkiej wynika, iż w partii Kaczyńskiego zrodziły się obawy, że ledwie 51-letni Andrzej Duda zaczął grać na siebie i jednak ma plany na czas po tym, jak za dwa lata zakończy swą misję. Wcześniej uważano, że potulnie odejdzie na emeryturę; w partii przeważała opinia, że Kaczyński tak umiejętnie dobrał kandydata, by nawet po 10 latach prezydentury nie zagroził jego pozycji na prawicy.

Będzie jednak inaczej. Inwazja Rosji na Ukrainę, ale również – to trzeba przyznać – zdecydowana postawa władz naszego państwa sprawiły, że Polska na arenie międzynarodowej zaczęła być ważnym podmiotem. W efekcie wzrosła też rola Dudy, który jako głowa państwa i zwierzchnik sił zbrojnych gra dziś w superlidze, spotykając się na naradach z najważniejszymi postaciami światowej polityki. Nie musi, jak wcześniej, starać się o wspólne zdjęcia z Joe Bidenem i przywódcami NATO oraz UE. To dzieje się teraz samoczynnie.

Dla Dudy, któremu prezes PiS nigdy nie okazywał szacunku, odesłanie ustawy o SN do Trybunału jest jak akt zemsty. Trwa tam bowiem rozgrywka między ludźmi Ziobry i Kaczyńskiego, a w jej efekcie już ośmiu z piętnastu sędziów nie uznaje Julii Przyłębskiej za prezeskę TK. I nawet jeśli PiS wierzy, że sprawa ustawy o SN trafi na wokandę w marcu, to nie ma żadnej gwarancji, kiedy zostanie rozstrzygnięta z uwagi na duży zakres uwag prezydenta. Dla niego samego sprawa jest już zamknięta: przy okazji złożenia wniosku poradził sędziom TK, by się „odkłócili” i „wzięli do roboty”. A podczas wizyty Bidena w Polsce podał rękę Donaldowi Tuskowi. Z pozoru te dwa fakty nie mają związku, jednak z naszych informacji wynika, że Duda zrobił to z premiedytacją, gdyż ma zamiar uprawiać politykę, nie oglądając się na fobie lidera PiS. Widzi wyraźnie, że Kaczyński się starzeje, traci autorytet, grozi mu klęska wyborcza i erozja środowiska. Wiele wskazuje na to, że Andrzej Duda chce walczyć o rząd dusz na prawicy. ©

Mamy pierwszą umowę na atom



KRZYSZTOF STORY

SPÓŁKA POLSKIE ELEKTROWNIE Jądrowe podpisała pierwszą komercyjną umowę na projekt i budowę elektrowni atomowej. Amerykańska firma Westinghouse ma wspólnie z PEJ opracować 10 kluczowych obszarów, m.in. model finansowania inwestycji, ocenę bezpieczeństwa, identyfikację potencjalnych dostawców (z naciskiem na firmy z Polski), a także ocenę kosztu całości. Pracownicy Westinghouse poświęcą na to 100 tys. godzin.

Umowa pomostowa to ważny krok w stronę budowy pierwszej jądrowki w kraju. Docelowo w nadmorskiej gminie Choczewo mają stanąć trzy reaktory AP 1000 o łącznej mocy 3750 MW. Według planów rządu pierwszy ma zacząć działać w 2033 r. Ambitnych zapowiedzi nie boi się minister aktywów państwowych Jacek Sasin, który stwierdził, że jeszcze w tym roku zostanie podpisana międzyrządowa umowa z Koreą Południową. Pochodząca stamtąd firma KHNP ma zbudować w Pątnowie drugą elektrownię jądrową we współpracy z PGE i prywatną spółką energetyczną ZE PAK. Sasin określił 2035 r. jako „realny” termin jej otwarcia. Deklaracja jest ambitna (delikatnie mówiąc) dlatego, że o drugim programie jądrowym wciąż wiemy niewiele, a do pod-

pisywania komercyjnych kontraktów długa droga.

Niezależnie jednak od realności terminów, w energetyce jądrowej zaczyna się dziać coraz więcej i poważniej. Poparcie społeczne dla atomu jest rekordowo wysokie: badanie z listopada 2022 r. pokazuje, że 86 proc. Polaków popiera tę inwestycję (o 12 p.p. więcej niż rok wcześniej), a ponad 70 proc. nie przeszkadzałaby nawet elektrownia w pobliżu własnego domu. Podobne nastroje panują nie tylko w Polsce i nie tylko wobec atomu, ale także wobec każdej energii, która nie wymaga sprowadzania z zagranicy ropy, węgla i gazu. Rosyjska agresja na Ukrainę okazała się dużo większą motywacją do zmian niż postępujący kryzys klimatyczny. W zeszłym roku na świecie wydano na transformację energetyczną rekordową sumę 1,3 biliona dolarów (wzrost o ponad 20 proc.). W Europie (według ostatniego badania Eurobarometr) 86 proc. pytanym uważa, że powinniśmy jeszcze więcej inwestować w odnawialne źródła energii.

Poza klimatem i wojną Polska ma jeszcze jeden powód do pośpiechu w pozbywaniu się węgla i gazu – troskę o własną gospodarkę. W tym tygodniu opłaty za emisję tony CO² w Europie po raz pierwszy przekroczyły psychologiczną barierę 100 euro. ©

Unia analizuje katastrofę na Odrze

„**LATO 2022 R.** dla wielu było dzwonkiem alarmowym” – tak zaczyna się unijny raport podsumowujący ubiegłoroczną katastrofę na Odrze. Dokument przygotowany przez Komisję Europejską i Europejską Agencję Środowiska na podstawie polskich i niemieckich badań jasno stwierdza to, czego ciężko było się doszukać w raporcie polskiego rządu: „Kluczowym czynnikiem (...) było wysokie zasolenie Odry, prawdopodobnie wywołane, przynajmniej częściowo, zrzutami przemysłowych ścieków o dużej

zawartości soli, np. z działalności górniczej”. Autorzy podkreślają, że historia Odry może być przyszłością wielu europejskich rzek, jeśli nie wyciągniemy wniosków z katastrofy. Te zaś są proste do wyliczenia i trudne w realizacji: budowa systemu monitoringu jakości wód, zaostreżenie przepisów pozwalających na wylewanie ścieków do rzek oraz przemysłenie na nowo roli ich regulacji, zwłaszcza obiektów spalniających sztucznie przepływ wody, umożliwiając np. namnożenie się toksycznych glonów. Niezależnie od naukowych raportów, w Polsce nadal toczy się prokuratorskie śledztwo w sprawie katastrofy – przesłuchano ponad 400 osób, nikomu nie postawiono zarzutów. ©

Wiele hałasu o WIBOR

MAREK RABIJ



53 – TYLE BŁĘDÓW PRZY WYLICZANIU stawki WIBOR wykryli pracownicy zajmującej się tym problemem spółki GPW Benchmark. Liczba robi wrażenie, bo chodzi przecież o wskaźnik używany przez banki do wyliczania oprocentowania kredytów, a w przebadanym okresie 36 miesięcy wartość samych umów hipotecznych przekroczyła w Polsce 150 mld zł. Z drugiej strony odnotowane pomyłki były tak drobne, że nie wpłynęły w zauważalny sposób na koszt kredytu; kilka razy pomyłono się zresztą również na korzyść klientów. Na polski sektor bankowy padł jednak błędy strach. Czy uzbrojeni w takie informacje klienci nie ruszą przypadkiem do sądów z pozwami o unieważnienie kredytów zło-tówkowych – jak robią to frankowicze?

W 2021 r. – kiedy stopy procentowe w Polsce były jeszcze bliskie zeru – aż 256 tys. osób zdecydowało się pożyczyć w banku pieniądze na mieszkanie. Łącznie zadłużyliśmy się wtedy na 86 mld zł. Część kredytobiorców wpadła w ten sposób w finansową pułapkę, bo gwałtowny wzrost stóp procentowych z 0,25 do 6,75 proc. i skorelowanego z nimi WIBOR-u powodował skok miesięcznej raty nawet o 100 proc. Banki wygrały natomiast los na loterii. Problem w tym, że może on teraz okazać się biletem do piekła: po zaksięgowanych już zyskach z wyższych odsetek może zostać tylko wspomnienie, a ich miejsce zajmą wysokie koszty procesów sądowych.

Fala pozwów frankowych jest bowiem sygnałem, że klienci przestali traktować kredyt jak sprawiedliwy dług, czyli rodzaj honorowego zobowiązania. Widzą w nim raczej rodzaj usługi, którą można wypowiedzieć z chwilą, kiedy staje się to tylko wykonalne. W znacznej mierze za zmianę tego nastawienia odpowiadają sami bankowcy, którzy serią działań z pogranicza legalności (oprócz spraw frankowych warto też przypomnieć poliso-lokaty, a wcześniej aferę z opcjami walutowymi, które pogrzyły wiele firm) zniszczyli zaufanie, jakim ich branża cieszyła się jeszcze na początku XX w. W rezultacie przeciętny posiadacz kredytu, śledząc w sumie nieistotną techniczną wpadkę z WIBOR-em, nie zadaje już sobie pytania, czy wypada mu wykorzystywać ją na swoją korzyść. Raczej szacuje szanse na wygraną. ©P

KRAJ W SKRÓCIE

KUREK ZAKRĘCONY

Rosja wstrzymała dostawy ropy naftowej do Polski. PKN Orlen poinformował, że jest przygotowany na taką sytuację, a dostawy do rafinerii spółki mogą odbywać się w całości drogą morską.

KUREK ODKRĘCONY

Budżet 45 nowych podmiotów, powołanych przez PiS od momentu objęcia władzy, to 37 mld zł. „Rzeczpospolita” zauważa, że wiele z tych agencji, instytutów czy akademii dubluje kompetencje istniejących instytucji, a kierownicy stanowiska dostają działacze PiS.

WOKÓŁ KURKA

Zarząd hojnie dotowanego przez władze, kierowanego przez Roberta Bąkiewicza Stowarzyszenia Marsz Niepodległości wykluczył Roberta Winnickiego i Krzysztofa Bosaka, ci jednak kwestionują tę decyzję – uważają, że to Bąkiewicz został odwołany przez walne zgromadzenie. Ciąg dalszy nastąpi.



ANDRZEJ IWANCZUK / REPORTER

WOKÓŁ MEDALU

„Gratulujemy wspaniałego sukcesu!!! Dziękujemy!!! Uściski, brawa i podziękowania dla całej Ekipy!” – napisał Andrzej Duda do Piotra Żyty po zdobyciu przez niego tytułu mistrza świata na skoczni w Planicy. Premier Morawiecki w swoich gratulacjach był bardziej powściągliwy: w trzech zdaniach znalazły się tylko trzy wykrzykniki, o cztery mniej niż u prezydenta.

Ukraińcy w Polsce rok po inwazji

W NASZYM KRAJU pozostaje wciąż ok. 1,3 mln ukraińskich uchodźców, którzy uciekli przed inwazją Rosji, a 1,5 mln wyrobiło sobie numer PESEL – podało MSWiA. Równocześnie, według szacunków rządu, z gościnności polskich rodzin skorzystało w ciągu ostatniego roku w sumie 1,6 mln Ukraińców, zaś 500 tys. przeszło przez miejsca zbiorowego zakwaterowania – spora część z tej puli pojechała dalej na Zachód bądź wróciła do Ukrainy. Dzięki danym dotyczącym nowych numerów PESEL wiadomo, że najwięcej uchodźców (105 tys.) trafiło do Warszawy, zaś na kolejnych miejscach znalazły się: Wrocław (ponad 44 tys.), Kraków (ponad 31 tys.), Poznań (26 tys.) i Gdańsk (17 tys.).

Zdecydowana większość przybyszów zza wschodniej granicy to kobiety z dziećmi, co sprawiło, że zmieniła się nie tylko liczba Ukraińców w Polsce, ale też profil tej grupy – więcej jest w niej osób młodych, w stosunku do okresu sprzed lutego 2022 r. wzrosła też liczba tych z wyższym wykształceniem. Liczbę przebywających nad Wisłą ukraińskich dzieci szacuje się na 700-800 tysięcy (z danych NFZ za rok 2022 wynika, że 2,5 tys. z nich urodziło się już na terenie Polski), z czego około 200 tys. uczęszcza do polskich szkół. ©P PW

Barczewo znów pod lupą

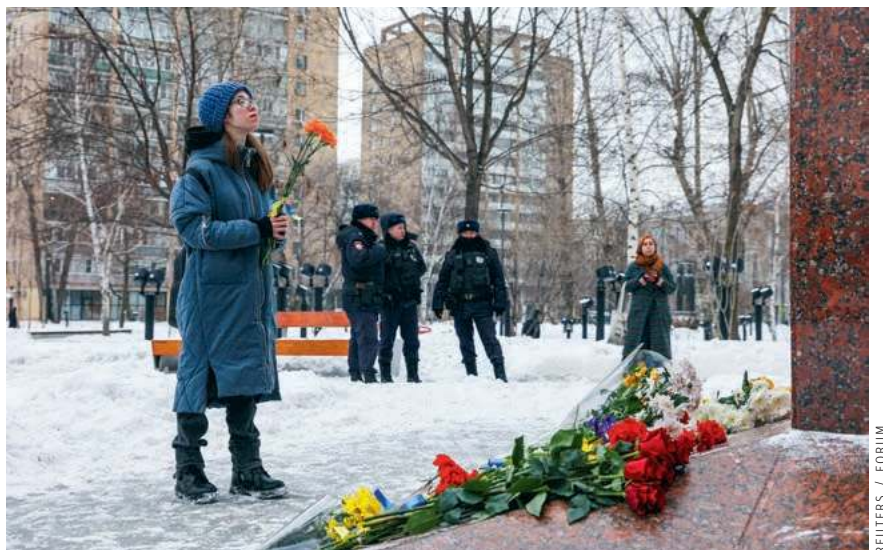
PODCZAS PONOWNEJ KONTROLI Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur w więzieniu w Barczewie kolejni osadzeni odważyli się mówić o przypadkach tortur. Pierwszy raport, po zeszłorocznej kontroli (pisaaliśmy o tym w „TP” 7/2023), przyniósł opisy drastycznych praktyk stosowanych w celu utrzymania dyscypliny.

Tym razem jeden z osadzonych złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Twierdzi, że był podduszany, bity po twarzy, kopany i rzucany na podłogę. Delegaci KMPT przekazali sprawę do Zespołu Prawa Karnego RPO. O podobnych metodach mówili kontrolerom również inni osadzeni, ale nie zdecydowali się na oficjalne zawiadomienie z obawy o bezpieczeństwo.

Ustalono również, że korespondencja osadzonych nie była rejestrowana i nie otrzymywali oni potwierdzenia nadania. Odbierało to im możliwość złożenia skargi na instytucję, a prawo skargi to jedno z podstawowych praw przysługujących więźniom.

Pełen raport dostępny jest na stronie biura RPO.

©P JACEK TARAN



REUTERS / FORUM

UKRYTY wśród moskiewskich bloków pomnik Łarysy Petriwny Kosacz-Kwitki stał się miejscem cichego protestu Rosjan wobec inwazji na Ukrainę. Kilka tygodni temu pod pomnikiem ukraińskiej poetki zatrzymano Jekaterinę Warenik z transparentem „Ukraińcy nie są naszymi wrogami, ale naszymi braćmi”; w rocznicę ataku policja regularnie usuwała sprzed postumentu kwiaty i pluszowe zabawki. Moskwa, 24 lutego 2023 r. © M O

Chiński plan dla „ukraińskiego kryzysu”

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO



ZAPOWIADANEJ „MOWY POKOJOWEJ” chińskiego przywódcy Xi Jinpinga, który miał wygłosić w rocznicę inwazji Rosji na Ukrainę, pozostał jedynie wydany przez chińskie MSZ dokument „Stanowisko Chin dotyczące politycznego rozwiązania ukraińskiego kryzysu”. Jego istotę zawierają dwa pierwsze z dwunastu punktów. Pekin podtrzymuje zasadę suwerenności i integralności terytorialnej państw – co można traktować jako ukłon w stronę Ukrainy (i stwierdzenie przynależności Tajwanu do Chin) – ale zaraz potem mowa o „porzuceniu zimnowojennej mentalności” i uszanowaniu interesów bezpieczeństwa innych krajów, co stanowi łatwą do rozszyfrowania krytykę NATO i USA, mających prowokować Rosję do działań zbrojnych.

Zachowanie Chin jest niezmiennie: formalnie prezentują neutralność, a w istocie sprzyjają Moskwie. Od roku Xi nie znalazł czasu na rozmowę z Zełenskim, za to wielokrotnie rozmawiał z Putinem. Z kolei obłożona sankcjami Rosja coraz bardziej uzależnia się gospodarczo od Chin. Wymiana handlowa wzrosła przez rok do 190 mld dolarów, tj. o jedną trzecią. Chiny kupują korzystnie dużo więcej rosyjskiej ropy i gazu,

w zamian oferując np. półprzewodniki, których eksport do Rosji skoczył ponad dwukrotnie.

Tymczasem Amerykanie poinformowali właśnie o chińskich planach dostarczania broni Rosjanom, co, jak od początku konfliktu ostrzega Waszyngton, spotka się z wprowadzeniem sankcji na Państwo Środka. Podczas niedawnej konferencji nt. globalnego bezpieczeństwa w Monachium Pekin mógł usłyszeć o identycznym stanowisku UE.

Chiny są jedynym krajem, który mógłby szybko zmusić Moskwę do zakończenia wojny – wystarczy groźba odcięcia gospodarczej kropelki. Porażka militarna wywołać może jednak w Rosji chaos albo demokratyzację, czego Pekin nie chce. Dla Rosji, najlepiej osłabionej, widzi on miejsce w swojej konfrontacji z Zachodem. Na stole leży jednak projekt transformacji międzynarodowego ładu, który Xi i Putin prezentowali w przededniu pekińskiej olimpiady – przewiduje on koniec hegemonii USA, świat wielobiegunowy i forsowanie własnej definicji demokracji i praw człowieka. ©

Więcej o polityce Chin wobec wojny: powszech.net/chiny-ukraina

W Izraelu znów niespokojnie

NA ULICE izraelskich miast wciąż wychodzą tłumy. Przeciw planowanej przez skrajnie prawicowy rząd reformie sądownictwa demonstrowano w Jerozolimie, Tel Awiwie i kilkadziesiąt innych miejscowościach. W protestach biorą udział osoby różnych poglądów politycznych i środowisk, także z dziedzin najdroższych Izraelowi: świata gospodarki, w tym hi-tech, armii, byli pracownicy Szin Betu, policji i weterani wojenni.

Celem reformy jest ograniczenie władzy sądów, zdaniem prawodawców zbyt rozległej. Rząd podjął już kolejne kroki w celu reformy sądownictwa. Pracuje nad projektem ustawy ograniczającym zdolność izraelskiego prokuratora generalnego do uznania premiera za niezdolnego do sprawowania urzędu (w sytuacji, w której wobec Netanjahu toczy się proces korupcyjny). Kolejny projekt przewiduje wprowadzenie klauzuli umożliwiającej Knesetowi uchylanie decyzji Sądu Najwyższego niewielką większością głosów. W toku są również prace nad „prawem Dery’ego” (umożliwiającym Arye Dery’emu, prominentnemu politykowi koalicji, powrót do sterów w ministerstwach zdrowia i spraw wewnętrznych mimo wcześniejszych wyroków skazujących i niedawnego skandalu z unikaniem płacenia podatków). Kontrowersje budzą też inne pomysły: próba przejęcia przez rząd sterów izraelskiej Biblioteki Narodowej, a także „prawo chametza”, przewidujące zakaz wnoszenia do szpitali chleba podczas święta Pesach (które pokazuje próbę wprowadzenia prawa religijnego w obręb świeckich instytucji).

Coraz bardziej wrze też na Zachodnim Brzegu. Dwóch braci z żydowskiego osiedla zostało zamordowanych w Huwarze pod Nablusem. W odwecie żydowscy osadnicy zaatakowali mieszkańców Huwary, podpalając drzewa, samochody i jeden dom. Izraelska armia i policja na wiele godzin straciły panowanie nad wydarzeniami, które liberalne media w Izraelu określiły mianem pogromu, w których stracił życie Palestyńczyk.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

z Tel Awiwu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MODLITWA

W pierwszy piątek Wielkiego Postu w Polsce odbyły się nabożeństwa w ramach siódmego Dnia Modlitwy i Pokuty za grzech wykorzystania seksualnego małoletnich. Tekst Drogi Krzyżowej i rozważania modlitwy różańcowej opracowały osoby skrzywdzone przez księży.

KRZYŻY

„Wiara, która nie wprowadza nas w kryzys, jest wiarą w kryzysie. Tak jak wiara, która nie pozwala nam wzrastać, jest wiarą, która musi wzrastać” – zauważa Franciszek w książce „El Pastor”, zawierającej rozmowy przeprowadzone z nim na 10-lecie pontyfikatu przez argentyńskich dziennikarzy.

PROŚBA

Joe Biden poprosił augustianina o. Wiesława Dawidowskiego o modlitwę, ponieważ – jak wyjaśnił – stoi przed trudnymi decyzjami. Uczynił to po mszy, którą warszawski duszpasterz środowisk anglojęzycznych odprawił dla prezydenta USA i osób z jego otoczenia w Środę Popielcową.

IMIĘ

Asteroida 565184 otrzymała imię „Janusz” na cześć polskiego jezuitę Roberta Janusza pracującego w Obserwatorium Watykańskim. Międzynarodowa Unia Astronomiczna w ten sposób uhonorowała także trzy inne osoby związane z Watykanem.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Biskup z miasta aniołów

„TYLKO BĘDĄC Z LUDŹMI W DZIELNICY możemy zmienić południe Los Angeles” – mówił bp Dave O’Connell. Był „księdzem ulicy”, od 45 lat związanym z najbardziej niebezpiecznymi przedmieściami kalifornijskiej metropolii. Był przykładem Franciszskowego pasterza, „którego czuć owcami”.

W 1992 r., gdy wybuchły zamieszki po zabójstwie Rodneya Kinga, zostawiał na noc otwarte kościoły, by można było oddać zrabowane rzeczy (wracały do właścicieli sklepów) i mediował między policją a protestującymi, wśród których było wielu jego czarnoskórych parafian. Organizował pokojową walkę o prawa wykluczonych, dbał o bezpieczeństwo i poziom edukacji w szkołach na terenie dwóch swoich parafii. Szczególną opieką otaczał młodocianych przestępców, pomagając im wyrwać się z gangsterskich środowisk. W 2015 r. został biskupem pomocniczym Los Angeles. Nie zmienił stylu życia, pozostając dla wiernych „ojcem Dave’em” – nie zmienił też sposobu pracy, rozszerzając ją na pomoc uchodźcom, którzy masowo napływali do jego diecezji.

18 lutego został zastrzelony w swoim domu w Hacienda Heights. Miał 69 lat. Pod zarzutem zabójstwa policja aresztowała mężczyznę uzależnionego od narkotyków, który wraz z żoną pomagał biskupowi w pracach gospodarczych.

©P EDWARD AUGUSTYN



MARIAN ZUBRZYCKI / PAP

Luteranie: są granice ekumenicznej wyrozumiałości



JACEK TARAN

„KOŚCIÓŁ BĘDZIE STANOWCZO bronił praw swoich duchownych przed przypadkami wykluczania ze względu na płeć czy wyznanie” – napisał w liście do wiernych zwierzchnik polskich luteran bp Jerzy Samiec. To reakcja na wydarzenie sprzed miesiąca, kiedy podczas ekumenicznych uroczystości w ramach Międzynarodowego Dnia Holocaustu na skutek protestu księży prawosławnych ks. Wiktoria Matloch (na zdjęciu) nie została dopuszczona do grona modlących się duchownych. Incydent był realizacją groźby wyrażonej przez metropolitę Sawę po tym, jak polscy luteranie po raz pierwszy ordynowali kobiety na księży w maju 2022 r. Zwierzchnik prawosławia oznajmił wtedy, że jego Kościół „wstrzymuje udział swoich przedstawicieli w różnorodnych spotkaniach ekumenicznych, (...) na których obecne będą »prezbiterki«”.

Według bp. Samca doszło do zakwestionowania autonomii jego Kościoła. Na przyszłość „w wypadku informacji ze strony partnera ekumenicznego, że udział duchownej (...) jest dla niego przeszkodą (...) proszę o poinformowanie go, że nie zmienimy naszego stanowiska” – zadeklarował. Podkreślił, że Kościół nie może godzić się na kwestionowanie własnego prawa do rozumienia urzędu duchownego w imię „ekumenicznej wyrozumiałości”. Przed Sawą decyzja albo o złagodzeniu polityki, albo o realizacji kolejnej groźby zawartej w liście z maja: o zawieszeniu członkostwa prawosławia w Polskiej Radzie Ekumenicznej.

©P MACIEJ MÜLLER

„UFAM, ŻE PRAGNIENIEM

młodych, którzy tu przychodzą, jest zobaczyć Jezusa – jak biblijny Zacheusz siedzący na sykomorze” – komentował tegoroczną, trzecią Arenę Młodych jej pomysłodawca abp Grzegorz Ryś (na zdjęciu). Arena, w odróżnieniu od poprzednich, trwała trzy dni i była podzielona na trzy etapy – szkolny, parafialny oraz spotkanie w łódzkiej Start Arenie, w którym uczestniczyło 4,5 tys. osób. Takie rozwiązanie to reakcja na zarzuty, że Arena wyciąga młodzież z parafii – przyznał łódzki metropolita. ©P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

Z FESTIWALU

Dokument „Sur l'Adamant” Nicolasa Philiberta został laureatem Złotego Niedźwiedzia dla najlepszego filmu podczas tegorocznego Berlinale. Obraz przedstawia codzienność pacjentów domu opieki dla osób z zaburzeniami psychicznymi. Philibert nakręcił ponad 30 filmów dokumentalnych, za „Być i mieć” – opowiadający historię wiejskiej szkoły – był nominowany do nagrody BAFTA.

Z REDAKCJI

Amerykański magazyn „Clarkesworld”, publikujący literaturę fantastyczną, przestał przyjmować opowiadania od początkujących autorów. Decyzję podjęto po tym, jak na redakcyjną skrzynkę zaczęły spływać setki tekstów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. W grudniu redaktorzy rozpoznali i odrzucili 50 takich tekstów, w lutym już ponad 500.

Z FILHARMONII

Po raz pierwszy w historii Filharmonii Berlińskiej na stanowisku koncertmistrza zasiadzie kobieta – Vineta Sareika-Völkner. Łotyszka była już koncertmistrzynią Królewskiej Filharmonii Flamandzkiej. Filharmonia Berlińska została założona w 1882 r. i dopiero sto lat później zaczęła przyjmować kobiety – pierwszą była skrzypaczka Madeleine Carruzzo.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasy w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM



RAFAŁ MASŁOW / FERMENT

WOJCIECH BOŃKOWSKI ZOSTAŁ MASTER OF WINE (MW).

Po raz pierwszy Polak zdobył najbardziej prestiżowy tytuł w świecie wina, po wieloletnim kursie przygotowawczym. Gromadnie oblewane egzaminy obejmują testy praktyczne i teoretyczne, a na koniec pracę badawczą. Tematy: od przyczyn zamieszek w Szampanii w 1911 r., przez rolę wina w XVII-wiecznej poezji angielskiej, po techniczne aspekty uprawy winorośli i produkcji wina. Na świecie jest ledwie 416 osób z tytułem MW. Nadaje go działający od 70 lat ekskluzywny Institute of Master of Wine, najbardziej zasłużona wyrocznia w sprawach wina. ©MB

Płodność w podziemiach

NA PUSTYNNYCH OBSZARACH Afryki Wschodniej, głęboko pod ziemią, swoje systemy korytarzy drążą golce piaskowe. Są małe, ślepe, niemal pozbawione owłosienia, odporne na niektóre rodzaje bólu i niedotlenienie, rzadko chorują na raka. I żyją dłużej niż większość zwierząt o zbliżonych gabarytach – nawet 37 lat.

Tworzą kolonie liczące od 20 do 300 osobników, przypominające stada pszczoł czy mrówek. Większość samic nigdy nie osiągnie dojrzałości reprodukcyjnej, ale jeśli jakaś zostanie królową, będzie płodna przez prawie całe życie. Miguel Angel Briño-Enríquez i współpracownicy donoszą w „Nature Communications”, że golce nie tylko mają więcej komórek jajowych niż np. myszy (u ośmioldniowych samic jest ich nawet 1,5 mln), i mniej z tych komórek umiera, ale też, że na przestrzeni lat stale ich przybywa – inaczej niż u wielu ssaków, które rodzą się ze skończoną liczbą pęcherzyków jajnikowych, uwalniających komórki w kolejnych cyklach menstruacyjnych.

Niewykluczone, że opisany przez badaczy mechanizm pozwoli kiedyś na przedłużenie płodności u kobiet, co odrzuciłoby wystąpienie chorób związanych z przekwitaniem. ©KATARZYNA DZIADOWICZ

To łuk dał nam przewagę nad neandertalczykami?

W JASKINI GROTTÉ MANDRIN w południowo-wschodniej Francji Laure Metz z Aix-Marseille Université i współpracownicy odkryli 2 tys. kamiennych artefaktów, z których sporą część stanowiły precyzyjnie wykonane ostrza niewielkich rozmiarów (nawet poniżej 1 cm długości). Znajdowały się one w warstwie sprzed ok. 54 tys. lat, przypisanej do wczesnych *Homo sapiens*, występującej pomiędzy warstwami przypisanymi neandertalczykom.

By ustalić, do czego służyły, badacze wykonali ich repliki i sprawdzili ich skuteczność – próbowali nimi przeciąć skórę martwej kozy. W przypadku krótkich ostrzy udawało się to tylko wtedy, gdy osadzono je na strzałach wystrzelanych z bliska z łuku. To przekonuje, że technologia broni miotającej dotarła do Europy wraz z pierwszą falą migracji *Homo sapiens*.

Żyjący wcześniej i nieco później neandertalczyki polowali za pomocą broni ręcznej (np. włóczni) lub broni miotanej (np. oszczepów). Łuki i inne rodzaje broni miotającej (np. miotacze oszczepów) mogły więc dać naszym przodkom przewagę technologiczną nad neandertalczykami, którzy przegrali rywalizację o zasoby, a ich tereny zaczęły się kurczyć po inwazji *Homo sapiens*. Nie stało się to jednak nagle – stałą obecność w Europie Północnej nasi przodkowie zaczęli przynajmniej 10 tys. lat później, niż żyli pierwsi łucznicy z Grotte Mandrin. ©PŁK

TRZECIA POŁOWA ŚWIATA

Joe Biden mówi o starciu wolności z tyranią i nie ustępuje przed Rosją. Ale reakcji na wojnę w Ukrainie nie da się sprowadzić do łatwego podziału „z nami albo przeciw nam”.

MARCIN ŻYŁA

KŁAMSTWA POTRZEBUJĄ OKRĄGŁEJ mowy, prawdę można zamknąć w krótkich zdaniach. Aż 105 minut zajęło w minionym tygodniu prezydentowi Rosji Władimirowi Putinowi powtórzenie tez kremlowskiej propagandy o wojnie w Ukrainie. Dzień wcześniej jego amerykański odpowiednik był bardziej zwięzły. „Apetytów autokraty nie można zaspokoić. Trzeba się im przeciwstawić” – mówił w Warszawie Joe Biden, a gdyby streścić jego wystąpienie w jednym słowie, brzmiałoby ono: „Nie”. Tylko taki język, jego zdaniem, rozumieją dyktatorzy.

Był to najważniejszy od dawna tydzień w światowej polityce. Rok po ponownej inwazji rosyjskiej na Ukrainę na Kremlu gościł szef chińskiej dyplomacji. Pekin ogłosił plan pokojowy, który Zachód od razu odrzucił. Putin zapowiedział zawieszenie uczestnictwa Rosji w traktacie o redukcji strategicznej broni jądrowej.

Wszystko to jednak przyćmił 80-letni Joe Biden, który tuż przed wizytą w Polsce pojechał do Kijowa.

Kto słuchał prezydenta

W Polsce i Ukrainie nieustępliwa retoryka Bidena pod adresem Rosji przypominała lata 70. i 80. XX w. – czasy, gdy amerykańscy przywódcy regularnie mówili o epickiej walce między dyktaturą a demokracją. Podróż do Kijowa była jednak czymś więcej niż słynna wizyta Ronalda Reagana w Berlinie Zachodnim w 1987 r. – amerykański prezydent, rzecz ostatnio bez precedensu, przez ponad dobę przebywał bez ochrony swojej armii na terytorium, gdzie toczy się wojna.

Można odnieść wrażenie, że większość świata słuchała słów Bidena. Trzy dni po jego wizycie za rezolucją wzywającą Rosję do wycofania sił z Ukrainy zagłosowało w Nowym Jorku 141 ze 193 państw członkowskich ONZ. Przeciwno było tylko 7 krajów, m.in. Białoruś, Korea Północna i Syria. Poparcie Kremla przez inne dyktatury łączyła w ten sposób do innych →

*Głosowanie nad rezolucją potępiającą Rosję.
Sala Zgromadzenia Ogólnego ONZ,
Nowy Jork, 24 lutego 2023 r.*





→ oczywistych interpretacji: zachodni intelektualiści widzący w działaniu Rosji jakąś (choćby zbrodniczą) logikę sprowadzani są do ekstremistów (historia podpowiada też kliszę „pożytecznych idiotów”), dystans państw globalnego Południa wywołany jest przez postkolonialne resentymenty względem Zachodu, w samej Europie doszło do ważnej zmiany w układzie sił.

Te interpretacje przeważnie nie są odezwane od rzeczywistości. Lecz nie są też jedyne. Jak zatem – rok po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny i tuż po przemówieniach Joego Bidena – wygląda „nowa mapa świata”?

Ani za, ani przeciw

Mimo popełnianych przez Rosję zbrodni i kremlowskich kłamstw niewiele zmieniło się od czasu, gdy tuż po inwazji brytyjski think tank Economist Intelligence Unit ogłosił, że stosunek do wojny w Ukrainie dzieli świat na trzy niemal równe części. 36 proc. z nas żyje w państwach, które potępiają Rosję oraz nałożyły na nią sankcje (są wśród nich także kraje tradycyjnie neutralne: Szwajcaria, Finlandia i Szwecja). 32 proc. to ludność krajów, których rządy wspierają Kreml lub powtarzają jego narrację (grupie tej przewodzą Chiny). Pozostali mieszkają w państwach deklarujących się jako niezaangażowane – to m.in. Indie, Brazylia, Arabia Saudyjska, RPA i Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Choć potencjał gospodarczy Zachodu jest nieporównywalny z zasobami sojuszników Rosji, zdaniem brytyjskich analityków w przypadku dalszej eskalacji lub przedłużania się wojny wiele państw z grupy „niezaangażowanych” może ostatecznie opowiedzieć się po stronie Kremla.

Dlaczego? Ich punkt widzenia sumuje wypowiedź Abdulkhaleqa Abdulli, profesora politologii na Uniwersytecie Zjednoczonych Emiratów Arabskich. „Z prawnego punktu widzenia inwazja była nieuzasadniona i w tej kwestii panuje wyraźna jednomyślność – mówił Abdulla w rozmowie z francuskim think tankiem Institut Montaigne. – Jednak politycznie wiele państw postrzega ją jako sprawę europejską i woli pozostać na uboczu. Gospodarczo Rosja jest częścią OPEC+, którym Emiraty są bardzo zainteresowane – dlatego pozostały neutralne. Wreszcie,

Państwa globalnego Południa, które wykazują dla Moskwy najwięcej zrozumienia, same tracą na tej wojnie. Zwyciężają jednak emocje.

Putin okazuje szacunek przywódcom państw Zatoki, zdołał też nawiązać osobiste relacje z jej liderami – w przeciwieństwie do Zachodu, a zwłaszcza USA”.

Dystans aż dwóch trzecich ludności świata do zachodniego spojrzenia na wojnę oddają też inne analizy. Tuż po ujawnieniu zbrodni w Buczy fundacja Open Society zapytała respondentów w 22 krajach o najważniejsze problemy globu. Próbę dobrano starannie: dwie trzecie ankietowanych pochodziło z Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej i Bliskiego Wschodu, zapytano także obywatele dziewięciu państw OECD. Okazało się, że na całym świecie ludzie mieli zbliżony pogląd na najważniejsze problemy; najwięcej wskazało na zmianę klimatu (36 proc. umieściło ją wśród trzech najważniejszych), niewiele mniej na wojnę w Ukrainie (28 proc.), oraz, w dalszej kolejności, trudności ekonomiczne i pandemię (obecną i przyszłą).

Tu jednak kończą się podobieństwa. Aż 44 proc. ankietowanych obywateli państw spoza OECD zgodziło się bowiem ze zdaniem: „Usprawiedliwiona jest chęć Rosji większego wpływu na swojego sąsiada Ukrainę niż ma obecnie Zachód”. Z ankiety przebija też ich przekonanie o tym, że Zachód uznał tę wojnę za ważniejszą od innych. To tłumaczy rozdźwięk między ubiegłotygodniowym głosowaniem w ONZ a dystansem ze strony tzw. globalnego Południa, które mówi: „za winną tego kryzysu uznajemy Rosję, ale równocześnie odcinamy się od Zachodu w kwestii reakcji na wojnę”.

Widziane z Południa

Francuski politolog Dominique Moïsi uważa, że jesteśmy dziś świadkami „emocjonalnego rozwołu”. Jego paradoks ma

polegać na tym, że państwa globalnego Południa, które wykazują dla Moskwy najwięcej zrozumienia, same tracą na tej wojnie. Zwyciężają jednak emocje. „Afrykanie zdają się mówić: »Rozróżnienie na agresorów i obrońców Ukrainy jest słuszne, ale komu na Zachodzie kiedykolwiek zależało na człowieku z Afryki, dla niego samego, a nie ze względów merkantylnych czy strategicznych?«” – pisze Moïsi w analizie dla wspomnianego Instytutu Montaigne. Przypomina też książkę nigeryjskiego krytyka Chinweizu Ibekwe „Zachód i reszta nas”, która w połowie lat 70. XX w. wywołała podobne resentymenty, i podsumowuje: „emocjonalnie, bardziej niż kiedykolwiek, jest dziś tylko: »my i oni«, »oni i my«”.

Z analiz świata rok po inwazji wynika jeszcze jedno: wojna oraz pogłębiająca się przepaść między Zachodem a Rosją „rozwiązała też ręce” takim regionalnym mocarstwom jak Turcja, Arabia Saudyjska czy Indie [patrz: ramka obok]. Ich rola jest na tyle ważna, że mogą czerpać korzyści z trudnej sytuacji Rosji, rozwijając z nią relacje gospodarcze na preferencyjnych zasadach (zakupy ropy przez Indie, rosyjski kapitał w Turcji), ale bez ryzykowania znacznego pogorszenia relacji z Zachodem.

Tak działają sankcje

Joe Biden już rok temu obiecywał zduszenie rosyjskiej gospodarki za pomocą najlepiej przemyślanych w historii sankcji gospodarczych. Wbrew nadziejom wielu, nie rzuciły one Rosji na kolana – m.in. dlatego, że kraj ten był luźniej niż Zachód wpleciony w sieci globalizacji, zarówno na skutek wcześniejszych ograniczeń, jak i decyzji jego przywódców.

Sankcje jednak działają. Agathe Demarais, ekonomistka, autorka krytycznej, poświęconej im książki „Backfire”, przyznaje, że pod względem siły oddziaływania plasują się one w połowie między pustymi deklaracjami dyplomatów a interwencjami militarnymi. Jej zdaniem najbardziej efektywne pozostają jednak, wbrew słowom Bidena, ograniczenia nałożone na Rosję w 2014 r., po aneksji Krymu. Dlaczego? „Objęty został nimi rosyjski sektor energetyczny, m.in. nowe technologie, konieczne Rosjanom do eksploatacji nowych złóż, położonych głównie w Arktyce – mówiła Demarais podczas niedawnego spotkania na Columbia



Narendra Modi i Władimir Putin w Samarkandzie,
16 września 2022 r.

Indie: biznes jak zawsze

WĄTEK starcia cywilizacji czy wręcz walki dobra ze złem, który dominuje dziś w euroatlantyckiej narracji o wojnie w Ukrainie, poza granicami świata kultury łacińskiej okazuje się mało przekonującym hasłem. Widać to w polityce Indii, które konsekwentnie odmawiają jednoznacznego opowiedzenia się po którejś ze stron tego konfliktu.

JESIENIĄ 2022 R., podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Samarkandzie, premier Narendra Modi skrytykował wprawdzie Władimira Putina, stwierdzając, że minął czas, kiedy wojny były dopuszczalnym narzędziem prowadzenia polityki. W Radzie Bezpieczeństwa ONZ indyj-

scy delegaci konsekwentnie wstrzymują się jednak od głosu w trakcie prac nad kolejnymi rezolucjami potępiającymi rosyjskie działania w Ukrainie. W kwestiach gospodarczych rząd Modiego idzie jeszcze dalej i kategorycznie odmawia ograniczania relacji handlowych z Moskwą, stawiając – jak zapewnia premier – „na pierwszym miejscu bezpieczeństwo narodowe”. Jesienią Rosja stała się największym dostawcą ropy do Indii, wyprzedzając Irak. Po ponownej rosyjskiej inwazji na Ukrainę rząd Modiego nie zerwał ani nie renegecował z Kremlm żadnego z kontraktów na dostawy rosyjskiej broni o łącznej wartości 10 mld

dolarów – mimo że chcieli tego sami wojskowi, niemile zaskoczeni niewielką skutecznością rosyjskiego oręża na froncie.

WOJNA w odległej Ukrainie jest dla rządu Modiego zarazem szansą i zagrożeniem. Argumenty Kremla o starciu z zachodnim imperializmem, który rzekomo usiłuje narzucić Rosjanom obcy im system wartości, idealnie komponują się z antykolonialną i nacjonalistyczną retoryką rządzącej Indyjskiej Partii Ludowej (BJP), która również systematycznie straszy swój twardy elektorat zagrożeniem dla hinduskiej tożsamości. Jednocześnie politykom BJP sen z powiek spędza perspektywa zwasalizowania Rosji przez Chiny – a taki byłby zapewne polityczny koszt otwartego opowiedzenia się Pekinu po stronie Moskwy. Krytyka poczyniła Kremla na arenie wewnętrznej również może okazać się polityczną pułapką dla ekipy Modiego, który „największą demokrację świata” – jak o swoim państwie lubią mówić sami Indusi – powoli, ale sukcesywnie pcha w stronę monopartyjnej dyktatury.

© MR

sobą bezpośrednio połączone. Dlatego sankcje amerykańskie działają także na tych rynkach. Państwa coraz szybciej rozwijają jednak dwustronne swapy walutowe. Przodują w tym Chiny – dzięki dostosowaniu swoich systemów finansowych do siebie, już od 2020 r. większość handlu rosyjsko-chińskiego jest prowadzona w rublach lub yuanach.

Tournée Ławrowa

W styczniu i lutym szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow dwukrotnie podróżował do Afryki. Choć były to inne podróże niż pierwsza, podjęta latem 2022 r. Wtedy Ławrow portretował spór Rosji z Zachodem niczym dawną walkę narodowyzwoleńczą państw Afryki, mówił o „zachodnim kolonializmie”. Tym razem w RPA był świadkiem wspólnych z Chinami ćwiczeń marynarki wojennej, podczas których z pokładu fregaty „Admirał Gorszkow” wystrzelono pocisk hipersoniczny Zircon. Również w Etiopii, Sudanie i Mali rozmawiał głównie o współpracy wojskowej.

Mimo że stopniowe wycofywanie się Francji z Sahelu i coraz silniejsza pozycja w tym regionie rosyjskiej Grupy Wagnera działają na wyobraźnię, to zdaniem niektórych analityków wpływy Rosji na tym kontynencie są przeceniane. „Afryka staje się dziś polem bitwy sztucznych narracji – uważa Vadim Zajtsev, dziennikarz od lat obserwujący wpływy Rosji, pracujący dla Carnegie Endowment for International Peace. – Kreml udaje, że tworzy »drugi front« i podważa porządek oparty na zasadach, Zachód udaje zaś zaniepokojenie działaniami Kremla w Afryce, choć wie doskonale, że głównym zagrożeniem dla jego interesów w regionie są Chiny”.

Również tu wiele można wytłumaczyć emocjami. „Podczas gdy Ukraina jest w stanie wojny, najeżdżana i atakowana, Afryka jest pod stałym atakiem terroryzmu. Mamy rok 2022, to już nie jest okres kolonialny – kraje, nawet jeśli są biedne, mają równą godność. Ich problemy muszą być traktowane z szacunkiem” – mówił prezydent Senegalu Macky Sall podczas październikowego forum bezpieczeństwa w Dakarze, które zdominował temat wojny. Ale ze strony Moskwy z tym szacunkiem także bywa różnie: na pierwszą rozmowę telefoniczną z Putinem po rosyjskiej inwazji Sall, wtedy przewodniczący Unii Afrykańskiej, →

University. – Tamte sankcje już teraz poduszają rosyjską gospodarkę. Statystyki Międzynarodowej Agencji Energetycznej mówią o tym, że w kolejnych dekadach udział rosyjskiej ropy i gazu w światowym handlu spadnie do 10-15 proc.”.

Paradoksalnie jednak to właśnie na sprawę sankcji Zachód przegrywa na Południu wojnę o narrację o tej wojnie: nie rosyjska napaść, lecz sankcje są tu uznawane za przyczynę kryzysów. Często nie

dostrzega się także tego, że gospodarcze więzi, jakie zacieśniają się między państwami poza horyzontem Zachodu, są złożone i będą mieć znaczenie w przyszłości.

Demarais podaje przykład tzw. swapów walutowych. Jeśli firmy z RPA i Indii chcą dziś rozliczyć transakcje lub pożyczki w rodzimych walutach, muszą to robić za pośrednictwem dolara lub euro, bo banki centralne tych krajów nie są ze

→ musiał czekać trzy tygodnie. Według badań Afrobarometer, więcej mieszkańców kontynentu uznaje pozytywną rolę byłych metropolii niż Rosji.

Walki o rząd dusz w Afryce nie odpuszcza również Francja. Uznawany w Polsce za polityka skłonnego do ustępstw na rzecz Putina prezydent Emmanuel Ma-

cron jawi się tu zgoła inaczej: jako jedyny zachodni przywódca apelujący do globalnego Południa. Jesienią, podczas przemówienia na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, Macron, ostrzegając przed porównywaniem domniemanej walki Rosji z dominacją Zachodu z ruchami narodowyzwoleńczymi Afryki z połowy

XX w., odwołał się też do głośnych słów premiera Indii [patrz: ramka]. Zdaniem Macrona epoka odrzucająca wojny jako narzędzie polityki „nie jest też erą zemsty na Zachodzie, ani sprzeciwu Zachodu wobec reszty świata. To era suwerennych, równych państw, które muszą wspólnie pracować nad dzisiejszymi wyzwaniem”.

I Rosja, i Europa

Podobnego przykładu dostarcza Brazylia, kolejny kraj z formalnie „niezaangażowanej” w wojnę w Ukrainie części świata. Państwo importuje aż 85 proc. nawozów używanych w rolnictwie, kluczowej gałęzi; jedną czwartą dostaw zapewnia im Rosja. Na tym jednak pole do współpracy się jak dotąd kończyło. Brazylia nigdy nie będzie np. rynkiem zbytu dla rosyjskiej ropy – sama należy do dziesięciu największych producentów w świecie i konkuruje z Rosją o rynek chiński. Ograniczone są możliwości współpracy wojskowej – kraj jest najważniejszym południowoamerykańskim partnerem Stanów Zjednoczonych.

Choć Brazylia nie przystąpiła do sankcji przeciw Rosji, w praktyce ich przestrzega: Embraer, trzeci najważniejszy producent samolotów pasażerskich, odmówił sprzedaży części i serwisowania maszyn należących do rosyjskich linii. Wybrany ponownie na prezydenta Luiz Inácio Lula da Silva był wprawdzie jednym z założycieli BRICS – grupy współpracy m.in. z Rosją i Chinami – ale jego relacje z innymi członkami są raczej pragmatyczne; dziś zapowiada także nowe otwarcie w stosunkach z UE, które były wyjątkowo chłodne za Bolsonaro. Według sondaży zaledwie 6 proc. Brazylijczyków sytuację w Ukrainie interpretuje zgodnie z narracją Kremla.

W lipcu 2022 r. Rosja ustąpiła ws. eksportu ukraińskiego zboża; we wrześniu, podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy Putin był zmuszony przyznać, że Chiny mają zastrzeżenia co do rosyjskiej polityki, i wysłuchać gorzkich słów Narendry Modiego. Bezpośrednio po powrocie z Samarkandy Putin zdecydował się jednak na eskalację konfliktu: częściową mobilizację, referenda na ukraińskich terytoriach okupowanych czy kolejne groźby nuklearne (choć po reprimendzie od Chińczyków do tego celu częściej używa już propagandzistów, a co-



Prezydent Wołodymyr Zełenski i szef MSZ Izraela Eli Cohen. Kijów, 16 lutego 2023 r.

Izrael: siedzieć na dwóch krzesłach

ROK po rozpoczęciu wojny w Ukrainie Izrael nie zmienia swojego stanowiska: przekazanie jej broni czy choćby systemów antyrakietowych jest niemożliwe, podobnie jak radykalne i głośne potępienie Rosji, a jedynym polem, na którym Jerozolima chce się angażować, jest pomoc humanitarna i mediacje. Stanowisko to potwierdziła wizyta w Kijowie nowego ministra spraw zagranicznych Eliego Cohena, która wzbudziła kontrowersję, bo Cohen w swoich przemówieniach nie potępił Rosji wprost. Jednocześnie też obudziła nadzieję, bo to najwyższy rangą urzędnik Izraela, który od czasu wybuchu wojny odwiedził Ukrainę. Z kolei zdaniem

Zełenskiego, Izrael jest jednym z najmniej zaangażowanych sojuszników Ukrainy w całym zachodnim świecie, choć ostatnio sam prezydent podkreślił, że na linii Kijów–Jerozolima doszło do pewnej poprawy. Izrael wraz z 140 innymi krajami zagłosował też za rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ wzywającą Rosję do wycofania swoich sił z Ukrainy.

JEROZOLIMA już na początku wojny przyjęła pozycję neutralną, obawiając się konfrontacji z Moskwą kontrolującą niebo nad Syrią i udzielającą Izraelowi pozwolenia na działania przeciw Iranowi, niezbędne do zabezpieczania północnej granicy kraju. To, co dzieje się w Syrii, Izrael traktuje

jako bezpośrednie zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa, a to w całej jego dotychczasowej historii było dla niego najwyższym priorytetem, i żadne okoliczności tego nie zmieniają. Zaangażowanie Iranu w zbrojenie Rosji obudziło w Jerozolimie nowe obawy: o to, że jeśli izraelska technologia wpadłaby w ręce Moskwy, zostałaby przekazana sojusznikom w Teheranie.

LIBERALNE MEDIA

w Izraelu komentują, że odmowa pomocy Ukrainie rok po rozpoczęciu wojny jest żenująca. Podobne w tonie było oświadczenie dwóch przedstawicieli Knesetu z ramienia koalicji i opozycji, którzy w zeszłym tygodniu odwiedzili Ukrainę. We wspólnym oświadczeniu Yuli Edelstein i Ze'ev Elkin napisali: „Musimy pomóc Ukrainie we wszystkich obszarach, w których izraelskie technologie, także militarne, mogą jej pomóc w obronie cywilów, wolności i niepodległości. Są momenty w historii, w których nie można w tym samym czasie siedzieć na dwóch krzesłach”.

© KPA

raz rzadziej oficjalnych rządowych kanałów). W gronie obserwatorów tamtego szczytu pojawiła się hipoteza, iż jednym z powodów eskalacji było to, że Putin wycofał w Samarkandzie presję partnerów na osiągnięcie jakiegoś szybkiego rezultatu na froncie, a może nawet pierwsze oznaki lekceważenia ze strony nieformalnych sojuszników.

Przynęta na koalicjantów

Rzecz jasna, Biały Dom zdaje sobie sprawę z tego, że budując antyrosyjską koalicję musi z różnymi partnerami rozmawiać językiem innych korzyści. Sama próba długoterminowej gospodarczej izolacji Rosji niesie już ze sobą ograniczenia. W ciągu zaledwie roku kraj ten znalazł alternatywne rynki dla swoich surowców, a po wojnie nadal będzie dysponował zasobami rzadkich minerałów, jak pallad, platyna, nikiel, kobalt, kluczowych w procesie przedstawiania zachodnich gospodarek na zielone tory. Poza tym sankcje, dominująca pozycja dolara i zachodni nadzór nad obiegiem finansowym mogą jeszcze wzmagać nieufność ze strony krajów Południa. Aby odzyskać ich zaufanie, Zachód musi dotrzymać obietnic finansowych złożonych podczas konferencji klimatycznych w Paryżu i Glasgow. Drugi możliwy kierunek wskazują wyniki przywoływanych wcześniej badań Open Society: aż 70 proc. ankietowanych z państw nienależących do

Biden dał wreszcie Polsce coś, o co prosiła od pierwszych dni w NATO: stałą bazę USA na swoim terytorium. Siły amerykańskie liczą obecnie 10 tys. osób.

OECD zgodziło się ze stwierdzeniem, że wojna w Ukrainie jest „przykładem dużego, silnego państwa wykorzystującego mniejsze i słabsze”, a 66 proc. ze zdaniem, że Rosja jest „byłym imperium próbującym ponownie podporządkować sobie byłą kolonię”. Mówiąc wprost – wizja jeszcze silniejszej Ameryki po ewentualnej porażce Rosji nie jest czymś, co skłoniłoby dziś niezdecydowanych do „umierania za Kijów”.

Reperkusje konfliktu w Europie z pewnością odczuje region Pacyfiku. Trwa tam już lokalny wyścig zbrojeń: w 2022 r. Australia i Japonia podwoiły wydatki na wojsko, a większa niż dotąd tolerancja świata na fakt, że stały członek RB ONZ może zaatakować sąsiada i anektować mu terytorium, jest np. po myśli Pekinu w sporze z Tajwanem.

Swoją wielką grę wciąż ma tu do przeprowadzenia także nasz kraj, choć udało się już ugrać sporo. „Stany Zjednoczone potrzebują Polski i NATO tak samo, jak Polska i NATO potrzebują Stanów Zjednoczonych” – mówił w Warszawie prezydent USA. Amerykańskie media cytowały doradców Dudy. To oczywiście tylko drobniaczki, choć znaczące. Liczy się to, że Biden dał wreszcie Polsce coś, o co prosiła od pierwszych dni w NATO: stałą bazę USA na swoim terytorium. Siły amerykańskie liczą obecnie 10 tys. osób. Sojusz utworzył też cztery nowe grupy bojowe w południowo-wschodniej Europie, podwajając swoje siły na wschodniej flance. To już bardzo dużo – zwłaszcza biorąc pod uwagę początkowo chłodne relacje między administracją Bidena a obozem rządzącym w Polsce, który kampanię wyborczą w USA śledził z kciukami zaciśniętymi za Donalda Trumpa.

Pewne usprawiedliwienie dla tamtej naiwności polskiej klasy politycznej może stanowić fakt, że kulejący 78-letni wówczas kandydat Demokratów w pewnym sensie zaskoczył nawet swoich zwolenników w USA. „Sympatyczny i inteligentny” – gdyby streścić nastawienie ankietowanych Amerykanów po pierwszym roku prezydentury do Joeego Bidena, zamykałoby się ono w tych dwóch słowach. Był styczeń 2022 r., a prezydent miał wyjątkowo niskie notowania.

© (P) MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Michał Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabiń,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoreportaż: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Doradcy faraona*



PASTERZ PRZEPROWADZAŁ STADO PRZEZ rzekę. Niespodzianie pojawił się wilk. Co zrobił pasterz? – pyta midrasz. Rzucił wilkowi wielkiego barana. „Niech się nim zajmie, a jak się przeprawimy, to wrócę po niego”. Podobnie było przy wyjściu Izraeli-

tów z Egiptu – zjawił się anioł Samael i odezwał w te słowa: „Panie Wszechświata! Oddawali cześć bożkom, a Ty rozdzielasz dla nich morze?”. Co zrobił Najwyższy? Oddał w ręce Samaela Hioba, jednego z doradców faraona, o którym napisano: „a był to mąż nieskazitelny i prawy” (Hi 1, 1; Cylkow) i oświadczył: „Otóż jest on w mocy twojej” (Hi 2, 6). Powiedział Bóg: niech się zajmie Hiobem; kiedy Izrael już przejdzie przez morze, ocalę Hioba.

Hiob doradcą faraona? Taką opowieść odnajdujemy w Tal-mudzie: w kwestiach związanych z potomkami Jakuba władca Egiptu zasięgał rady trzech znamienitych mężów – Hioba, Balaama i Jetry. Kiedy „synowie Izraela rozplenili się, i rozrodzili, i rozmnożyli, i wzmogli się wielce, i napełniła się ziemia nimi” (Wj 1, 7), faraon się zaniepokoił. By ograniczyć liczebność Izraelitów, zmusił ich do niewolniczej pracy i nakazał swojemu ludowi odnośnie do Hebrajczyków: „Każdego nowo narodzonego syna wrzucicie do rzeki” (Wj 2, 22). Skąd taka metoda? Doradcom wydawało się, że w ten sposób Egipcjanie unikną kary: zauważyli, że Bóg Izraelitów dopasowuje ją do przewinienia, tymczasem zapowiedział, że już nigdy nie będzie potopu. Finalnie armia faraona zatoniła w morzu, albowiem Najwyższy obiecał jedynie, że nie spuści potopu na całą ziemię.

Pomysłodawcą zabijania nowo narodzonych chłopców był Balaam – prorok, który w przyszłości zostanie wynajęty przez króla Balaka do przeklęcia wędrujących po pustyni Izraelitów. Ta misja się nie powiedzie, natomiast uda się – za radą proroka – usidlić tułaczy lud powabnym Moabitkom. Balaam za karę zostanie zabity (zob. Lb 31, 1-8 i Joz 13, 22). Hiob propozycję Balaama zamilczał i za to spadły na niego cierpienia. Trzecim doradcą faraona był Jetro. Sprzeciwił się zabijaniu nowo narodzonych, czym ściągnął na siebie gniew mocodawcy i musiał uciekać, by ocalić swoje życie. W nagrodę za próbę ratowania Izraelitów Jetro został teściem Mojżesza. Ponadto jego potomkowie zasiadali w sali Sanhedrynu w Świątyni Jerozolimskiej (wg interpretacji 1 Krn 2, 55 – Jetro był Kenitą). Rabinowie dyskutują nad chronologią faraonowych doradców. Chociażby Balaam – czy to możliwe, żeby był już dojrzałym człowiekiem, kiedy na świat miał przyjść Mojżesz, i żył jeszcze czterdzieści lat po exodusie? Hioba plasują na osi czasu różnie i stąd koncepcja, że taki człowiek nigdy nie istniał. Potraktujmy go więc symbolicznie jako pozornie sprawiedliwego, który – mogąc powstrzymać zło – dopuścił je przez swoją bierność. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Post, czas miłości*



„PAN POWIEDZIAŁ DO ABRAMA: ZOSTAW twoją ziemię, twój ród i dom twojego ojca, i idź do kraju, który ci wskażę”. Te słowa Bóg wypowiada za każdym razem, gdy człowiek zaczyna rozeznawać, co dalej, co z rodziną, z pracą, mieszkaniem,

światem? Abram idzie w ciemno, Bóg nie ujawnił, gdzie go osiedli. Skoro my nazywamy siebie dziećmi Abrahama, nie dziwmy się, że Bóg postępuje z nami podobnie. Świadczy o tym wydarzenie na „wysokiej górze”.

„Jezus bierze Piotra, Jakuba i jego brata Jana i prowadzi ich na wysoką, ustronną górę”. Tam dochodzą do przekonania, że Jezus jest kimś zupełnie innym, niż przypuszczali. Wpadają w zachwyt: „Dobrze nam tu, Panie – mówi Piotr. Jeśli chcesz, rozbiję tu trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza”. Logiczne, skoro dobrze, to cieszymy się tym. Ale nic z tego, kiedy stało się jasne, że Jezus jest zwornikiem łączącym obietnicę z jej spełnieniem, symbolizowane przez Mojżesza i Eliasza, „upadli na twarz i bardzo się przestraszyli”. Zrozumieli, że mają do czynienia nie tylko z synem człowieczym, ale z „ukochanym Synem Boga”. Ale znowu: „Kiedy schodzili z góry, Jezus nakazał im: Nie mówcie nikomu o tym widzeniu, zanim Syn Człowieczy nie zmartwychwstanie”, dosłownie: „aż Syn Człowieka z martwych podniesie się”. Chrześcijanie wierzą, że Jezus słowa dotrzymał i nie szukają go pośród umarłych, nie żyją przeszłością, nie chcą być „strażnikami popiołów”, jak mówi Franciszek, nie martwią się też o przyszłość. Wierzą, że Syn Człowieka jest „Panem czasu”, a zatem czas nie jest wrogiem, jest darem, błogosławieństwem. Każdy dzień, jaki jest nam dany, jest dla nas grotą Narodzenia, górą Przemienienia, Golgotą i górą Wniebowstąpienia.

Jako potomkowie Abrahama, wpatrując się i wsłuchując w minione i obecne wydarzenia, odkrywamy, że wbrew naszemu grzesznym działaniom Bóg nadal działa, wyprowadzając życie ze śmierci, dobro ze zła. Stąd, wbrew wszystkiemu, nie pilno nam z tego świata odchodzić – „dobrze nam tu”. O tym, że tak jest, świadczy z jednej strony bunt przeciw śmierci, a z drugiej marzenie, nadzieja, że można śmierć przeżyć, choćby symbolicznie.

Odpowiedź na te marzenia daje Jezus na Golgocie, gdy śmierć przemienia w wyznanie miłości i sprawia, że ona „zbawia ode złego”. Nie zlikwidował jej, ale przemienił jej znaczenie. Paweł Apostoł mówi: Bóg „przez Wyzwolicie-la, Mesjasza Jezui (...) obalił śmierć, a przez Dobrą Nowinę odsłonił życie i nieśmiertelność”. Dlatego siostra Faustyna mogła napisać: „Widzę, jakoby Jezus nie mógł być szczęśliwy beze mnie, a ja bez Niego. (...) O Jezu, jak mało dusz Ciebie rozumie w Twoim męczeństwie miłości”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Pomazaniec

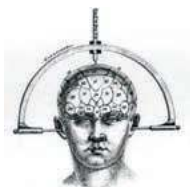
Umysł jest lekkoduchem.
Trudno go powściągnąć.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



To właśnie z umysłu biorą
się wszelkie trwogi i płyną
nieprzebrane boleści.

ŚANTIDEWA



„SYN CZŁOWIECZY MUSI wiele wycierpieć: będzie odrzucony przez starszyznę, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; zostanie zabity, a trzeciego dnia zmartwychwstanie” – pierwsza zapowiedź męki. Ogłoszona przez Jezusa uczniom w Cezarei Filipowej. Ogłoszona nam w liturgii Słowa pierwszego czwartku Wielkiego Postu (zob. Łk 9, 22).

Dla pełniejszego zrozumienia tej Jezusowej wypowiedzi warto poszerzyć nieco kontekst: dwa wersety wcześniej, na pytanie Pana: „Za kogo Mnie uważacie”, Piotr odpowiada: „[Za] Chrystusa Bożego” (Łk 9, 20).

Christos (grec.) – Boży „Pomazaniec”. A więc: król, kapłan i prorok.

Jezus potwierdza tę odpowiedź, ale natychmiast dodaje do niej istotne objaśnienie. Tak! Jest królem, kapłanem i prorokiem. Tę potrójną godność (namaszczenie) jednakże może przeżyć jedynie na drodze Krzyża. Więcej: On ją musi w ten sposób przeżyć. Nie może – nie potrafi inaczej.

Nie potrafi być królem inaczej, jak tylko w postawie niewolnika: krzyż – narzędzie śmierci zadawanej niewolnikowi – jest Jego jedynym tronem. To „w krzyżu – jak mówił na Wawelu w 1987 r. Jan Paweł II – jest Mu dana wszelka władza; taka władza, jakiej nikt inny nie ma nad ciałem człowieka”.

Jest kapłanem, ale: nie potrafi nim być inaczej, jak tylko będąc jednocześnie ofiarą.

Podobnie, jak nie potrafi być prorokiem inaczej, jak tylko jako świadek, a więc męczennik (grec. *martys* znaczy jedno i drugie).

On musi być taki!

Nie potrafi być królem, który swoją władzę wykorzystuje jedynie dla samego siebie; od wszystkich żąda służby, ale sam nie potrafi nigdy nikomu służyć.

Nie potrafi być kapłanem, który chętnie składa Bogu w ofierze dary przynoszone wyłącznie przez innych. Sam nigdy z niczego nie rezygnuje; sam nigdy do niczego się nie dołoży. Woła o hojność „wiernych” – nie widzi powodu, by od siebie miał dawać cokolwiek więcej poza swoją „posługą” urzędowego ofiarnika.

I nie potrafi Jezus być prorokiem – nauczycielem, który w uniesieniu i *ex cathedra* przepowiada prawdę – ale tylko wtedy, gdy nic go ona nie kosztuje. Kiedy jednak przyjmuje ona postać prawdy, która „budzi sprzeciw”; kiedy trzeba za nią zapłacić utratą (taniej) popularności lub (raczej pozornych) przyjaciół – wybiera głucho milczenie. Jezus nie chce być nauczycielem prawdy, o której nie potrafi zaświadczyć – której nie chce pokazać sobą; której nie przyjmuje jako zobowiązania najpierw w odniesieniu do samego siebie.

Taki właśnie jest Jezus. Takim jest Chrystusem, czyli Pomazańcem. Za takim chcemy iść. Takim Go kochamy. Czy pościągł by nas równie mocno, gdyby był innym? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 III)

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 12, 1-4a; Ps 33; 2 Tm 1, 8b-10; Mt 17, 1-9;	Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 17b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 36-38;	Sobota: Mi 7, 14-15. 18-20;
Wtorek: Iz 1, 10. 16-20; Ps 50; Mt 23, 1-12;	Ps 103; Łk 15, 1-3. 11-32;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;	3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 17, 3-7;
Czwartek: Jr 17, 5-10; Ps 1; Łk 16, 19-31;	Ps 95; Rz 5, 1-2. 5-8; J 4, 5-42.

Wybrał PIOTR SIKORA

RADYKALNE CENTRUM

SZYMON HOŁOWNIA:

Demokratyczna opozycja nie może stać się grupą rekonstrukcyjną rzeczywistości sprzed 2015 roku. Wyborcy nie zrezygnują z „dzisiaj” na rzecz tego, co było „wczoraj”. Zrobią to tylko dla „jutra”.

MAREK KĘSKRAWIEC: Pojawił się Pan jako nadzieja dla centrowego wyborcy. Spoza duopolu PO-PiS, katolik krytyczny wobec hierarchii, nowa siła. Dziś rozmawiacie o sojuszu z PSL, partią „obrotową”, symbolizującą III RP.

SZYMON HOŁOWNIA: Wszystkim nie dogodzę. Zewsząd słyszę: współpracujcie, dla czego jeszcze nie stworzyliście wspólnej listy. Teraz, gdy się dogadujemy, są pretensje, że robimy to z PSL, z którym różnimy się w pewnych ważnych sprawach. Ale gdybyśmy rozmawiali równocześnie z PO i Lewicą, te różnice byłyby spotęgowane do szczytów.

Jak to wygląda w praktyce?

Można powiedzieć, że na razie umówiliśmy się do kina i na wspólne czytanie książek, nie zaręczyliśmy się z PSL-em. Zależało nam, by wykonać pierwszy krok i pokazać, iż można dyskutować nie o kimś, ale o czymś. I że w wyborach może chodzić o rozwiązywanie problemów społeczeństwa, a nie kłopotów polityków z kolejnością miejsc na listach. Mamy 30 tygodni do wyborów, jest czas na pracę. Obecny Sejm gaśnie, tam już nic wielkiego się nie zdarzy, musimy patrzeć dalej.

On już chyba zgąsł dawno, parlamentaryzm pod rządami PiS to przecież

karykatura umowy społecznej, jaką zawieramy przy urnach.

Kaczyński uznał, że zwycięzca bierze wszystko, i doprowadził do faktycznej likwidacji trójpodziału władzy; Sejm stał się organem władzy wykonawczej. To jest maszyna do mielenia, gdzie zamiast mięsa wrzuca się projekty tuż przed głosowaniem, bo władza nie chce żadnej dyskusji. Na dodatek jedna trzecia klubu PiS pełni funkcje rządowe, jako sekretarze stanu w liczbie ponad 50. Pomieszczenie porządków.

Nie chodzi już tylko o notoryczny gwałt na władzy sądowniczej. Cały system zachorował. Przed nową sejmową większością stoi zatem zadanie odbudowania autorytetu parlamentu. Niestety, po opozycyjnej stronie też obserwuję niepokojące myślenie z zemstą w tle. Przejmiemy władzę i będziemy robić to, co oni – nawet jeśli delikatniej – bo oni nam zostawili narzędzia. My mieliśmy ból czterech liter przez osiem lat, to teraz oni będą mieli.

→

SZYMON HOŁOWNIA jest politykiem, publicystą, pisarzem, działaczem społecznym. W wyborach prezydenckich w 2020 r. zdobył 14 proc. głosów. Ojciec dwóch córek, mąż Urszuli, pilotki myśliwca bojowego MiG-29. Lider Polski 2050.





→ Nie będzie Pan wsadzał do więzienia Ziobry z Kaczyńskim i Dudą?

Będziemy jak oni, jeśli uznamy, że najpierw potrzebujemy odwetu. Zostawmy to prokuratorom i sądom, wsadzanie do więzień nie jest rolą polityków. Fakt, czujemy się upokorzeni tym, że Kaczyński swoimi rządami pokazał środkowy palec ponad 80 procentom społeczeństwa – bo przecież biorąc pod uwagę frekwencję wyborczą, nie ma on realnie większego niż 20 procent poparcia społecznego – ale wolałbym, by po jego odejściu skupić się na naprawie państwa, a nie na igrzyskach zemsty. To nie oznacza grubej kreski, każdy oszust powinien stanąć przed sądem, ale nie wolno mylić tego z niszczącą żądzą odwetu.

Ganianie jednych przez drugich co cztery lub osiem lat jest drogą do katastrofy. Świat się będzie rozwijał, a my będziemy grzęznąć w nienawiści. Dlatego właśnie nazwaliśmy się Polską 2050. Opozycja wygra wybory, jeśli oderwie się od marzeń o rozliczeniach, a zacznie rozumieć, dlaczego przegrała z PiS w 2015 r.

Dziś wciąż nie rozumie, nawet rozsądni ludzie widzą tylko „przekupstwo 500 plus”.

PO i PSL też miały podobne pomysły, ale wsadziły je do szuflady, nie rozumiejąc, że ludzie w Polsce są zmęczeni i trzeba im ulżyć. Argumenty o przekupstwie to są bzdury powtarzane do znudzenia. Osiem lat mobilizuje się w ten sposób mityczny elektorat opozycji, ale on nigdy nie wystarcza do zwycięstwa. Jego jest za mało. Przy wyborach do europarlamentu mieliśmy wielkie marsze z Donaldem Tuskiem na czele, triumfalne sondaże na łamach „Gazety Wyborczej”, i co? 45 procent dla PiS i kolejny kac.

Trzeba dotrzeć do prawie połowy społeczeństwa, która nie chodzi na wybory?

Oraz do tych, którzy zagłosowali w 2015 r. na PiS, ale nie dlatego, że mają bardzo prawicowe poglądy, tylko dlatego, że nie podobały im się rządy PO, które się po prostu zużyły, stały się leniwe – to wykorzystał PiS. My nie możemy stać się teraz grupą rekonstrukcyjną. Wyborcy nie zrezygnują z „dzisiaj” na rzecz tego, co było „wczoraj”. Zrobią to tylko dla „jutra”.

Jak Pan ocenia wypowiedzi Donalda Tuska, z których wynika, że najpierw trzeba odsunąć PiS, a potem się zobaczy. Ja bym do zdewastowanego domu wchodził z projektem i ekipą. Utknięcie w rozliczeniach rozczaruje elektorat. I może wepchnąć go kiedyś w ramiona populistów gorzych niż PiS.

Proponowałem rok temu konferencję o przyszłości Polski, żeby ludzie widzieli, iż opozycja rozmawia o wyzwaniach cywilizacyjnych, a nie tylko o PiS. Nie było odzewu, a przecież bez pozytywnej oferty nie wygramy, i widać to w badaniach. Dlatego wkurzają mnie te wszystkie bon moty w stylu: „partia to nie pralka, by miała program”. Albo narracja, że „PiS podpalił dom, a my jesteśmy strażakami, których nikt podczas akcji nie pyta, jak będzie wyglądać remont po pożarze”. Tymczasem w Polsce jest wielu ludzi, którym żyje się źle, ale wcale nie uważają, że szaleje tu pożar. Mam czasem wrażenie, że uczestniczę w grze, w której niektórzy zgadzają się, że znowu będą tylko silną opozycją.

Byciem wiecznym recenzentem też ma swoje plusy, podczas rządów trzeba się urobić po łokcie.

Dla mojej formacji kluczowe jest znalezienie się po stronie, która będzie zmieniała Polskę, biorąc za nią odpowiedzialność – sprawując władzę. No i będzie chciała wygrać z PiS, a nie z konkurentami w swoim otoczeniu, na co teraz idzie dużo energii. Gdybyśmy zamiast się podgryzać, prowadzili poważne rozmowy, to już od roku mielibyśmy albo jedną silną listę, albo stworzylibyśmy dwie i podzieliłi się robotą. Czas jednak wypełniają nam dominacyjne i przemocowe gierki, także w mediach. Robię w nich za głównego killera jednej listy, choć przecież od dawna wiadomo, że PSL nie pójdzie z Lewicą i PO, Lewica nie zaakceptuje PSL, a PO z Lewicą ostatecznie też zapewne nie znajdą się na jednym pokładzie.

Istnieje sporo analiz, które świadczą, że spotkanie się na jednej liście konserwatystów z PSL z „lewakami” z Razem może spowodować, iż część zwolenników obu tych grup nie pójdzie w ogóle głosować na ten sojusz pod wodzą Tuska.

Według naszych badań 10 procent elektoratu opozycji demobilizuje się przy

jednej liście. Widać to było w 2019 r., gdy na różne listy opozycyjne do Sejmu padło 900 tysięcy więcej głosów niż na wspólnych kandydatów bloku senackiego, a przecież głosowali ludzie w tej samej kabinie, z tym samym długopisem. I mimo tego wciąż jest wielu polityków, którzy wierzą, że do ludzi trafiają tylko najprostsze komunikaty w stylu: „kupą, mości panowie”. W tej sytuacji to powiedzenie się nie sprawdzi; mało tego, takie myślenie wzmacnia też poparcie dla Konfederacji.

W Czechach też wydawało się, że Andrej Babiš jest nie do pokonania, ale dwie listy załatwiły sprawę. Nie udało się za to na Węgrzech, gdzie ludzie mieli na jednych plakatach zjednoczonej opozycji kandydata socjalistę, a na innych – nacjonalistę z Jobbiku.

Jak to powinno być podzielone w Polsce, by odzwierciedlało naturalne podziały?

Metoda D'Hondta została wprowadzona po absurdalnym rozdrobnieniu politycznym z początku lat 90. Ma ona dwie złote zasady: nie zostawiać sojuszników, którzy mogą znaleźć się tuż pod progiem wyborczym, bo te stracone głosy nakarmią głównie największego, być może PiS. Druga reguła nakazuje budowanie bloków średnich i dużych, o potencjale 17 i więcej procent, bo one dostaną większą liczbę mandatów, niż to wynika z prostej arytmetyki. Patrząc na naszą scenę, taki potencjał mają dwa bloki opozycyjne, raczej nie trzy. Najczytelniejszy podział dla wyborców, jaki widzę, to blok Polski 2050 z PSL oraz PO z Lewicą. To przepis na wygraną z PiS.

Ale Tusk z Lewicą nie bardzo chce. Zandberg też się od tego związku nie pali.

Czytam w wywiadach, że kto nie chce jednej listy, ten nie jest patriotą, więc dlaczego wybrzydzać w PO na Lewicę mam uważać za coś lepszego? Bądźmy poważni. Kiedy byłem na spotkaniu ekspertów naszych i PSL, to zrozumiałem, jak ważna rzecz się dzieje. Szczegółów nie ustalają Kosiniak z Hołownią, ale ludzie znający się na konkretnych sprawach, i to oni będą próbowali utrzymać naszą wspólną drogę. Ale to na nas się napada, że rozbijamy opozycję. I robią to ci, którzy sami utknęli przy targach o nazwiska na listach.

Pan naprawdę wierzy, że PSL wyzbyt się cynizmu partii obrotowej, która dogada się z każdym?

PSL jest partią dojrzałą, nie targają nią spory frakcji, są rzetelni. Jesteśmy też z Kosiniakiem z jednego pokolenia, które powinno wreszcie dojść do głosu. Szanuję Tuska, ale czas jego i Kaczyńskiego zaczął się na początku III RP. Dostali się do Sejmu w czasach Gorbaczowa, kiedy szedłem do drugiej klasy liceum...

Oczywiście, są między nami i PSL duże różnice, choćby w kwestii tzw. piątki dla zwierząt, praw myśliwych, nie popieramy ich idei dobrowolnych składek na ZUS, nie ukrywamy tego. W wielu innych sprawach moglibyśmy za to zgłaszać wspólne pomysły, np. w energetyce, edukacji, bezpieczeństwie.

Ja jednak słyszałem, że po decyzji o zagłosowaniu przeciwko zmianom w ustawie o Sądzie Najwyższym lider PSL był zdegustowany Waszą postawą.

To jest pudelkizacja polityki, za którą odpowiada też część dziennikarzy, publikując masę artykułów opartych na anonimowych wypowiedziach, zazwyczaj zmyślonych, zawsze jętrzących. Trafiają jednak do obiegu, zaczynają żyć własnym życiem. Tymczasem nie było żadnych dąsów ze strony szefa PSL, mieliśmy inne zdanie, to wszystko. Fakt, w kampanii prezydenckiej nie bywaliśmy dla siebie przesadnie sympatyczni, ale nawet wtedy czułem, że Kosiniak jest jedną z niewielu osób budzących moje zaufanie i szacunek. Widzę też, ile robi, by pchać w górę nowe pokolenie działaczy PSL.

Nie obawiacie się ich silnych struktur terenowych? Kandydaci PSL wygrzą Was w małych społecznościach.

Oni z kolei mogą obawiać się tego, że wypadamy dużo lepiej w sondażach i jesteśmy bardziej widoczni, więc też w teorii możemy wygrzać ich. Tyle że dojrzały partnerzy mówią o tym otwarcie i starają się wypracować mechanizmy zaufania, znajdować kompromisy.

Co chciał Pan osiągnąć, głosując przeciwko ustawie o Sądzie Najwyższym, czyli zdaniem krytyków przeciwko pieniądзом z KPO?

Są takie momenty w polityce, kiedy krążąc wokół taktyki, można się zape-

Robię w mediach za głównego killera jednej listy wyborczej, choć wiadomo, że PSL nie pójdzie z Lewicą i PO, Lewica nie zaakceptuje PSL, a PO z Lewicą ostatecznie **też zapewne nie znajdą się na jednym pokładzie.**

tlić. Zapomina się o głównej idei i wartościach. Nasi eksperci oraz posłowie z koła byli motorem przypomnienia sobie, że na protesty w koszulkach z Konstytucją chodziliśmy na poważnie i nie możemy popierać ustawy, która ją łamie. To byłoby usankcjonowanie perfidnego mechanizmu Kaczyńskiego: albo pieniądze z KPO, albo wolność. Nieprawda, można mieć i to, i to.

Po podjęciu decyzji skontaktowaliśmy się z Donaldem Tuskiem, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i Krzysztofem Gawkowskim – wydawało się, że zaakceptowali tę różnicę zdań. Argumentowałem za „wywaleniem” tej ustawy, bo wtedy władza musiałaby zrobić kolejne okrażenie i jeśli chce funduszy z KPO przed wyborami, ustąpić, czyli np. umieścić sprawy dyscyplinarne sędziów w izbie karnej SN, a nie przenosić ich niekonstytucyjnie do Naczelnego Sądu Administracyjnego, który zostanie sparaliżowany setkami takich spraw. Okazało się jednak, że w opozycji przeważał strach przed tym, co powie TVP.

Co będzie dalej z ustawą? Przejdzie przez Trybunał Konstytucyjny i uruchomi KPO?

Prezydent doszedł do wniosku, że jego partnerem do dyskusji są dziś Joe Biden i Jens Stoltenberg, a nie jakiś Kaczyński z Ziobrą. Ustawy nie podpisał, tylko wysłał do Julii Przyłębskiej, czyli na pole ostrej walki, która trwa między PiS i Ziobrą. A to oznacza, że pieniędzy z KPO nie będzie do wyborów. I dlatego jeszcze przed głosowaniem pytałem: „Po co robić deal z PiS?”. Przecież po wyborach przywieźlibyśmy te fundusze w miesiąc, bez romansu z tą władzą.

Jak skończy się rozgrywka Ziobro-Kaczyński?

Szef PiS dysponuje ogromnymi pieniędzmi państwa na własną kampanię, więc wziął najlepszych specjalistów. Mieli mu powiedzieć, iż PiS nie ma szans na samodzielne zwycięstwo, ale może zachować rządy. Musi jednak dowieźć pieniądze z KPO, mieć naprzeciwko jedną opozycję z twarzą Tuska, w którego będzie bił ohydą propagandą, oraz posiadać koalicjanta z prawej strony. To może być twór złożony z części skonfliktowanej wewnętrznie Konfederacji i środowisko Ziobry. Kaczyński liczy, że będzie ich jakoś kontrolował, ale ja uważam, że oni go kiedyś w końcu zjedzą. Jako grupa młodsza, antysystemowa, polexitowa.

Wróćmy do Polski 2050. Odeszła od Was szefowa koła parlamentarnego Hanna Gill-Piątek, zwolenniczka jednej listy i innego głosowania w sprawie ustawy o SN. To nie było nieuchronne? Sam przyznał Pan w TVN24, że wiele Was różniło. Była już przecież lewicową działaczką Wiosny i Kongresu Kobiet.

Dobrze nam się pracowało mimo różnic. Połączyła nas idea radykalnego centrum, obozu łączącego ludzi, którym jest za daleko do każdego z biegunów obecnego duopolu, i którzy chcą chronić nasz świat przed radykalizmami. Cóż, poszła inną drogą i nie obrażam się na nią. Mam ten komfort, że przyszedłem do polityki ze świata, w którym byłem spełniony. Nie liczę na pieniądze i popularność, te raczej straciłem. Myślę o polityce jako o narzędziu, a nie o bycie samym w sobie. Dla mnie to rodzaj misji, choć wiem, jak to słowo się zużyło.

Przy dyskusji ideowej warto pamiętać o zmianach społecznych. Po naruszeniu kompromisu aborcyjnego PiS już nigdy nie przekroczył poparcia 40 procent, a społeczeństwo się mocno zradycalizowało. Konkordat, afery pedofilskie w Kościele, związki partnerskie, klauzula sumienia – wielu Polaków patrzy na nie inaczej niż kiedyś. To nie problem dla Was jako partii chrześcijańskiej?

Jako pierwsi złożyliśmy dwa lata temu propozycję rozdziału Kościoła od państwa, w tym likwidację funduszu

→ kościelnego, o czym dyskutowała już PO z kard. Nyczem i się wycofała, tak samo zresztą jak ze związków partnerskich. Wcześniej z hierarchią układał się zgodnie lewicowy SLD, a w wersji turbo robi to dziś PiS, niszcząc już zupełnie nasze życie religijne. My zaś odwołujemy się do chrześcijaństwa, ale nie widzimy sprzeczności w tym, by opowiadać się za poważną dyskusją nad mechanizmami ujawniania duchownych popełniających przestępstwa czy nad cennikami na cmentarzach. Państwo musi być asertywne, a minister edukacji nie może być w sprawie religii w szkole ministrantem biskupa.

Kościół przestał być drogowskazem dla większości Polaków?

Rozmawiałem kiedyś ze światłym członkiem episkopatu i pytałem, jak mógł podpisać absurdalny list ordynariuszy, w którym modlono się za pierwsze ofiary ideologii LGBT w Polsce. Popatrzył na mnie wzrokiem sarny, na którą pędzi ciężarówka, i powiedział: „Bo ty nie widziałeś pierwszej wersji”. Taka panuje u nich odwaga.

Kościół nie odpowiedział sobie po upadku komunizmu, czym właściwie chce być w nowej rzeczywistości. Stracił swój smak. Kto z nas śledzi nauczanie biskupów i czeka na listy pasterskie? Nikt.

Jak przetrwa?

Myślę, że Kościół przetrwa tylko tam, gdzie będą żywe wspólnoty, świadczy o tym choćby to, jak wielu katolików łągnie do ruchów charyzmatycznych, gdzie płonie ogień wiary i czyta się Pismo. Jeśli Kościół instytucjonalny się szybko nie ogarnie, obumrze w ciągu pokolenia, bo nie idzie drogą założyciela. Jezus był przecież w kontrze wobec rzeczywistości politycznej i ekonomicznej, z której nasz Kościół woli czerpać profity. Czy ktoś widział biskupa w autobusie? Nie, biskup nie wie, jak żyją wierni. Gdy podczas pandemii walił nam się świat na głowę i umierali nasi najbliżsi, hierarchowie skupiali się głównie na targach o liczbę osób na mszy.

Polityka to często gry, manipulacje i kłamstwa. Czy chrześcijanina Hołownię zdziwił nasz Sejm?

Tak, nie spodziewałem się aż takiego bagna i aż takiej mocy afrodyzjaków: władzy i pieniędzy. Ale to bagno trwa od

Kościół nie odpowiedział sobie po upadku komunizmu, czym właściwie chce być w nowej rzeczywistości.

Stracił swój smak.

Kto z nas śledzi nauczanie biskupów i czeka na listy pasterskie? Nikt.

wielu lat, PiS wstrzyknął tylko sterydy do tego systemu. Niestety, świat dziennikarski też chętnie w tym uczestniczy, zapisując się bez żenady do różnych obozów politycznych.

Katownia 2023?

To, że Tomasz Lis zredukował się do roli wulgarnego hejtera, to jego wybór, ja mówię bardziej o publikacjach, za którymi stoją spin doktorzy różnych partii, a media liczą, że jak się im wysłużą, dostaną jakieś ogłoszenia lub dotacje. To widać m.in. w dyskusji o liczbie list, mało tu argumentów, same emocje. Po drugiej stronie jest jeszcze gorzej. To dziennikarze zblatowani z władzą doprowadzili do tego, że Tusk musi mieć ochronę, mnie straszono gwałtem na córkach, a żonę – oblanie kwasem. W taką atmosferę wpisuje się właśnie Lis. Ja zaś głośno apeluję o rezygnację z pogardy. Dlatego dobrze mi się rozmawia z Kosiniakiem.

Hołownia nie skończy jak Palikot, Petru czy Kukiz?

Ich ugrupowania powstawały w obliczu wyborów, nie musiały przetrwać trzech lat bez instytucjonalnego finansowania, jak my. Ja widziałem swych ludzi, gdy mieliśmy kilka procent poparcia i prawie 25 procent. Przeszliśmy przez napięcia, biedę, odejścia i inne problemy wieku dziecięcego jeszcze przed wejściem do parlamentu, a nie po. To duża różnica.

Trafił Pan do świata, który mocno stresuje i zabrudza umysł. Jakie ma Pan sposoby, by w tym nie utonąć?

Moje dwie córki mocno osadzają mnie w rzeczywistości. Żona nie jest ptakiem

gniazdującym, tylko pilotem myśliwca, obecnie w realiach wojny, więc zdarza się często, że mimo szczerych chęci nie ma jej w domu.

Mam swoje rytuały i obowiązki związane ze starszą córką, a przez znaczną część tygodnia, z uwagi na pobyt żony w bazie w Malborku, opiekuję się też młodszą, roczną córką, co oznacza bezsenne noce. Ale to mi daje świadomość, że nie mogę siedzieć tylko w świecie polityki i knuć przy kawach i tartinkach. Polityka przytrafiła mi się w osobliwym momencie, ale może to mnie też ratuje. Mam kawał normalnego życia, które mnie osadza poza pałacowymi gierkami. Zresztą ja nie chcę tkwić całe życie w polityce, bo to jak wyjście w kosmos w skafandrze, nie da się tam długo żyć.

Kiedyś działał Pan aktywnie na rzecz dzieci, niesienia im pomocy w Afryce i Azji, organizacji telefonu zaufania w Polsce. Co z tego zostało?

Odsunąłem się od moich dwóch fundacji, ale jestem nimi zbudowany. Prowadzą projekty w 14 krajach świata, od Bangladeszu przez Ukrainę po Senegal i Kongo. Setki tysięcy osób, które otrzymały pomoc, dziesiątki tysięcy zasadzonych drzew i godzin korepetycji. Po odejściu z polityki, być może po prezydenturze, wyobrażam sobie pracę w jakiejś instytucji niosącej pomoc na poziomie międzynarodowym.

Wierzy Pan w możliwość sfałszowania wyborów za pomocą dopisywania krzyżyków przez ludzi PiS w komisjach?

Wierzę w to, że im więcej będziemy mówić o tym, że Kaczyński sfałszuje wybory, tym łatwiej je przegramy. Jeśli wyborca opozycji słyszy coś takiego, to po co ma iść do urny? Skręcenie wyborów nawet na poziomie jednego okręgu to potężne przedsięwzięcie logistyczne, z dużym potencjałem wykrycia przez naszych obserwatorów w komisjach. Kaczyński prędzej zmanipuluje kampanię, finansując ją z funduszy państwa i przekazując fortunę na propagandę w TVP. Jednak mówienie o prymitywnych fałszerstwach to tylko robienie prezentu Kaczyńskiemu, a on na żaden prezent nie zasługuje. Jego jedyną szansą na wygraną są nasze błędy.

©© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC



KASIA KOZAKIEWICZ DLA „GP”

Sama się prosiła

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Przemoc na wsi działa tak samo destrukcyjnie jak w mieście, ale charakter stosunków społecznych powoduje, że trudniej się wyzwolić z toksycznych relacji. Kobieta – bo to ona jest najczęściej poddana agresji – nie ma dokąd pójść.

MAŁGORZATA ODESZŁA OD MĘŻA PO tym, jak próbował udusić ją kablem od telefonu. Krystyna zadzwoniła po pomoc z nożem wbitym w udo. Angelika zgłosiła sprawę znęcania na policję po tym, jak mąż chciał ją przejechać samochodem. Krzysztof zgłosił się do ośrodka pomocy, kiedy żona wrzuciła jego leki do szamba. Zanim do tych sytuacji doszło, przez wiele lat godzili się na przemoc i liczyli, że „jakoś to będzie”.

– Skala przemocy na polskich wsiach jest niewyobrażalna, ale znam gminy, w których nie ma pomocy dla poszkodowanych, a funkcjonariusze policji nie chcą zakładać Niebieskiej Karty i przekonują, że rodzina musi się dogadać – twierdzi Agnieszka Siekierska-Misiak, prawniczka, która udziela porad mieszkańcom wsi województwa lubelskiego. Robi to w ramach projektów unijnych realizowanych przez gminy, ale także dzięki

programom Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

Przemoc na wsi działa tak samo destrukcyjnie jak w mieście, ale charakter stosunków społecznych powoduje, że trudniej wyzwolić się z toksycznych relacji. Kobieta, bo ona jest najczęściej poddana agresji, nie ma dokąd pójść. Nie może wynająć mieszkania, ponieważ w okolicy nie ma dostępnych lokali. Ale i tak zapewne nie byłoby jej na nie stać, bo bardzo często nie ma zawodu, albo nigdy nie pracowała poza gospodarstwem rolnym.

– Przemoc tak nie boli, kiedy kobieta ma pieniądze, ale najczęściej ich nie ma. Jest uzależniona finansowo od męża. A on daje, jak chce, a jeżeli pije, a to kolejny problem na wsi, to żona skazana jest na jego łaskę. Takim kobietom trudniej pomóc – podkreśla Anna Łuba, kierowniczka Ośrodka Pomocy Społecznej w Gościeradowie.

Małgorzata

Wieś leży pod lasem, w jej centrum stoi figura pomalowana na niebiesko. Można ją objechać autem jak rondo. Małgorzata częstuje bułkami drożdżowymi. Ma 54 lata, zimą lubi spędzać czas w kuchni. Przepisy wynajduje w internecie. Specjalizuje się w tortach. Pokazuje zdjęcia w telefonie – na biszkoptach piętczą się róże, samochody i postaci z bajek, misterne dekoracje zrobiła na bazie włoskiego kremu masłanego.

– Teraz mam, można powiedzieć, słodkie życie. Ale jak mnie czasem weźmie na wspominki, nie mogę sobie podarować, że tyle czasu zmarnowałam.

Ile konkretnie? Małgorzata rozwiodła się po 27 latach małżeństwa. W tym czasie urodziła pięcioro dzieci i nie przespała wielu nocy. Jej mąż pił pod początku, ale dopiero z czasem awantury zdeorganizowały życie rodzinne.

– To nie był ślub z miłości. Nie było żadnej edukacji seksualnej, a jak dziewczyna zaciążyła, trzeba było iść za mąż. Długo nie skarżyłam się, bo sama sobie go wzięłam, chodziliśmy do jednej szkoły. No i wszędzie tak było, w każdym domu ktoś pił – wspomina.

Małgorzata hodowała świnię, krowę i kury. Miała własne warzywa, robiła sery i przetwory, mogła wykarmić dzieci i część plonów sprzedać. Mąż pracował na budowach w Polsce, ale jeździł też do

→ Belgii, do pracy w chlewni. Piekło zaczynało się, gdy wracał. „Na śnie ci łeb urąbię” – krzyczał do dzieci. Małgorzata dzwoniła po policję, ale w trakcie pierwszej czy drugiej interwencji radiowóz tylko przyjeżdżał, a funkcjonariusze wzywali pijanego mężczyznę do opamiętania, po czym odjeżdżali.

– Dopiero gdy po okolicy rozniosła się wieść, że w powiecie kraśnickim mąż zabił żonę, stosunek policjantów i urzędników do kobiet stał się bardziej przychylny – podkreśla Małgorzata. – Syn osiem lat moczył się w nocy. Żyliśmy jak na wojnie, mąż potrafił wyrwać umywalkę ze ściany. Załatwiał swoje potrzeby, gdzie popadnie.

Małgorzata szukała pomocy w interwencji, dzwoniła na Niebieską Linie, chodziła do gminy na konsultacje z prawnikiem. Rozwiodła się w 2016 r., a wcześniej jej mąż trafił do więzienia za znęcanie się nad rodziną i próbę zabójstwa.

– Kiedy go zamknęli, sama wyciągnęłam z domu tapczan, na którym spał, i spaliłam na podwórku. Pod poduszką trzymał nóż, a za łóżkiem siekierę – Małgorzata podkreśla, że o awanturach w domu wiedzieli sąsiedzi i mieszkańcy wsi. Wiele razy uciekała z dziećmi, chowała się w budynkach gospodarskich, a mimo to do dziś ludzie mają jej za złe, że się rozwiodła.

– W naszym katolickim świecie jest przyzwolenie na taki stan, kobieta ma sobie sama poradzić, a najlepiej, jak cierpi w milczeniu – podkreśla Małgorzata. – Na to mamy ponoć cztery ściany, żeby brudy prac w domu. Kiedyś próbowałam o tym rozmawiać z księdzem, jak przyszedł po kołędzie, ale co on mi mógł pomóc, jak mu prawo jazdy za alkohol zabrali? On bardziej zrozumie mojego byłego męża niż mnie.

Krystyna

Milczenie Krystyny trwało 15 lat. Wyszła za mąż zaraz po szkole zawodowej i przeprowadziła się do teściów do drugiej wsi. Pracowała na gospodarce, hodowali z mężem bydło i obrabiali 30 hektarów ziemi w powiecie chełmskim. Krystyna wstawiała przed świtem, robiła obrządek, nastawiała dojarki dla krów. Zanim obudziły się dzieci, była już porządnie zmęczona.

– Mąż nie pił, ale z byle powodu wpadł w złość i bił, czym popadło. Siniaki

Mój mąż pod poduszką trzymał nóż, a za łóżkiem siekierę. Jak go zamknęli, wyciągnęłam tapczan na podwórko i go spaliłam.

Wiesz miała mi to za złe.

albo rozcięty łuk brwiowy maskowałam. Coś we mnie pękło, kiedy mi wybił zęby. Poszłam się poskarżyć teściowej. „Wielka mi rzecz, zęby, wstawisz nowe, jak weźmiesz pieniądze za buraki. Nie ty pierwsza i nie ostatnia”, powiedziała teściowa i nawet na mnie nie spojrzała – wspomina Krystyna. – Wtedy już wiedziałam, że ją też mąż bił i mój Januszek miał się gdzie bicia wyuczyć.

Krystyna kilka razy uciekała do rodziców, ale z trójką dzieci nie mogła u nich zamieszkać, bo zapisali gospodarkę na najstarszego syna, który też miał rodzinę. Kiedy udała się po pomoc do gminy, nie miała własnych pieniędzy ani konta w banku.

– Bardzo często spotykam się z sytuacją, że osoby dotknięte przemocą tkwią w takiej relacji nawet kilkanaście lat. Doświadczają przemocy psychicznej, fizycznej i ekonomicznej. Kiedy wreszcie trafiają do ośrodka pomocy społecznej, bywa, że przyjeżdżają na rowerze, bo nie stać ich na bilet – opisuje Agnieszka Iglińska, psycholożka i psychoterapeutka od kilku lat współpracująca z gminami województwa lubelskiego.

Na pierwsze spotkanie z prawnikiem zatrudnionym przez gminę Krystyna też pojechała rowerem, chociaż był listopad i lał deszcz. Zanim jednak wsiadła na starego składaka, mąż rzucił w nią nożem.

– Wpadł w szal, kiedy się dowiedział, że zdechło ciele. Nóż wszedł głęboko w udo, krew lała się strumieniem, dzieci piszczały, a on nie chciał dzwonić po karetkę. Najstarsza córka przyniosła swój telefon i wezwaliśmy pomoc – opowiada.

Krystyna z pomocą asystenta rodziny założyła konto w banku i znalazła mieszkanie w Chełmie. Żyje z 500 plus i alimentów, które wywalczyła w sądzie. W ubiegłym roku skończyła kurs fryzjerski. Pójdzie do pracy we wrześniu, gdy najmłodszy syn zacznie naukę w szkole.

Angelika

Dopiero kiedy zaczęła przygotowywać się do sprawy rozwodowej, Angelika zrozumiała, że mąż ją oszukał. Zabrał pieniądze, które dostali od jej rodziców w posagu, kupił działkę i zapisał ją na siebie, a to miała być ich współwłasność.

Krystyna nie ma prawa do gospodarstwa i domu, w którym mieszkała i pracowała przez 15 lat, bo teściowie przekazali wszystko synowi jeszcze przed ślubem, więc nie stanowi wspólnego majątku.

– Najtrudniej było zrobić pierwszy krok – przyznaje. – Ludzie we wsi odwrócili się ode mnie i nie poradziłam sobie bez pomocy z gminy. Ciężko było żyć z mężem pod jednym dachem, nawet jak już założyli nam Niebieską Kartę, bo mnie ciągle przy dzieciach wyzywał. „Sama się prosiłaś, żeby cię bić”, powiedział, kiedy się wyprowadzałam.

– Kobiety bardzo często łudzą się, że ich mąż czy partner się zmieni. Wielokrotnie pisałam ofiarom pozwów o alimenty albo rozwód, ale papiery lądowały w ich szufladach. Nawet ostatnio pytam w ośrodku o panią Małgosię, która była tego dnia umówiona. Okazało się, że przyjęła męża z powrotem, a ja byłam pewna, że to się już nie powtórzy – mówi Agnieszka Siekierska-Misiak, prawniczka.

Angelika była w podobnej sytuacji. Wiele potrafiła mężowi wybaczyć, dla dobra córki gotowa była zapomnieć nawet o kobiecie, z którą zdradzał ją na oczach wsi.

Rozmawiamy w kawiarni, godzinę temu w Krośnie zapadł wyrok sądowy w sprawie znęcania się nad powódką Angeliką K. Sąd skazał Kamila K. na 600 złotych zadośćuczynienia i pracę na rzecz państwa.

– Mąż był wypity, umyślnie najechał na mnie samochodem, uszkodził mi nogę – opowiada Angelika. – To wtedy dotarło do mnie, że pewnego dnia mnie zabije, a naszą córkę wychowa z kochanką. Poszłam na policję i postanowiłam od niego uciec.

Mieszkali w Bieszczadach, niedaleko Komańczy. On był drwalem, ona zajmowała się domem. Znali się jeszcze ze szkoły, żyli ze sobą od 20 lat, 8 lat temu zdecydowali się na ślub. Nic nie zapowiadało esemesa, który Kamil wysłał do Angeliki po jej przeprowadzce do rodziców: „Ja cię nie biłem ot tak sobie i ty dobrze o tym wiesz”.

– Kamil dobrze zarabiał, nie chciał, żebym szła do pracy. Był zazdrosny, nie mogłam spojrzeć na innego mężczyznę nawet przypadkiem, telefon mi sprawdzał, ale poza tym to był normalny związek – opowiada Angelika. – Wszystko zmieniło się, gdy poznał tamtą kobietę. Wyzywał mnie przy ludziach, nie dawał na życie, nawet córka, z którą był mocno żyty, przestała się liczyć.

Czteroletnia Anita była świadkiem tego, jak ojciec bił mamę. Trzymał dziecko na ręce, a drugą wymierzał ciosy żonie. Kiedy Angelika trafiła do szpitala na operację, na spotkaniu z kochanką zabierał dziecko. Anita opisała mamie, co robią dorośli na tylnym siedzeniu auta, kiedy pozwalają dziecku popatrzeć na bajkę w telefonie. W opinii wychowawcy przedszkolnego można przeczytać: „Dziewczynka jest dzieckiem bardzo cichym, spokojnym i nieśmiałym. Poza tym jest zamknięta, przełęczniona i smutna. Prawie nigdy się nie uśmiecha. Nie bawi się ani nie rozmawia z kolegami i koleżankami z grupy”.

Angelika trafiła do ośrodka pomocy społecznej pod skrzydła prawnika i psychologa. Po roku udało się uporządkować sprawę prawne – ustalono miejsce pobytu dziecka, alimenty, sprawy kontaktów dziecka z ojcem. Angelika przebarbowała włosy na blond, zrobiła sobie tatuaż i poczuła się wolna. Teraz namawia do zmiany inne kobiety, które żyją w „przemocowych” związkach.

Krzysztof

– Kiedy kobieta dzwoni na policję i zgłasza przemoc, budzi współczucie, ale kiedy to samo robi facet, wzbudza politowanie –

uważa Krzysztof, rolnik z powiatu sandomierskiego. – Kiedyś wezwałem policję, przyjechał dawny kolega z podstawówki. Wyprowadził mnie przed dom i mówi: „Co ty, nie wiesz, jak babie wpięprzyć? Ja bym jej zrobił taki łomot, że by do śmierci zapamiętała. No i co, że nie masz ręki? Jedna do tego wystarczy”.

Krzysztof miał wypadek podczas żniw, maszyna urwała mu rękę. Od dziesięciu lat jest na rencie, część ziemi sprzedał i przerzucił się na uprawę malin. Nie ma jednak dużych zysków. Gospodarstwo podupada. Żona go wyzywa, ośmiesza przy dzieciach, a kiedy sama jedzie do miasta do pracy, potrafi zamknąć toaletę na klucz. Krzysztof czasem chodzi głodny, nie może korzystać z telewizora, śpi w nieogrzewanym pokoju. To kara za to, że jest życiowym nieudacznikiem.

– Mężczyźni rzadziej zgłaszają się po pomoc, wstydzą się, trudniej im przyznać się do kłopotów w rodzinie i własnej słabości – podkreśla Agnieszka Iglińska. – Kobiety częściej stosują przemoc psychiczną. Manipulują, poniżają i na różne sposoby dają odczuć mężczyźnie, że jest niewydolny.

Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia” w raporcie za 2021 r. podaje, że 76 proc. dzwoniących stanowiły kobiety. Dzieci szukały w ten sposób pomocy stosunkowo rzadko (1,4 proc. wszystkich rozmów). Połączenia wykonywano głównie z dużych miast, mieszkańcy wsi to ledwie 14 proc.

System

Wywiad środowiskowy pracowników społecznych prowadzony w wielu polskich

gminach pokazuje, że przemoc dziedziczymy po przodkach. Dziecko wyrasta w domu, w którym problemy i spory załatwia się biciem, nie szanuje się granic, nie ma jasnych i respektowanych zasad, nie wiadomo, czy rodzic wróci trzeźwy, czy w szale alkoholowym nie przeciągnie syna za włosy po schodach. W takim otoczeniu trudno odrabiać lekcje, uczyć się i planować przyszłość, bo każdy wieczór może być wstrząsającą niespodzianką.

– Znam wiele rodzin, w których przemoc przechodzi z ojca na syna. Ludzie wychowani w takich domach szukają sobie podobnych partnerów. Przeżyli piekło w dzieciństwie, a po kilku latach małżeństwa realizują podobny schemat – podkreśla Anna Łuba, kierowniczka OPS w Gościeradowie. – Nie znają innego życia, przemoc traktują jako zjawisko oswajone: „dziadek lał babkę, ojciec matkę, to i ty wycierpisz”, to przekaz wyssany z mlekiem matki.

Anna Łuba, która obserwuje wiejskie relacje od lat, zachowuje jednak ostrożny optymizm. Wie, że nie wszystkim można pomóc, więc cieszy się z małych sukcesów, bo one mogą być początkiem rewolucyjnych zmian. Dlatego założyła w gminie grupę wsparcia dla osób dotkniętych przemocą. Spotkania prowadzi psycholog. Raz w roku odbywają się też warsztaty wyjazdowe. Z dala od domu, w nowym otoczeniu, łatwiej otworzyć się i opowiedzieć o traumatycznych doświadczeniach. Warsztaty to także okazja, by odpocząć i poznać Polskę – byli w Zakopanem, Nałęczowie, Krynicy.

Dla wielu osób był to pierwszy w życiu rekreacyjny wyjazd z domu.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

● **WARSZAWA**, sobota 4 marca,
kawiarenka z tekstem Tomasza Stawiszyńskiego,
„Wykluczenie to też obojętność” / stacjonarne /

– rozdział „Od globalnej wioski do civitas
oecumenica”, cykl „Wspólne czytanie” / online /

● **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 6 marca,
spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka
„Popołudnie chrześcijaństwa”

● **LONDON, ONTARIO**, sobota 11 marca,
spotkanie dyskusyjne „Mikołaj Kopernik.
Fakty i domysły”
/ stacjonarne /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji
na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

Sprawę załatwimy, ale później

ANNA GOC

Komendy policji, ośrodki zdrowia oraz urzędy powinny być dostępne dla wszystkich. Głusi o swoje prawa wciąż walczą, często bezskutecznie.

KOMISARIAT NA MAŁCZEWSKIEGO zbywa osobę głuchą, która chce zgłosić zawiadomienie o przestępstwie, nawet chcąc komunikować się na piśmie. Policja domaga się obecności tłumacza, a jego akurat nie ma – trzeba umówić. Mamy sobie iść i napisać zawiadomienie mailem – minie kilka dni kiedy osoba głucha może znaleźć kogoś do pomocy w napisaniu pisma. W przypadku umówienia tłumacza także minęłoby kilka dni. (...) A co w przypadku gwałtów? Też trzeba napisać sobie zgłoszenie mailem i czekać parę dni?” – wpis pojawia się 19 lutego na profilu społecznościowym Małgorzaty Talipskiej.

Talipska jest liderką środowiska głuchych, działaczką społeczną, prezeską Instytutu Spraw Głuchych. Od urodzenia nie słyszy. Posługuje się polskim językiem migowym (w skrócie PJM) i pisaniem językiem polskim.

Opisała sytuację, która rozegrała się 14 lutego w Komendzie Rejonowej Policji Warszawa II. Tuż po 15.00 Talipska i jej znajoma Marta (imię kobiety zmienione) próbowały zgłosić oszustwo. Dzień wcześniej Marta znalazła używany fotel na platformie market place (Facebook). Umówiła się z właścicielem, że zapłaci tylko za przesyłkę, a resztę – przy odbiorze. Sprzedawca wysłał jej link do płatności, kliknęła w niego, otworzył się ekran z kafelkami banków. Jednak gdy chciała autoryzować przelew, jej komputer zawiesił się, a z konta zniknęła spora suma pieniędzy. Prawdopodobnie padła ofiarą tzw. *phishingu*.

1 „Dzień dobry, jesteśmy osobami niesłyszącymi – prosimy pisać. Chcę zgłosić kradzież z konta – oszustwo”

– napisała Małgorzata Talipska na swoim telefonie i podała go policjantowi dyżurnemu. Z jej relacji wynika, że wymiana zdań z policjantem trwała kilkanaście minut, ona pisała w swoim telefonie pytania, a policjant – także w jej telefonie – odpowiadał. Talipska wysłała mi kopię tej rozmowy. „Proszę opisać sytuację mailowo na adres komendy i pewnie zaizoluje potrzebę ustalenia terminu z tłumaczem języka migowego chyba że państwo takową osobę macie która z wami może przyjść” – odpisał policjant.

Marta przyszła na komendę, żeby zgłosić pisemne zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Chciała to zrobić osobiście, na miejscu. Ale że nie pisze biegle po polsku, poprosiła Talipską o pomoc jako tzw. osobę przybraną. Zgodnie z prawem może to zrobić.

Jednostki policji jako podmioty publiczne są zobowiązane dwiema ustawami – z 19 sierpnia 2011 r. o języku migowym i innych środkach komunikowania się oraz ustawą z 19 lipca 2019 r. o zapewnianiu dostępności osobom ze szczególnymi potrzebami – do zapewnienia komunikacji osobom niesłyszącym.

– Ważny jest artykuł czwarty ustawy o języku migowym, który mówi jednoznacznie, że osoba głucha ma prawo do swobodnego korzystania z wybranej przez siebie formy komunikacji. To ona decyduje, jak chce zgłosić zawiadomienie. Ma kilka możliwości: pisemną na miejscu, pisemną drogą elektroniczną, za pośrednictwem tłumacza, a nawet – może wysłać nagranie w polskim języku migowym na adres komendy i w ten sposób zgłosić swoją sprawę. Policja każda z tych form musi przyjąć i się nią zająć – wyjaśnia Przemysław Herman, zastępca dyrektora w Ministerstwie Funduszy i Po-

lityki Regionalnej, który odpowiada m.in. za realizację zadań wynikających z wdrażania ustawy o zapewnieniu dostępności. – Jeśli kobiety chciały opisać na komendzie swoją sprawę i w ten sposób ją zgłosić, miały do tego prawo. Policjant może wskazać inne możliwości, ale żadnej z nich nie może narzucić.

Niepokój Talipskiej wzbudził jeszcze jeden szczegół: funkcjonariusz zalecił kobietom napisanie maila i zaznaczenie w nim, że konieczne będzie wezwanie tłumacza.

– Z relacji kobiet wynika, że policjant wymagał różnych form zgłoszenia, niepotrzebnie łącząc je. Propozycja mogłaby brzmieć: albo umawiamy tłumacza polskiego języka migowego na konkretny dzień i wtedy panie za jego pośrednictwem zgłaszają nam sprawę. Albo: zgłaszacie ją mailowo, a my, także mailowo, dopytujemy, jeśli zajdzie taka potrzeba, o szczegóły – precyzuje Herman. – Kobiety twierdzą, że chciały zgłosić swoją sprawę na miejscu i miały do tego prawo.

2 Asp. Iwona Kijowska, p.o. oficer prasowej Komendanta Rejonowego Policji Warszawa II, napisała nam: „Obsługujący zdarzenia w tym dniu policjant, w trosce o osobę ze szczególnymi potrzebami, zaproponował dogodniejszą, bardziej komfortową i zgodną z przepisami prawa, formę złożenia zawiadomienia, a mianowicie formę pisemną. Zaproponował, by sprawa została opisana i wysłana drogą elektroniczną na wskazany adres e-mail (...)”.

Kijowska dodała, że „zgłoszenie zdarzenia drogą elektroniczną, napisane w domowym zaciszu jest mniej stresującym przeżyciem, niż oczekiwanie w kolejce, w punkcie kontroli ruchu osobowego budynku komendy policji, na osobisty kontakt z policjantem pełniącym dyżur zdarzeniowy w tym dniu”.

Tyle że kobiety i tak czekały w kolejce i miały też kontakt z dyżurującym policjantem.

„Wybór zaproponowanej formy pisemnej należał do kobiet, które podjęły taką decyzję i opuściły budynek komendy” – dodała na zakończenie asp. Kijowska.

Wersja kobiet jest inna. Małgorzata Talipska podkreśla, że wybrały formę pisemną, ale chciały sprawę zgłosić w komendzie. – Czuliśmy, że policjant



Informacja o dostępności tłumacza w urzędzie pracy w Łodzi.
Styczeń 2019 r.

chce narzucić nam formułę zgłoszenia mailem i się niecierpliwi. Na nasze pytania odpisywał z wielkimi oporami. Każde kolejne pytanie powodowało w nas poczucie bezradności – relacjonuje Małgorzata Talipska. – Jeśli chodzi o ustawę o dostępności, to ja potrafię walczyć o swoje prawa w urzędach. Ale na policji mam obawy, bo wiem, że mogliby uznać moją dyskusję za agresję. Kilka lat temu miałam stłuczkę, ktoś wjechał w mój samochód i uciekł. Pojechałam od razu na komendę, ale policjant nie chciał rozmawiać bez tłumacza. Gdy zwróciłam uwagę, że mają obowiązek zapewnić tłumacza, odpowiedział, że nie ma w tej chwili funkcjonariusza, który mógłby spisać moje zeznania, i żebym przyjechała później.

3 W Komendzie Rejonowej Policji Warszawa II wisi symbol tłumacza PJM, a na stronie internetowej jest zamieszczona deklaracja dostępności. „Istnieje możliwość załatwienia sprawy z pomocą tłumacza polskiego języka migowego i systemu języka migowego online w komendzie”.

Insp. Mariusz Ciarka, rzecznik prasowy Komendanta Głównego Policji, zapewnia, że pod koniec lutego 2020 r. instytucja wprowadziła ogólnopolskie rozwiązania, które mają usprawnić komunikację z osobami głuchymi i słabosłyszącymi.

„Osoby posługujące się PJM/SJM mają możliwość dokonywania zgłoszeń w jednostce Policji, jak również za pośrednictwem połączenia internetowego. Usługa tłumacza języka migowego jest dostępna w dni powszednie, od poniedziałku do piątku w godz. 8.00-20.00” – informuje insp. Ciarka.

Dlaczego więc w komendzie, która deklaruje dostępność tłumacza online, policjant nie uruchomił aplikacji? Tego nie wiadomo. Napisał tylko kobietom, że na komendzie „nie dysponują od ręki tłumaczem”. Niestety, ten problem – pozornej dostępności – zgłaszają głusi w różnych częściach Polski. Instytucje publiczne niby informują, że posiadają rozwiązania zapewniające dostępność, ale gdy pojawia się osoba głucha, nagle okazuje się, że z jakiegoś powodu tłumacza online nie da się uruchomić.

Z tłumaczeń online korzysta jednak coraz więcej instytucji. – Współpracujemy

między innymi z władzami Warszawy i 1600 jednostkami podległymi: placówkami ochrony zdrowia, bibliotekami, żłobkami. Łącznie pracujemy dla ponad 2200 podmiotów. Nasi tłumacze obsługują też Narodowy Fundusz Zdrowia, i to całodobowo – mówi Paweł Potakowski, dyrektor ds. komunikacji z migam.org, które działa od 2011 r. – Jeśli do szpitala trafia osoba głucha, a szpital jest naszym klientem, personel po prostu uruchamia aplikację z tłumaczem. W dni robocze mamy też darmowe pięciogodzinne panele. Wtedy głusi mogą samodzielnie łączyć się z tłumaczami. Zaobserwowaliśmy, że głusi dzwonią także w czasie kontaktu z policją. Usiłują zgłosić przestępstwo albo na przykład przekroczyli prędkość. Jednak zgodnie z ustawą o zapewnieniu dostępności to policja powinna pokryć koszt tłumacza, a nie prywatne firmy, takie jak nasza.

4 Ustawa o zapewnieniu dostępności umożliwiła głuchym efektywniejsze wnioskowanie o zapewnienie tłumacza PJM. Instytucje publiczne wciąż mają na to trzy dni, jednak dzięki nowym przepisom, jeśli tego nie zrobią, wnioskujący może złożyć skargę do Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. – Grzywnę w wysokości 50 tys. zł można nakładać wielokrotnie za ten sam brak dostępności, aż do wysokości 200 tys. zł – wyjaśnia Adam Zawisny, wiceprezes Instytutu Niezależnego Życia, który monitoruje m.in. proces wdrażania Konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych.

Z danych PFRON wynika, że do końca stycznia 2023 r. złożono 16 skarg na brak dostępności informacyjno-komunikacyjnej, najczęściej dotyczyły one braku tłumacza PJM.

Marta i Małgorzata poprosiły policjanta o protokół, czyli potwierdzenie, że próbowały zgłosić swoją sprawę. Policjant go jednak nie wydał. Zapytana o to rzeczniczka komendy odpisała, że „można go sporządzić w odpowiednim do okoliczności terminie późniejszym”.

19 lutego kobiety wysłały zgłoszenie sprawy mailem na adres podany przez policjanta. Do 24 lutego, kiedy zamykałmy ten numer „Tygodnika”, nie otrzymaliśmy jednak żadnej odpowiedzi z komendy. ©

TOMASZ

Stawiszyński: Nieinteresujące Obiekty Latające



PYTANIE BRZMI: CO TUTAJ WŁAŚCIWIE JEST najdziwniejsze? Tajemnicze Niezidentyfikowane Obiekty Latające – bezlitośnie, choć oczywiście *lege artis*, zestrzelone 10 lutego nad Alaską przez siły powietrzne Stanów Zjednoczonych? Czy też

raczej okoliczność, że ich zestrzelenie zostało natychmiast podane do publicznej wiadomości? Ostatecznie, takie sprawy zazwyczaj się utajnia, i to z powodów brzmiących całkiem racjonalnie. Chodzi mianowicie o to, żeby przedstawiciele nie tyle pozaziemskich cywilizacji, ile całkiem ziemskich mocarstw nie wiedzieli dokładnie, jakimi konkurencja dysponuje możliwościami obserwacyjnymi i militarnymi. Jeśli więc już tego typu informacje zostają ujawnione – co zdarza się nader rzadko, ostatnio rok temu, kiedy to w Kongresie USA odbyło się pierwsze od pół wieku otwarte przesłuchanie w sprawie UFO – opatruje się je starannymi didaskaliaми. A także załącza nagrania, na których jasno widać, że faktycznie, nie da się ukryć, coś się w powietrzu przemieszcza, ale w jaki sposób i co to właściwie jest – nie wiadomo. Znowu: istnieją i tutaj wytłumaczenia naturalistyczne, np. że to mogą być jakieś powidoki albo inne osobliwe efekty wizualne. Czy są to jednak wytłumaczenia zadowalające, również dla Pentagonu – w to należy wątpić. Inaczej bowiem nie prezentowano by tych zjawisk właśnie jako niewytłumaczalnych, nieprawdaz?

Ale – w sumie – jeszcze dziwniejsze jest chyba to, że po tygodniu oficjalnie ogłoszono bezowocne zakończenie poszukiwań tych zestrzelonych obiektów. Tak jakby – dosłownie – uległy one procesowi dematerializacji. Leciwały, zostały trafione i zniknęły. Jakkolwiek, jeśli założyć na moment, że faktycznie były to wehikuły przybyłe z jakiejś odległej a wysocze zaawansowanej technologicznie cywilizacji – może nie w tym nie ma dziwnego? Może ekspedycję je tutaj kosmici, w trosce o anonimowość – którą wszak udaje im się od niepamiętnych czasów zachować – wyposażyli je, na wypadek demaskacji, w odpowiednie mechanizmy samozniszczenia?

Jest to teoretycznie możliwe. Choć są i tacy, którzy uważają, że rozgłaszając wieści o obiektach zestrzelonych nad Alaską, Amerykanie chcieli po prostu „przykryć” wcześniejsze, nie do końca wizerunkowo korzystne zdarzenia z udziałem chińskich balonów szpiegowskich. To również jest teoretycznie możliwe. No ale takie dywagacje donikąd nas przecież nie doprowadzą.

Mnie w każdym razie najbardziej dziwi zupełnie coś innego, a mianowicie – zaskakujący brak zainteresowania tymi rewelacjami ze strony wszelkiej maści ekspertów od teorii spiskowych, sekretnych knowań światowych rządów i ufologicznych tajemnic. Zazwyczaj wychwytyują oni najdrobniejsze nawet medialne wzmianki o różnych zagadkowych fenome-

nach i kreują na ich podstawie najbardziej fantastyczne scenariusze. Tymczasem tutaj – cisza. Dlaczego?

Zanim pokrótce odpowiem na to pytanie, dodam tylko, że w fascynacji UFO, tak charakterystycznej dla współczesnych czasów, w gruncie rzeczy wcale nie chodzi – a przynajmniej nie wyłącznie – o UFO. W epoce rozwoju technologicznego – na co uwagę zwrócił ongiś Jung w książce „Nowoczesny mit. O rzeczach widywanych na niebie” – Niezidentyfikowane Obiekty Latające stanowią wszak doskonały symbol religijnych tęsknot wciąż odczuwanych przez społeczeństwa w ogromnym stopniu już niereligijne. Esencjalnie wyraża tę prawdę hasło ze słynnego plakatu ozdabiającego ściany gabinetu agenta Foksa Muldera, bohatera kultowego serialu „Z Archiwum X”: „Chcę wierzyć”. Pasja, z jaką Mulder poszukuje odpowiedzi na pytanie o istnienie obcych, nie ustępuje wszak pasji wykazywanej przez mistyków i teologów poszukujących Najwyższego Bytu.

UFO i kosmici to dzisiaj doskonały kostium dla transcendencji. Ponieważ „człowiek nowoczesny” nie wierzy już raczej w Boga czy bogów, tylko w technologię, i to w niej właśnie pokłada nadzieję na życie wieczne (w perfekcyjnie zakonserwowanym albo cyborgicznym ciele), archetypowa idea „czegoś ponad” przejawia się w dekoracjach dłań zrozumiałych i atrakcyjnych. Dlatego właśnie przybysze z innych planet bywają bardzo często przedstawiani – choćby u zapomnianego nieco Ericha von Dänikena, ale i w nowych częściach „Obcego” – jako stwórcy ludzkości. Posłanie zaś, które przynoszą, jest w sensie jak najściślejszym posłaniem zbawczym. Nawet jeśli cała zbawcza zawartość polega tu na uwidocznieniu, że w gigantycznym, przerażającym i zasadniczo nieprzyjaznym kosmosie nie jesteśmy mimo wszystko całkiem samotni...

Przyznam, że argumentacja Junga w kwestii kosmitów mnie przekonuje. Mam zresztą wrażenie, że współczesnych krypto-techno-religii jest coraz więcej – przykładem transhumanizm, ale nie tylko. Pogłoski o kryzysie religii są więc zdecydowanie przesadzone, dzisiaj żyje ona jedynie w innym niż dotąd przebraniu.

No ale wróćmy na koniec do zasadniczej wątpliwości inicjującej niniejszy felieton, a mianowicie: dlaczego informacje o zestrzelonych nad Alaską Niezidentyfikowanych Obiektach Latających przeszły bez specjalnego echa? Otóż hipotezy mam dwie. Pierwsza: może dlatego, że tego typu sprawy, jeżeli są jawne i oficjalnie podawane do wiadomości, niejako z definicji nie wywołują ekscytacji. I druga, bardziej, jak sądzę, prawdopodobna, w myśl której tak intensywnie zatopieni dziś jesteśmy w całkiem ziemskich kłopotach i troskach, że te pozaziemskie – przynajmniej chwilowo – przestały nas interesować. ©

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 7/21 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Ewie Marii Radomskiej-Czapiga z domu Woźnickiej, zm. 4 września 2013 r., ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Szczęśliwickiej 51, c. Józefa i Zofii z d. Wodzińskiej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 1003/22 toczy się sprawa z wniosku Powiatu Mińskiego o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat przedmiotu świadczenia w postaci pieniędzy w kwocie 982 (dziewięćset osiemdziesiąt dwa) złote z tytułu odszkodowania za nieruchomość zajęta pod drogę – działkę nr 7080/2 o pow. 0,0006 ha, położoną w Mińsku Mazowieckim, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta, a której właściciele zmarli, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działek po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 365/22 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Dudku, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie (55-200) przy ul. Opolskiej 32/5. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim I Wydział Cywilny informuje, że w sprawie prowadzonej pod sygnaturą I Ns 505/21 zezwolił Pawłowi Osicy na złożenie do depozytu sądowego kwoty 5 545,50 zł, a także zezwolił na złożenie do depozytu sądowego dziesięciu kolejnych rat w kwotach po 11 754,85 zł każda, należnych z tytułu spłaty jako części pierwszej raty płatnej z tytułu spłaty orzeczonej w sprawie I Ns 545/18 tutejszego Sądu. Kwota 5 545,50 zł i kwoty złożone z tytułu kolejnych rat mają zostać wydane Annie Osicy bez żadnych warunków.

W Sądzie Rejonowym w Tychach Wydziale I Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 516/22 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Cecylii Kuczera z d. Pluszczyk, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Tychach, zm. 27 września 2022 r. w Tychach. Skład spadku oraz zawód spadkodawczyni nie są znane.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Tychach I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 401/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości gruntowej położonej w Parąbku obejmującej działkę gruntu o nr. 445/2, o powierzchni 0,2848 ha, dla której Sąd Rejonowy w Tychach prowadzi księgę wieczystą o nr. KA1T/00023397/6. Ujawnionym właścicielem opisanej nieruchomości jest Józefa Broncel, c. Klemensa i Marii, zm. 28 kwietnia 1986 r. w Tychach, a aktualnie nieruchomość pozostaje w posiadaniu Romana Patola i Heleny Nachowiak-Patola.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Tarnowie pod sygn. akt I Ns 1312/22 toczy się postępowanie z wniosku Bolesława Błażeja o stwierdzenie nabycia przez wnioskodawcę przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości w postaci działki ew. nr 959 o pow. 0,54 ha położonej w Zabawie, gm. Radłów, powiat tarnowski, obręb nr 0012, powstałej z parcel kat. 826/4, 825/4, 824/4, 820/4, 811/5, 812/4, 813/4, 814/4, 815/4, 816/4 i 817/4 objętych LWH 118 gm. kat. Zabawa.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie i wykazali swe prawa do przedmiotu postępowania o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić nabycie własności zgodnie z wnioskiem.

Przed Sądem Rejonowym w Rzeszowie I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 350/20 toczy się postępowanie w sprawie z wniosku Genowefy Gołąb i Jerzego Gołąb o rozgraniczenie nieruchomości położonych w Lubeni, gm. Lubenia, oznaczonych jako działki: 955 (stanowiąca własność Genowefy Gołąb i Jerzego Gołąb) i 954/2 (stanowiąca drogę dojazdową o nieuregulowanym stanie prawnym, będąca we władaniu Gminy Lubenia).

Sąd wzywa właścicieli działki 954/2, ich następców prawnych i innych zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Rzeszowie celem wzięcia udziału w sprawie w charakterze uczestników postępowania, gdyż w przeciwnym razie sąd dokona rozgraniczenia bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 709/22 toczy się postępowanie z wniosku Anny Lutomskiej-Cudny o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Brzeskiej z d. Proszkowskiej, c. Stefana i Bronisławy z d. Narbut, ur. 9 września 1909 r. w miejscowości Tarnia i uznanej za zmarłą z dniem 31 grudnia 1955 r., ostatnio stale przebywającej w Niemczech.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SAPIEHA, WOJTYŁA I TAJEMNICE TECZEK

Materiały historyczne na temat erotycznych zachowań kard. Adama Sapiehy są na tyle poważne, że wymagają dalszego badania. Czy jednak są podstawy, aby budować na nich hipotezę o molestowaniu Wojtyły przez Sapiechę?

ARTUR SPORNIAK

Czy Karol Wojtyła jako kleryk był molestowany przez abp. Adama Stefana Sapiechę, a jeśli tak, czy to wpłynęło na jego podejście do nadużyć seksualnych w Kościele? Taka sugestia znalazła się w książce „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”, która ukaże się 8 marca w wydawnictwie Agora. Jej autor Ekke Overbeek – holenderski dziennikarz od lat mieszkający w Polsce – uważa, że „postać Sapiehy może okazać się kluczowa dla zrozumienia, dlaczego późniejszy papież Jan Paweł II milczał i odwracał wzrok, gdy docierały do niego informacje o przestępstwach seksualnych księży”.

Za taką hipotezą nie przemawiają jednak argumenty – autor wywodzi ją pośrednio z donosu ks. Anatola Boczka, konfidenta komunistycznego Urzędu Bezpieczeństwa. Ten duchowny, oskarżany o wykorzystywanie dzieci, w 1950 r. opowiadał UB o praktykach krakowskiego metropolity, wówczas już ponad 80-letniego, który miał napastować erotycznie księży ze swojego otoczenia.

Jest to w gruncie rzeczy poboczny wątek w książce, która w zamierzeniu autora

ma udowodniać, że przyszły papież już w czasach krakowskich miał świadomość procederu wykorzystywania dzieci przez księży i niewiele miał z tą wiedzą robić.

Ale właśnie ten nowy wątek podjęła w minionym tygodniu „Gazeta Wyborcza” w artykule zatytułowanym „Kardynał Sapieha, Książe Niezłomny Kościoła, mentor Karola Wojtyły, molestował kleryków – wynika z dwóch niezależnych śledztw dziennikarskich”. Jak dowiadujemy się z tekstu, to drugie śledztwo miał przeprowadzić Marcin Gutowski, dziennikarz TVN24 – jego ustalenia zostaną przedstawione w najnowszym odcinku cyklu „Bielmo”, który zostanie wyemitowany na początku marca. W rozmowie z „Tygodnikiem” Gutowski potwierdził, że dotarł do drugiego materiału na temat domniemyanych aktywności Sapiehy wobec innych duchownych.

Pseudonim „Luty”

My także dotarliśmy do tego materiału. Ale zacznijmy od początku: od ks. Boczka.

Po II wojnie światowej Kościół katolicki w Polsce stał się dla komunistycz-

nej władzy jednym z głównych przeciwników. Szybko rozpoczęły się prześladowania, agenturalne rozpracowywanie duchowieństwa i działania, które miały podkopać autorytet Kościoła w społeczeństwie. To one stanowią kontekst dla obu relacji na temat Sapiehy.

Autorem pierwszej jest człowiek o, mówiąc bardzo ogólnie, pogmatwanym życiorysie. Anatol Boczek urodził się w 1920 r. Również Wojtyła, do krakowskiego seminarium duchownego wstąpił cztery lata wcześniej niż przyszły papież – w roku 1938.

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski poświęca mu duży fragment swojej książki z 2007 r. „Księża wobec bezpieki”. Z jego ustaleń wynika, że już na pierwszej placówce po święceniach w 1943 r., w parafii w Krzęcinie koło Skawiny, ks. Boczek popadł w konflikt z kurią, który zakończył się porzuceniem przez niego archidiecezji i wyjazdem na Ziemię Zachodnie, gdzie pracował jako robotnik. Po pewnym czasie wrócił do Krakowa, przeprosił metropolitę i został przywrócony do pracy duszpasterskiej. „Jako wikary przechodził





ARCHIWUM TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Kardynał Adam Sapieha przed katedrą wawelską, ok. 1950 r.

z parafii do parafii, wszędzie popadając w różnego rodzaju konflikty i w kłopoty na tle obyczajowym” – zauważa ks. Isakowicz-Zaleski.

Z tego też powodu w 1947 r. zaczyna się nim interesować Urząd Bezpieczeństwa. W lutym 1949 r. Boczek podpisuje zobowiązanie do współpracy, przyjmując pseudonim „Luty” (potem „Porwa”). Działa w gronie „księży patriotów” – ruchu duchownych deklarujących poparcie dla komunistycznej władzy i przez nią animowanego. W 1950 r. kard. Sapieha nakazuje mu wycofać się z tej działalności – gdy ten odmawia, zostaje suspendowany.

Donosy księdza Boczka

Ten kontekst biograficzny ks. Boczka jest istotny – na jego relacji dla UB (czytaj: donosie) opiera się hipoteza Overbeeka.

Donos Boczka opublikowany w książce „Maxima culpa” – bez krytycznej analizy tego źródła – pochodzi właśnie z 1950 r. Boczek opowiada ubekom, że w lipcu tego roku, w dniu jego urodzin, Sapieha wezwał go do siebie i w odalonym pokoju kazał mu się rozebrać.

„Następnie moim paskiem od spodni uderzył mnie około 20 razy w gołe siedzenie. (...) Przy czym cały czas był widocznie podniecony” – relacjonuje tajny współpracownik. Dwa miesiące później składa kolejne, obszerniejsze wyjaśnienia. Twierdzi, że metropolita z każdym z kandydatów do seminarium rozmawiał osobno. W jego przypadku miał pytać, czy współżył już z kobietą i czy się masturbował; miał rozpiąć jego spodnie i dotykać genitaliów.

Z relacji Boczka wynika, że w latach 1945-47 dwa razy był wzywany do metropolity, za każdym razem z powodu skarg na niemoralne zachowanie w parafiach, gdzie pracował. Zdaniem Boczka, Sapieha wykorzystywał te wezwania do erotycznych praktyk. „Kard. Sapieha przyjął mnie wtedy w łóżku. Kiedy znalazłem się w jego sypialni, po rozmowie na temat swego doniesienia, wyszedł w kalesonach i koszuli z łóżka, kazał zamknąć wszystkie drzwi na klucz i rozebrać się do naga. Obmaczywał mnie po całym ciele, następnie trzymał i ścisnął za genitalia jedną ręką, kazał wypiąć tylną część ciała

i drugą ręką sznurem z węzłami uderzył mnie około 15 razy. Wszedł do łóżka i powiedział, że była to kara za to, że się rozpustnie zachowuję na parafii”.

Nie wiemy, czy jego opowieść jest prawdziwa, czy ma stanowić np. element przygotowywanej przez UB prowokacji, mającej zniszczyć autorytet metropolity krakowskiego w społeczeństwie. Wiemy, że Boczek miał powody, by zaszkodzić arcybiskupowi w oczach funkcjonariuszy UB, którzy gromadzili materiały przeciw Sapiesze. Nie zdążyli ich wykorzystać – kardynał zmarł w lipcu 1951 r., zanim komunistyczny terror uderzył najmocniej w krakowską kurię.

Kuria zaś mogła zdawać sobie sprawę, z kim ma do czynienia, bo po zdjęciu z niego suspensy Boczek został wikariuszem w peryferyjnej parafii, aby – jak uważa ks. Isakowicz-Zaleski – „agent UB nie mógł wyrządzać Kościołowi znaczących szkód”. Po nadejściu politycznej odwilży w 1956 r. bezpieka sama wyrejestrowała go jako współpracownika, uznając za nieprzydatnego z powodu alkoholizmu. Boczek zmarł w 1993 r.

Zeznanie księdza Mistata

→ Druga znana dziś relacja, w której mowa o erotycznych praktykach starszego się Sapiehy, brzmi bardziej wiarygodnie niż donosy Boczek. To zeznanie złożone w śledztwie przez ks. Andrzeja Mistatę (1919-99), w latach 1945-47 kapelana Sapiehy. Natrafiła na nie podczas kwerendy w IPN Joanna Tokarska-Bakir, pracująca nad książką o pogromie krakowskim z 1945 r. Zeznanie Mistata nosi datę 10 sierpnia 1949 r. Prof. Tokarska-Bakir, która cytuje je w przygotowywanej książce, udostępniła jego treść Marcinowi Gutowskiemu, a także „Tygodnikowi”.

Zdecydowaliśmy się opublikować jego treść – bez tego trudno komentować zarzuty wobec kard. Sapiehy. Zeznanie brzmi następująco:

„Po objęciu funkcji kapelana po trzech tygodniach byłem z kardynałem samochodem w lasku Wolskim. Podczas jazdy samochodem, oraz podczas przechadzki w lasku Wolskim kardynał Sapieha uderzał mnie laską i ręką po pośladkach, względnie genitaliach. Zwróciłem mu wówczas uwagę na niestosowne zachowanie. Odpowiedział mi, że nic mi się nie dzieje. Po powrocie do domu kardynał oznajmił mi, że mnie odwiedzi w moim mieszkaniu. Po podwieczorku przyszedł do mojego mieszkania, pragnąc je oglądnąć. (...) Następnie pytał mnie o moje zdrowie, mówiąc że mnie zbada, czy nie jestem chory. Zlecił mi zdjęć sutannę i położyć się na tapczanie, co uczyniłem. Wtedy kardynał macał mnie po całym ciele, również po częściach płciowych. Ponieważ uważałem to za rzecz ubliżającą mi, wstałem i oświadczyłem mu, że nie ma żadnych danych, [był] jako lekarz dokonywać na mnie podobnych oględzin i że jest to dla mnie bardzo kompromitujące i wstydlive, i gdybym wiedział, że przechodzić będę takie tortury, za żadną cenę nie zgodziłbym się być kapelanem. Pytałem się go, czy każdy kapelan musi przechodzić takie oględziny. Odpowiedział, że każdy. Wtedy oświadczyłem mu, że miało to miejsce pierwszy i ostatni raz za moją zgodą.

Wtedy zrozumiałem, że kardynał Sapieha jest homoseksualistą”.

„Nakazał przeciwstawiać się”

Mistat zeznaje dalej: „Tego samego dnia o powyższym fakcie opowiedziałem kanclerzowi [kurii] Stefanowi Mazan-



Kardynał Adam Sapieha, lata 40.

kowi. Ks. Mazanek odpowiedział, że nie powinienem sobie na to pozwolić. Na moje oświadczenie, że nie wiedziałem, o co chodzi, ks. Mazanek powiedział, że bym się tym nie przejmował, a w przyszłości gdyby zaszedł podobny wypadek, abym się wzbraniał.

Na drugi dzień opowiedziałem o tym zdarzeniu biskupowi [Stanisławowi] Rospondowi [wówczas biskup pomocniczy krakowski – red.], który powiedział mi, że o tych wyczynach kardynała coś słyszał, tłumaczył to jego pochodzeniem i zboczeniem wśród arystokracji. Nie zalecał mi odejścia ze stanowiska kapelana, ale nakazywał przeciwstawienie się, na wypadek powtórzenia się podobnych scen i zachowanie tajemnicy o powyższym wypadku.

O powyższym wypadku powiedziałem również ks. Kurowskiemu Karolowi, rektorowi Seminarium Duchownego krakowskiego, i on również zalecił mi o powyższym nikomu nie mówić i nie odchodzić ze stanowiska kapelana.

Następny wypadek miał miejsce u mnie w mieszkaniu, dokąd przyszedł kardynał i chciał dokonać oględzin, czemu się stanowczo sprzeciwiłem. Kardynał jednak nie zważał na moje sprzeciwy i gonił mnie po pokoju, doprowadzając do tego, że złapałem go za ręce i oświadczyłem mu, że jeśli nie przestanie, to odejdę ze stanowiska kapelana. (...)

Widziałem podobne zdarzenia w sali przyjęć w Kurii Metropolitalnej w prywatnych apartamentach kardynała Sapiehy z ks. Górskim Jerzym [1938 Jan?] i Chwierutą Józefem [1943].

O oględzinach przez kard. Sapię opowiadali mi ks. Iżowski Jerzy [1943], Jarnot Antoni [1944], Kowalczyk Stefan [1944], Boczek Anatol [1943], na których tych oględzin dokonywał kardynał.

Domyślałem się z zachowania i z poufałości z kardynałem Sapię, że on dopuszcza się czynów nierządnych na ks. Satorze Mieczysławie [1943], Szczotkowskim Józefie [1939], Krzystyniaku Zdzisławie [1945] i Schmicie Rudolfie [1940]”.

W nawiasach kwadratowych podaliśmy roczniki święceń; Wojtyła otrzymał święcenia 1 listopada 1946 r.

Aresztowany

Zeznanie ks. Mistatę powstało w dramatycznych okolicznościach.

Należał on do seminaryjnego rocznika razem z ks. Boczekiem – został wyświęcony w 1943 r. Jako kapelan metropolity podróżował z nim w 1946 r. do Rzymu po insygnia kardynalskie. Przewoził wówczas przesyłkę z Komendy Głównej podziemnej organizacji Wolność i Niezawisłość dla gen. Władysława Andersa, dowódcy II Korpusu Polskiego, a w odwrotną stronę listy dla rodzin jego żonierzy.

Ta kurierska misja stała się w 1953 r. podstawą oskarżenia ks. Mistatę o rzekomą działalność szpiegowską w tzw. procesie kurii krakowskiej, w wyniku którego został skazany na 10 lat ciężkiego więzienia.

Zanim to nastąpiło, gdy atmosfera wokół niego gęstniała, w 1948 r. został on skierowany na Ziemię Zachodnie. Ostatecznie trafił do Cybinki, gdzie miejscowa ludność przez kilka tygodni broniła go przed zatrzymaniem przez UB. Ostatecznie został aresztowany 3 sierpnia 1949 r. Data jego zeznania na temat Sapiehy wskazuje, że zostało ono zapisane po tygodniowych przesłuchaniach. Jak one mogły wyglądać, możemy sobie tylko wyobrazić. Tu również można się zastanawiać, czy ubecy nie chcieli włożyć w usta byłego kapelana Sapiehy słów, które mogłyby posłużyć do skompromitowania metropolity.

Dramatyczne okoliczności, w jakich ks. Mistat zeznawał – być może przymuszony torturami – nie muszą jednak podważać prawdziwości opowiadanej przezeń historii. A zastanawiając się nad wiarygodnością obu materiałów, można zwrócić uwagę na powtarzające się schematy domniemanych zachowań Sapiehy (można też zapytać, czy osoba o ograniczonych horyzontach, jaką najwyraźniej był ks. Boczek, zdolna byłaby wymyślić szczegóły, które zawiera jego donos?).

Ważne są tu także daty: zeznanie Mistata powstało rok wcześniej niż donos Bocзка.

Potrzeba nowych badań

Analizy kościelnych teczek z lat stalinowskich, podobnie jak badania życiorysu kard. Sapiehy prowadziło co najmniej kilku historyków związanych z IPN. Jeden z nich, ks. Józef Marecki – m.in. autor biogramu ks. Mistata w „Leksykonie duchowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945-1989” – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem”, że podczas kwerendy w archiwum natrafiał na materiały na temat ks. Bocзка.

– Nie pamiętam, czy akurat ten donos był przedmiotem naszych rozmów, ale wielokrotnie, gdy byłem etatowym pracownikiem IPN, dyskutowaliśmy w gronie historyków o działalności Bocзка i jednoznacznie uznawaliśmy, że taki materiał nie jest wiarygodny – mówi „Tygodnikowi”. – Gdyby dla UB zeznanie to było atrakcyjne, na pewno zostałoby wykorzystane, ponieważ nawet po jego śmierci chciano oczerniać Sapiehę.

Ks. Marecki przyznał, że raz słyszał od pewnego księdza – powołującego się na innego księdza – o homoseksualnych zachowaniach kard. Sapiehy, ale uznał to za plotkę. Sam nigdy, przeglądając przy różnych okazjach archiwa kurialne, nie natrafił na żaden ślad, który by na to wskazywał. Potwierdzili to też redaktorzy „Księgi Sapieżyńskiej” (serii wydawniczej o życiu kardynała), z którymi niedawno rozmawiał.

Pytany, czy zna zeznanie ks. Mistata, historyk zaprzecza. – Przeglądając przez wiele lat materiały archiwalne, wyłączałem to, co dotyczyło represji wobec księży, bo to mnie zawodowo interesowało – tłumaczy. – Szczerze mówiąc, należałoby jeszcze raz zrobić kwerendę źródeł pod tym nowym kątem.

Podobny postulat zgłasza publicysta Tomasz Terlikowski: komentując informacje na temat domniemyanych praktyk Sapiehy, proponuje, aby powstała kościelna komisja historyczna, która zbadałaby archiwa – nie tylko UB, ale także archiwa kościelne.

Wydaje się, że faktycznie jest to najlepsza droga do tego, aby wiarygodnie wyjaśnić kwestię zachowań kard. Sapiehy – założyciela, w marcu 1945 r., „Tygodnika Powszechnego”.

Wątpliwe psychologizowanie

A co z hipotezą Overbeeka na temat relacji Sapieha–Wojtyła?

Jezuita ks. Jacek Prusak, który jako psychoterapeuta ma do czynienia zarówno ze sprawcami, jak i ofiarami nadużyć seksualnych, nie wyklucza prawdziwości obu materiałów. Jego zdaniem zwłaszcza zeznanie ks. Mistata wygląda wiarygodnie. Wskazują na to także procedury, które – po próbie wykorzystania go przez metropolitę – kapelan podjął, zgłaszając tę sprawę do kilku duchownych na wysokich stanowiskach.

Ks. Prusak jest wręcz pod wrażeniem odwagi Mistata. – Niestety także w tym przypadku zadziało aktualne wciąż założenie, że poza Kościołem jest zło, a w Kościele – słabość – mówi.

– Takie systemowe tłumaczenie jest dla mnie bardziej przekonujące – uważa ks. Prusak – jeśli chodzi o szukanie przyczyn zachowań Jana Pawła II wobec ofiar, niż wątpliwe psychologizowanie jego życia, jak stara się czynić Ekke Overbeek.

Wyciąganie przez Overbeeka tak daleko idących wniosków – że skoro kard. Sapieha pozwalał sobie na podobne zachowania wobec duchownych ze swojego otoczenia, to także młody Wojtyła musiał być molestowany przez metropolitę i dlatego miał mieć później skrzywione spojrzenie na wykorzystywanie seksualne małoletnich – to zdaniem

ks. Prusaka bardzo wątpliwa hipoteza: – To, czy molestowanie doprowadzi do traumy i zniszczy patrzenie na rzeczywistość, zależy np. od psychicznych zasobów osoby nim dotkniętej.

Ks. Prusak uważa, że gdyby Wojtyła miał problematycznie zahamowaną seksualność, np. wskutek takiego domniemanego molestowania, byłoby to widoczne w jego relacjach z ludźmi, zwłaszcza ze świeckimi: – Przecież on był przez długie lata duszpasterzem akademickim i jeździł z młodzieżą np. na kajaki. Te osoby ciągle żyją, a nie znamy ani jednego świadectwa, że Wojtyła się niewłaściwie zachowywał albo że bał się własnej seksualności w relacjach z kobietami czy z mężczyznami.

– Być może – dodaje psychoterapeuta – jego szczególna wrażliwość na seksualne uprzedmiotawianie, widoczna np. w książce „Miłość i odpowiedzialność”, brała się nie tylko z konfesjonatu, ale także z obserwacji świata księżowskiego. Nie wykluczam więc, że dostrzegał on zachowania homoseksualne w swoim otoczeniu. Nie będziemy jednak pewno nigdy wiedzieć, co Wojtyła z taką wiedzą robił.

Jeśli tak rzeczywiście jest, pozostaje postulat ks. Józefa Mareckiego i Tomasza Terlikowskiego: trzeba pod tym kątem gruntownie przebadać kościelne i ubeczkie archiwa. © P. ARTUR SPORNIĄK

POZEGNANIE

Z najgłębszym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Stanisława Grygiela

w latach 1962-1984 naszego kolegi, redaktora w miesięczniku „Znak”,
ucznia, bliskiego współpracownika i przyjaciela

Karola Wojtyły – Jana Pawła II, założyciela i pierwszego dyrektora
Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie,
współzałożyciela i wieloletniego redaktora naczelnego
kwartalnika „Il Nuovo Areopago”,
profesora Uniwersytetu Laterańskiego.

Ludmile, Monice, Jakubowi
i wnuczętom składamy wyrazy serdecznego współczucia.

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA I Z MIESIĘCZNIKA „ZNAK”

Trzecia świątynia i trzy religie

ZUZANNA RADZIK

Dlaczego wizyta na Wzgórzu Świątynnym izraelskiego ministra bezpieczeństwa wzbudziła tak silny sprzeciw zarówno Palestyńczyków, jak części Izraelczyków?

ITAMAR BEN-GVIR, MINISTER BEZPIECZEŃSTWA wewnętrznego w powołanym pod koniec zeszłego roku rządzie Izraela, rozpoczął urzędowanie od wizyty 3 stycznia na Wzgórzu Świątynnym/Haram al-Sharif w Jerozolimie. Stosując obie nazwy, bo złożona tożsamość tego miejsca ważnego i dla Żydów, i dla muzułmanów jest sednem toczonych wokół niego sporów.

Wizyta ministra wypadła dziesiątego dnia miesiąca Tewet, kiedy Żydzi poszczą, wspominając początek oblężenia Jerozolimy przez wojska babilońskie króla Nabuchodonozora (w wyniku tej wojny doszło do zburzenia pierwszej świątyni). Zrobił to mimo ostrzeżeń Hamasu, że taka wizyta stanie się „detonატorem”. Minister Ben-Gvir odpowiedział: „Tym, którzy nam grożą, odpowiemy żelazną pięścią”.

Nie jest to pierwszy izraelski polityk lub aktywista, który odwiedza to miejsce. Wbrew obowiązującej ortodoksyjnej doktrynie jest ono celem regularnych pielgrzymek, a nawet miejscem cichej modlitwy, na co policja przemyka oko. Wizyta Ben-Gvira rozpałała opinię publiczną, bo polityk znany jest jako zwolennik zmiany statusu Wzgórza Świątynnego, który obecnie zakłada swobodną modlitwę muzułmanów, a także ściśle kontrolowane i ograniczone czasem oraz obszarem wizyty Żydów. Poza tym relacje między Palestyńczykami a Izraelczykami są aktualnie napięte i pełne prze-

mocy. Trudno było odpędzić skojarzenia z wizytą Ariela Sharona w 2000 r., która w również napiętej sytuacji stała się symbolicznym pretekstem drugiej intifady. Stąd oskarżanie Ben-Gvira przez opozycyjnych polityków o niefrasobliwość i ryzykowanie cudzego życia.

Obawy o sytuację miejsc świętych jeszcze przed ostatecznym zawianiem się nowego prawicowego rządu w Izraelu wyrażał władca Jordani: król Abdullah ostrzegał, by Izrael nie przekraczał czerwonej linii. W jedną z pierwszych zagranicznych wizyt premier Netanjahu przybył właśnie do Jordani, a część wielogodzinnych rozmów poświęcona miała być utrzymaniu spokoju wokół miejsc świętych – zwłaszcza wobec nadchodzącego Ramadanu i Pesach, które w tym roku zbiegną się czasowo. Nałożenie się dwóch religijnych świąt, przy już i tak napiętej sytuacji, może w miejscu takim jak Jerozolima dolać oliwy do ognia. Rozmowy między królem a premierem minister Ben-Gvir komentował butnie, mówiąc, że on realizuje względem Wzgórza Świątynnego politykę swoją, a nie jordańskiego rządu. Podkreślił, że Izrael jest krajem niepodległym, Wzgórze Świątynne najświętszym dla Żydów miejscem, a on zamierza w dalszym ciągu je odwiedzać.

Warstwy symboli

Wzgórze Świątynne/Haram al-Sharif to charakterystyczne plateau na Starym



Minister bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela Itamar Ben-Gvir na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie. Izrael, 3 stycznia 2023 r.

Mieście w Jerozolimie. Dzisiaj wzrok przyciąga szczególnie złota Kopa Skały i meczet Al-Aqsa, dwa tysiące lat temu pielgrzymów i gapiów przyciągała słynąca jako cud świata żydowska świątynia przebudowana przez Heroda Wielkiego. Współcześnie na tych 150 tys. metrów kwadratowych nakładają się systemy znaczeń dwóch monoteistycznych religii. Dla judaizmu to miejsce centralne, w którym stały obie świątynie Izraela i gdzie ma być zbudowana ta trzecia, wiązana z odkupieniem. Dla islamu to trzecie najważniejsze miejsce na mapie świętości, po Mekce i Medynie. Szczęśliwie o tę przestrzeń nie konkurują jeszcze chrześcijanie, choć odbudowa trzeciej świątyni interesuje ewangelikalnych chrześcijan wyczekujących znaków końca świata. Mówi się więc, że to najbardziej sporna nieruchomość na świecie. Do znaczeń religijnych dołączają narodowe i polityczne, tworząc trudny do rozwikłania węzeł symboli.

Ta symboliczna historia zaczyna się wcześniej niż od czasów Salomona, budowniczego pierwszej świątyni. W tym miejscu, na górze Moria, Abraham miał próbować złożyć w ofierze Izaaka. Inni mówią, że to tutaj znajduje się grób Adama.

Świątynię Salomona burzy Nabuchodonozor w 586 r. p.n.e. Izraelici wracają z wygnania i 60 lat później odbudowują dużo skromniejszą świątynię. Potem

Herod Wielki, który zapisał się w historii jako okrutnik, ale też wielki budowniczy, w ciągu dziesięciu lat przebudował dawną świątynię na olbrzymi kompleks mieszczący się na rozbudowanym sztucznie wzgórzu, wspartym murem. Rozmach był ogromny, kamienne bloki wspierające mury – gigantyczne. Nowy cud świata był gotowy ok. 10 r. p.n.e. i przyciągał nie tylko Żydów, co przewidziano, budując zewnętrzną wobec kompleksu widownię dla pogan.

Świątynia nie była jednak bezspornym centrum żydowskiego świata. Dziś wiemy, że istniały grupy podające w wątpliwość czystość i prawomocność sprawowanego w niej kultu. Stąd aktualne dyskusje akademików, czy jej zniszczenie było faktycznym końcem religijnego świata, czy też impulsem do przekształcenia, które i tak się już dokonywało. W każdym razie świątynia Heroda została zburzona w czasie powstania w 70 r. n.e. Rzymianie wynieśli świątynne skarby i pozostawili na wzgórzu ruiny. Po kolejnym powstaniu zakazali Żydom wstępu do miasta: upadek świątyni dało się opłakiwać tylko z Góry Oliwnej. Tymczasem w narracji rodzącego się chrześcijaństwa zburzenie świątyni było jedną z kar, która dosięgła Izrael po tym, jak nie uwierzył w Mesjasza. Gdy zaś chrześcijaństwo stało się religią imperium, Jerozolimę przebudowano według chrześcijańskiej mapy wydarzeń związanych z życiem Jezusa, budując w niej kościoły i wielkie bazyliki oznaczające miejsca nowotestamentowych wydarzeń i cudów, na czele z bazyliką upamiętniającą Golgotę i zmarłych wstanie.

Oktagon

W tej nowej przestrzeni, która miała wyrażać symbole triumfującego chrześcijaństwa, pasowało, by miejsce po zburzonej świątyni pozostało puste, zaniedbane, zaśmiecone. Z jednej strony dawnej żydowskiej stolicy imponujący kościół, z drugiej nic. Miejsce po. Oto architektoniczny dowód, kto ma rację. Znak spełnionego proctwa, kary, konsekwencji ukrzyżowania, a wreszcie – prawdziwości chrześcijańskiej opowieści o Jezusie jako Bogu i Mesjaszu. Przestrzeń komunikowała to, co już dawno mówili Ojcowie Kościoła: Izrael jest martwy, odrzucony przez Boga, jego przymierze zerwane.

Podczas swoich krótkich rządów cesarz Julian Apostata ponoć pozwolił Żydom na odbudowę świątyni, chcąc upokorzyć dumne chrześcijaństwo. Jednak instytucje żydowskie były zbyt słabe, by takie przedsięwzięcie mogło się udać. Nieudana próba odbudowy stanowiła jednak wodę na młyn dla kolejnych chrześcijańskich apologetów, jak św. Jan Chryzostom, który w V wieku kpił z niej w swoich antyżydowskich kazaniach.

Mimo utrzymania w czasach bizantyjskich rzymskiego zakazu przebywania w Jerozolimie przez Żydów, ci przychodzili na wzgórze opłakiwać ruiny świątyni. Czasy odsunięcia Żydów od miejsca po świątyni skończyły się dopiero – co z dzisiejszej perspektywy brzmi paradoksalnie – wraz z podbojem islamskim.

Gdy muzułmanie podbili miasto w 637 lub 638 r., po pięciu wiekach Żydzi odzyskali prawo osiedlania się w mieście, a nawet więcej – zaczęli bywać na Wzgórzu Świątynnym. Kalif Abd al-Malik zbudował tam w 691 lub 692 r. Kopułę Skały. Ta budowla wciąż do pewnego stopnia stanowi zagadkę dla badaczy islamu. Czy powstała z powodów politycznych, by zrównoważyć politycznie i religijnie Mekkę oraz Medynę, i również tu przyciągnąć pielgrzymów? Czy jest może polemiką z chrześcijaństwem, co wyczytywano z nietypowej konstrukcji i kopuły niemal identycznej z tą z bazyliki Grobu? Czyżby muzułmańskie sanktuarium miało zdominować symbolicznie chrześcijańskie miasto? A może rację mają ci badacze, którzy wskazują na powrót do żydowskich i biblijnych tradycji, w których w końcu islam jest zakorzeniony? Odbudowa świątyni Salomona w miejscu, gdzie modlił się prorok Dawid, ma również dla islamu religijne znaczenie. Wielu sugeruje, że ta tradycja jest pierwotna w stosunku do późniejszego związania przestrzeni wzgórza z nocną podróżą Mahometa. Jeśli celem było oznaczenie miejsca dawnej świątyni, łatwiej wyjaśnić nietypowy kształt. Potem budowla przyciągnęła uwagę krzyżowców, którzy przerobili ją na kościół nawiązujący do scen z życia Jezusa związanych ze świątynią. Liczne manuskrypty i europejskie obrazy przedstawiały świątynię z czasów Jezusa właśnie jako oktagonálną budowlę z kopułą.

Dopiero konflikt palestyńsko-izraelski sprawił, że wielu muzułmanów zaczęło

traktować wzmianki o dawnej żydowskiej świątyni stojącej w tym miejscu jako żydowską uzurpację i fikcję.

Ortodoksyjny konsensus

Oprócz opozycji, władz Autonomii Palestyńskiej, króla Jordanii i Hamasu, wizyta Ben-Gvira zmartwiła jeszcze jednego istotnego aktora polityczno-religijnej sceny w regionie. Naczelny rabin sefardyjski Icchak Yosef potępił wizytę ministra zgodnie z podtrzymywanym przez Naczelny Rabinat Izraela stanowiskiem, że wizyty są zakazane ze względu na trudność zmapowania przestrzeni świętych na wzgórzu. W liście do ministra napisał: „proszę o zaprzestanie wizyt na Wzgórzu Świątynnym w przyszłości, by nie zwozić opinii publicznej zwłaszcza teraz, gdy został Pan ministrem Państwa Izrael i potknięcie, które może z tego wynikać, ze względu na Pana wpływ społeczny, będzie bardzo duże”.

Problem w tym, że ortodoksyjny konsensus mówiący o niewchodzeniu na wzgórze pękł już prawie dwadzieścia lat temu, gdy w 1996 r. osadniczy rabin z Rady Judei, Samarii i Gazy oświadczył, że wszyscy powinni zabrać swoje wspólnoty na Wzgórze Świątynne i poruszać się po nim w ramach ograniczeń religijnego prawa.

Historia Wzgórza Świątynnego/Haram al-Sharif po 1967 r. toczyła się powoli i zachowawczo. Co prawda zostało odbite z rąk jordańskich wraz ze wschodnią Jerozolimą, ale Izraelczycy nie zdecydowali się przejąć nad nim bezpośredniej kontroli. Dlatego już po kilku godzinach radio nadało komunikat rabinatu, by Żydzi tam nie wchodzili. Było to podtrzymanie decyzji ważnych syjonistycznych ortodoksyjnych rabinów, którzy przyznawali religijne znaczenie odbudowie państwa, ale w kwestii świątyni byli gotowi przygotowywać się na jej powrót jedynie studiując przepisy z nią związane. Jednocześnie w odbudowie państwa odczytywali znak nadchodzącego odkupienia. Od tej pory miejscem zarządza kierowany przez Jordańczyków islamski fundusz powierniczy (tzw. *waqf*). Potwierdziły to zapisy pokoju z Jordanią zawartego w 1994 r.

Ultraortodoksi są sceptyczni w stosunku do zmian religijnej wykładni, więc ostrożna polityka wobec Wzgórza Świątynnego im nie przeszkadzała. Już jednak w 1967 r. na marginesach tej społeczności →

→ powstaje grupa Wierni Wzgórzu Świątynnemu, która od początku postuluje przejęcie przez Żydów świętego miejsca i w latach 70. oraz 80. jest najbardziej wyrazistym aktorem po tej stronie. Ich działalność prowokuje: gdy w 1990 r. oświadczają, że położą kamień węgielny pod budowę świątyni, wybuchają zamieszki, w których ginie siedemnastu, a rannych zostaje stu Palestyńczyków. Po tych zamieszkach lider ruchu Gershon Salomon i jego członkowie nie są przez policję wpuszczani na wzgórze.

Ten nurt ortodoksji dzieli się na podgrupy, w związku z czym w 1987 r. powstaje Ruch na rzecz Ustanowienia Świątyni (The Movement for the Establishment of the Temple), który za cel stawia sobie przełamanie dyskursu wśród ortodoksów. Wygląda, że będzie to długi i niewdzięczny marsz. Spory toczą się w niszowych gazetach, czasem dyskusje przeradzają się we wzajemną przemoc i ekskomunikę. Ruch łączy ultraortodoksję i mesjańską teologię, zakładając, że czasy ostateczne wymagają aktywnego zaangażowania w rzeczywistość.

W praktyce jest to teologiczna dyskusja o tym, czy trzecia świątynia ma być dana z nieba, czy należy ją odbudować. Póki Izrael był na wygnaniu, sytuacja była klarowna, a dyskusje bardzo teoretyczne. Sytuacja się zmieniła po powstaniu państwa: pojawiły się pytania, czy bierność nie jest zaniechaniem. Bóg wymaga od Izraela wypełniania 613 przykazań, a dwustu z nich nie da się spełnić bez świątyni. Druga, zachowawcza strona argumentuje, że ważniejsze ponad wszystkie przykazania jest *pikuah nefesh*, czyli uświęcanie życia, a zatem również niesprowadzanie na nie zagrożenia. Zakładają, że próba odbudowy świątyni, a zatem zniszczenia ważnego dla islamu meczetu, wywoła wielką wojnę i przyniesie śmierć. Patrząc w kluczu mesjanistycznym odpowiadają, że Mesjasz przyniesie prawdziwy pokój i nie ma się czego bać.

Świątynia i polityka

W 1987 r. Yisrael Ariel, jeden ze zdobywających wzgórze w 1967 r. spadochroniarzy, a potem osadniczy rabin na Synaju i kandydat do Knesetu z drugiego

miejsca na liście Meira Kahanego, zakłada Temple Institute. Organizacja szykuje się do odbudowy świątyni, zbiera na nią fundusze, przygotowuje architektoniczne projekty. Umieszcza w pobliżu zejścia ku Ścianie Płaczu złotą menorę przygotowaną dla tej przyszej świątyni. Jednak wizyta w Instytucie i obejrzenie dość zgrzebných artefaktów nie przekonuje, by szybko udało się przygotować wyposażenie trzeciej świątyni. Również dostępne w internecie symulacje architektury budynku Sanhedrynu lub Świętego Świętych nie rzucają na kolana.

Porozumienia z Oslo z 1993 r. (wzajemne uznanie Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny) wywołały nerwowość po stronie religijnej, że oto Żydzi mogą znów stracić kontrolę nad swoim najświętszym miejscem. Pojawiły się argumenty, że ostrożna rabiniczna wykładnia sprawiła, iż rząd zapomniiał, jak ważne to dla Żydów miejsce, i gotów jest oddać w ramach terytorialnych kompromisów. Stąd wzięły się wydane w 1996 r. przez osadniczych rabinów zachęty, by udawać się ze wspólnotami na Wzgórze Świątynne, które przełamały monopol ultraortodoksów i zróżnicowały religijne orzecznictwo w tej sprawie. Zresztą porozumienia z Oslo lustrzaną nerwowość spowodowały po stronie palestyńskiej, gdzie szejk Raed Salah wzmógł rozmaite działania mające przypomnieć muzułmanom wagę tego miejsca i przywiązać ich do Haram al-Sharif. Obie strony nakręca ten sam lęk: że ci drudzy zyskają nad miejscem całkowitą kontrolę.

Wejście na Wzgórze Świątynne przez Ben-Gvira i Ariela Sharona dzieli 23 lata, podczas których odwiedzanie go i modlitwa w tym miejscu stały się praktyką setek tysięcy Żydów. Nieoficjalną, dopuszczaną po cichu przez policję, a jednocześnie zgodną z teologią i ideologią polityczną narodowych syjonistów, którzy tymczasem urosli w siłę.

Dlatego ostrzeżenia i groźby naczelnego rabinatu zapewne nie zmroziły ministra. Ma innych rabinów, z których wykładnią jego odwiedziny są jak najbardziej zgodne. Inna rzecz, jakie ta teologia polityczna może mieć zupełnie twarde, polityczne konsekwencje.

© ZUZANNA RADZIK

Płacz Boga

WACŁAW OSZAJCA SJ

Wypowiadane w kontekście religijnym słowa nie są niewinne. Zwłaszcza gdy je po swojemu przeinaczamy.

JĘZYK TO ŻYCIE – TWIERDZI PROF. JAN Miodek, a starożytna maksyma głosi: *Lex orandi, lex credendi*, co znaczy, że treści modlitw mają wpływ na treści wiary i odwrotnie. Idąc dalej, to, co się dzieje w kościelnych świątyniach, wpływa na to, co dzieje się w domach i odwrotnie. A że wcześniej niż później słowa stają się ciałem, materializują się w czynach, warto przemyśleć i przemodlić pytanie: dlaczego np. wciąż z zapalem wyśpiewujemy „A kiedy Ojciec rozgniewany siecze, szczęśliwy, kto się do Matki uciecze”? W innej pieśni, która niewiele brakowało, a stałaby się hymnem narodowym, też wprowadziliśmy ulepszenia i zamiast „Od nieszczęść, które pognać ją miały”, wyśpiewujemy „przygnębić”.

A swoją drogą historia powstania tego hymnu też może nam wiele powiedzieć o przedziwnych losach tekstów: „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki / Otaczał blaskiem potęgi i chwały / I tarczą swojej zasłaniał opieki / Od nieszczęść, które przywalić ją miały. / Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, / Naszego króla zachowaj nam Panie!”. Tym „naszym królem” był nie kto inny, jak tylko sam car Aleksander I. Natomiast dramatyczne wyrażenie „przywalić” zastąpiliśmy łagodniejszym słowem „pognać”, a w rezultacie wyszło nam ot takie sobie „przygnębić”.

Z sądu do piekła

Sprawa staje się poważniejsza, gdy z wątpliwym poprawianiem słów mamy do czynienia w tekstach mówiących o życiu i śmierci. Porównajmy przykładowo wersety 28 i 29 z piątego rozdziału Ewangelii Jana. W Biblii Wujka czytamy: „Przychodzi godzina, w którą wszyscy, co są w grobiech, usłyszą głos Syna Bożego. I wynidą, którzy dobrze czynili, na zmartwychwstanie żywota, a którzy złe czynili, na



MACIEJ KOZŁUB

Kapitel kolumny w bazylice Świętej Marii Magdaleny w Vézelay przedstawiający Jezusa jako pasterza niosącego ciało Judasza.

zmarłychwstanie sądu”. Biblia paulistów, Edycja Świętego Pawła: „Ci, którzy czynili dobro, zmarłychwstaną do życia, ci natomiast, którzy czynili zło, zmarłychwstaną na sąd”. Nowy Testament, wydanie interlinearne: „wszyscy w grobowcach usłyszają głos jego, i wyjdą (ci) – dobre, (którzy-uczynili), na powstanie (do) życia, (ci) zaś – bezwartościowe (którzy-zrobili), na powstanie (do) sądu”. Podobny przykład znajdziemy w Biblii Mejsjańskiej, Biblii w przekładzie Nowego Świata, Biblii Lubelskiej czy Biblii Toruńskiej. Co ważne, w Wulgacie mamy słowo *in iudici*, czyli też „na sąd”.

Natomiast w Biblii Tysiąclecia – a co za tym idzie, w Leksjonarzu mszalnym – rzecz wygląda zupełnie inaczej: „Ci, którzy pełnili dobre czyny, pójdą na zmarłychwstanie życia; ci, którzy pełnili złe czyny – na zmarłychwstanie potępienia”. Podobnie w Biblii Warszawsko-Prańskiej: „Wtedy ci, którzy uczciwie postępowali, zostaną przeznaczeni na zmar-

tychwstanie do życia wiecznego, a ci, którzy się dopuszczali zła, zmarłychwstaną, by cierpieć potępienie”. Nowa Biblia Gdańska: „I ci, którzy dobrze czynili, wyjdą na zmarłychwstanie do życia, ale ci, którzy źle czynili, na zmarłychwstanie na potępienie”. A ponieważ ten fragment Ewangelii odnosi się do sądu ostatecznego, przyjęto, że kara też musi mieć charakter ostateczny, czyli trwać wiecznie. Owszem, na sądzie może zapasć wyrok skazujący, ale też uniewinniający. Dokonując wyboru między jednym i drugim tłumaczeniem, chcąc nie chcąc ujawniamy swoją, nazwijmy to, opcję eschatologiczną. Jaką nadzieję żyjemy – na powszechne zbawienie czy może potępienie?

Jezus powiedział: „Uroczycie zapewniam was: kto jest posłuszny mojej nauce i kto wierzy w Tego, który Mnie posłał, ma życie wieczne i nie będzie sądzony, lecz przeszedł ze śmierci do życia” (J 5, 24). A zatem ci, którzy żyli po Bożemu, nie

będą sądzeni, bo i po co? Ich los już został przesądzony, już za życia przeszli do wieczności, a nie dopiero po śmierci. Natomiast ci, którzy zajmowali się „bezwartościowymi” sprawami, ci tak, potrzebują sądu, czyli stanięcia w prawdzie. Jaki wyrok zapadnie? Nie wiemy – ewangelista o sentencji wyroku nie przesądza. Nie może przecież wchodzić w kompetencje Boga, gdyż tylko „On objawia to, co tajemne i niepojęte, On wie, co ukryte w ciemności, w Nim mieszka światło” (Dn 2, 22). „Żadne stworzenie nie ukryje się przed nim, gdyż wszystko jest odkryte i jawne oczom Tego, któremu musimy zdać sprawę” (Hbr 4, 13). Jezus radzi: „Nie osądzajcie według pozorów, lecz wydawajcie sprawiedliwy wyrok” (J 7, 24). „Pan jest moim sędzią – mówi Paweł Apostoł. – Nie rozstrzygajcie niczego aż do przyjścia Pana, który rozjaśni to, co ukryte w ciemności, i ujawni zamysły serc, a wtedy każdy otrzyma pochwałę od Boga” (por. 1 Kor 4, 3-5).

Dlatego Franciszek słusznie zauważa: „Kto nie zna czułości Boga, ten nie zna doktryny chrześcijańskiej! Kto nie pozwala, aby Bóg obdarzył go czułością, jest zagubiony!”. Wybitny teolog współczesny kard. Walter Kasper konkluduje: „Kościół nie głosi już Boga, który grozi, potępia i karze, ale Boga, który przyjmuje, akceptuje, przebacza i jedna wszystkich w miłości. Jest to nowy ton, który jest dobry dla Kościoła, ale który nie wszystkim się podoba, a także bywa źle rozumiany jako relatywizm”. Dlatego papież radzi spowiednikom, żeby nie bali się przesadzić z miłosierdziem, natomiast przestrzega, by uważali, aby konfesjonału nie przerabiał na salę tortur.

Judasz czy Juda?

W Nowym Testamencie grecko-polskim czytamy, że Jezus powołał dwunastu, a wśród nich „Judę Iskariotę, tego, który i wydał go” (Mk 3, 19). Tymczasem z małymi wyjątkami chyba we wszystkich polskich przekładach mamy Judę chrzczonego na Judasza. Wśród dwunastu znajdziemy jeszcze jednego o imieniu Juda, syna Jakuba, ale tego zostawiliśmy w spokoju i czcimy jako Judę Tadeusza.

Obecnie zmienianie imion praktykuje się jeszcze w niektórych zakonach na znak rozpoczęcia nowego sposobu życia. Zmieniamy też imiona i nazwy w innym celu, podłym, gdy chcemy

→ kogoś skrzywdzić. Judę Apostoła przerebiliśmy na Judasza, żeby łatwiej było wyłączyć go spośród nas, chrześcijan, i zrobić z niego symbol wszelkiej podłości, ale podłości cudzej. Stał się więc Juda wcieleniem Szatana, bogobójcą, wreszcie przedstawicielem narodu, który tak jak on dopuścił się grzechu niemożliwego do przebaczenia.

Tymczasem Piotr Apostoł, być może pamiętając wydarzenie na dziedzińcu pałacu arcykapłana, wspominając Judę, mówi: „Musiały się wypełnić słowa zapowiedziane przez Ducha Świętego ustami Dawida o Judaszu, który stanął na czele tych, którzy pojmali Jezusa, choć był przecież jednym z nas, to znaczy miał udział w tym samym posługiwaniu” (Dz 1, 16-17).

„Był przecież jednym z nas”, mówi Piotr, a to znaczy, że głowa Dwunastu nie wypiera się Judy, nie dystansuje się od niego. Przeciwnie, usiłuje w jego postępowaniu dostrzec działanie nie tylko Złego. Według Piotra występki Judy, jego działanie przepełnione złem, zawiera w sobie również działanie Boga. Warto zauważyć, że Piotrowy opis losu Judy stoi w sprzeczności z ewangelicznymi opowiadaniem o nim. W Ewangelii Juda popełnia samobójstwo zaraz po zwróceniu pieniędzy kapłanom, którzy za nie kupują pole z przeznaczeniem na cmentarz. W Dziejach Apostolskich to nie kapłani, ale Juda kupuje pole i dopiero po jakimś czasie w dramatycznych okolicznościach ginie. W opowiadaniu o Judzie nie jego czyny są jednak najbardziej podłe.

„Judasza, który Go zdradził, dowiedział się, że skazano Go na śmierć, poczuł wyrzuty sumienia i odniósł trzydzieście srebrników wyższym kapłanom oraz starszym. Powiedział: »Zgrzeszyłem, gdyż wydałem niewinnego«. A oni mu odparli: »Co nas to obchodzi? To twoja sprawa«. Wtedy rzucił pieniądze w stronę świątyni, odszedł stamtąd i powiesił się” (Mt 27, 3-5). „Co nas to obchodzi? To twoja sprawa” – trudno o bardziej podłe słowa.

Tymczasem Piotr o Judzie mówi: „Był przecież jednym z nas”. Czy to przyznanie się Piotra do Judy przypadkiem, a raczej z Bożego natchnienia, nie odsyła nas do tego, co dzieje się dzisiaj w Kościele i z Kościołem? Przecież to nie grzech, ale zepsucie człowieka jest największym nieszczęściem Kościoła, mówi Franciszek. Ulegli-

śmy, a nawet jesteśmy winni herezji niewinności, jak mówi Leszek Kołakowski.

Nam ramionach Jezusa

Zapominając o Judzie, zwalając winę na niego i na ludzi, którzy decydowali i dzisiaj decydują o życiu i śmierci innych, przecież córek i synów Boga, nabożnie i gorliwie, bez zająknięcia, powtarzamy: „Dla Jego [Jezusa] bolesnej męki, miej miłosierdzie dla nas i całego świata”. Podobnie dzieje się w czasie odprawiania nowenny do Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Najpierw bez odrobiny skrupowania przypominamy Maryi, że to jej Syn „umierając dał nam [ja] za Matkę”, następnie, przepraszam za wyrażenie, stawiamy Maryję pod ścianę: „Czyż więc nie będziesz dla nas, jak głosi Twój słodki tytuł: Nieustająca Wspomożycielką? Ciebie więc o Matko Nieustającej Pomocy, przez bolesną mękę i śmierć Twego Boskiego Syna, przez niewypowiedziane cierpienia Twego Serca, o Współodkupicielko, błagam najgoręcej, abys wyprosiła mi u Syna Twego tę łaskę, której tak bardzo pragnę i tak bardzo potrzebuję”. A przecież do bolesnej śmierci Jezusa my również przyczyniliśmy się i przyczyniamy: „Zapewniam was: czego nie zrobiliście dla jednego z tych najmniejszych, tego nie zrobiliście dla Mnie” (Mt 25, 45).

Zabierając się do wypraszenia tak bardzo upragnionych i potrzebnych łask, dobrze będzie popatrzeć na krzyż i wiszącego na nim człowieka. Jakoś traci się wtedy odwagę na proszenie o długie życie przy czerstwym zdrówku.

W Vézelay w bazylice świętej Marii Magdaleny na kapitule jednej z kolumn można oglądać wyobrażenie Jezusa jako pasterza dźwigającego na barkach nagie ciało martwego Judy. Najtrafniejszym komentarzem do tej rzeźby i naszego myślenia o Judzie, jak też naszej winie, wielkiej winie, niech będzie wypowiedź Franciszka: „Najdoskonalszą owcą zagubioną w Ewangelii jest Judasz: człowiek, który zawsze miał w duszy pewną gorycz. (...) Judasz był biskupem, był jednym z pierwszych biskupów. Owca zagubiona, biedaczysko!”. A skoro już o biskupach mowa, to popatrzmy na najpierwszego, na Piotra.

Wyparł się, zdradził

Łukasz opowiada: „Pochwycili (Jezusa), zabrali i zaprowadzili do domu najwyż-

szego kapłana. A Piotr szedł za Nim z daleka. Kiedy rozpalili ogień na środku dziedzińca i usiedli razem, także Piotr usiadł między nimi. Jakaś służąca zobaczyła go siedzącego przy ogniu, przyjrzała mu się i powiedziała: »Ten też był z Nim«. On zaś zaprzeczył, mówiąc: »Kobieto, nie znam Go«. Trochę później ktoś inny zobaczył go i powiedział: »Ty też jesteś jednym z nich«. Piotr odrzekł: »Człowieku, nie jestem«. Po upływie mniej więcej godziny ktoś inny stanowczo twierdził: »Z pewnością on też był z Nim. Przecież jest Galilejczykiem«. Piotr odpowiedział: »Człowieku, nie wiem, o czym mówisz«. I w tej chwili, gdy on jeszcze mówił, kogut zapiał. A Pan odwrócił się i spojrzał na Piotra. Przypomniał sobie Piotr słowo Pana, gdy mu powiedział: »Dzisiaj, nim kogut zapieje, trzy razy się mnie wyprzesz«. Wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał” (Łk 22, 54-62).

Ten fragment najczęściej odbiera się jako opis zaparcia się Piotra Apostoła, zdrady. Czy słusznie?

Weźmy takie, wcale nie zmyślane, wydarzenie. Trwa stan wojenny, ktoś drukuje ulotki, a jego sąsiad je kolportuje. Milicja najpierw aresztuje kolportera, a następnie drukarza, który na przesłuchaniu dowiadyuje się, że kolporter sypie, co oczywiście nie jest prawdą. W takiej sytuacji trzeba iść w zaparte. Nikogo nie znam, niczego takiego nie robiłem, a na sąsiada wprost patrzeć nie mogę. Czy to znaczy, że tak jest naprawdę? Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie będzie pakował się w łapy tych, którzy chcą go dopaść i wsadzić za kratki.

Czy więc Piotr rzeczywiście zaparł się Jezusa, zdradził Go? Nie, po prostu postąpił rozsądnie, a najistotniejsze w tym opowiadaniu jest to, że Piotr „wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał”. Zapłakał z bezradności, bezsilności wobec jawnej krzywdy wyrządzanej komuś, kogo się kocha i komu nijak nie można pomóc, nijak uratować. We łzach Piotra, w jego płaczu jest płacz Boga, bezsilnego wobec człowieka. Johannes Scheffler (Anioł Ślązak): „Czego chce Syn Boży, że w taką nędzę wpada / I krzyż taki ciężki na ramiona wkłada? / I że aż do śmierci się trwoży bez ratunku? / On pragnie tego właśnie, twego pocałunku”. Dzieje się tak, gdyż „Niegotowy Bóg się staje w doczesności, / Czym się nigdy nie stał w całej swej wieczności”. © WACŁAW OSZAJCA SJ

ZUZANNA

Radzik:

Syzyfowe prace



GDZIEŚ MIĘDZY LEKTURĄ TEKSTU O DZIEWCZYŃKACH GWALCONYCH w Nairobi a artykułem o konieczności tłumaczenia uczniom w brytyjskich szkołach, że gwałt jest zły, bo co innego wmawia im popularny macho-youtuber, zatrzymuję się, odrywam i myślę o obłęsności świata. O tej syzyfowej pracy, która polega na przekonywaniu mężczyzn i kobiet, że są ludźmi równymi w prawach i godności. I że wydaje się, iż nie ma ona końca. O przekonywaniu instytucji, gmin i państw, które się obruszają, że przecież wyznają chrześcijańskie wartości i nie będą ich gendery szantażować w tekście konwencji. Ani wciskać im inne opowieści zagrażające strukturalizmowi świata, np. że dom bywa dla kobiet miejscem najbardziej niebezpiecznym. I tak toczy się świat, między jednym a kolejnym 8 marca.

Ale z drugiej strony, jeśli pomyślę, gdzie byliśmy pięćdziesiąt, sto czy sto pięćdziesiąt lat temu, to wciąż jest co świętować. Tylko, niestety, nie można ani na chwilę odpuszczać. Robimy swoje, ale jednocześnie ryje pod naszą robotą taki youtuber Tate i opowiada zachwyconym chłopcom, że kobiety prowokują gwałty, niesprawiedliwym oskarżeniem mogą zniszczyć życie, a poza tym są własnością mężczyzn i powinny siedzieć w domu. „Czy pani mąż pozwolił pani tu być?” – usłyszała brytyjska nauczycielka od chłopców w wieku 11-16 lat. Słyszała też, jak luźno rozmawiają ze sobą o gwałtach, i nagle sama w męskiej klasie poczuła się nieswojo. Pytani, skąd zachwyt youtuberem, zatrzymanym skądinąd za handel ludźmi, opowiadali o uczuciu, że na mężczyzn patrzy się z góry i że ów youtuber daje im siłę. Daje siłę toksyczną męskością, bo nikt nie zaproponował konstruktywnej alternatywy? I nawet rozumiem, i mogę pojąć to zagubienie. Tylko... tylko czy tym też mamy się zająć?

Ale z drugiej strony, jeśli pomyślę, gdzie byliśmy pięćdziesiąt, sto czy sto pięćdziesiąt lat temu, to wciąż jest co świętować. Tylko, niestety, nie można ani na chwilę odpuszczać. Robimy swoje, ale jednocześnie ryje pod naszą robotą taki youtuber Tate i opowiada zachwyconym chłopcom, że kobiety prowokują gwałty, niesprawiedliwym oskarżeniem mogą zniszczyć życie, a poza tym są własnością mężczyzn i powinny siedzieć w domu. „Czy pani mąż pozwolił pani tu być?” – usłyszała brytyjska nauczycielka od chłopców w wieku 11-16 lat. Słyszała też, jak luźno rozmawiają ze sobą o gwałtach, i nagle sama w męskiej klasie poczuła się nieswojo. Pytani, skąd zachwyt youtuberem, zatrzymanym skądinąd za handel ludźmi, opowiadali o uczuciu, że na mężczyzn patrzy się z góry i że ów youtuber daje im siłę. Daje siłę toksyczną męskością, bo nikt nie zaproponował konstruktywnej alternatywy? I nawet rozumiem, i mogę pojąć to zagubienie. Tylko... tylko czy tym też mamy się zająć?

I tak dochodzimy do pytania, gdzie w przebudowie świata na mniej patriarchalny są mężczyźni. Czy ich sojusznictwo jest prawdziwe, wspierające, odrobili lekcję, przeczytali książki, tak samo nazywają problemy? Bo my tu z dziewczynami myślimy, czytamy, rozmawiamy, organizujemy się. Czy nasi partnerzy, koledzy, szefowie, synowie, ojcowie są w tym z nami? Też czują się urobieni po pachy, albo choć trochę zmęczeni przebudową świata na alternatywny, bezpieczniejszy i lepszy dla dziewczynek, dziewczyn i kobiet? Równy podział obowiązków w domu i podział obowiązków zmieniania społeczeństwa... Tak byłoby idealnie; niestety niewykluźnione, że jednej ze stron na tej równości zależy bardziej i ma w niej bardziej żywotny interes.

Zaczęłam o tym myśleć, gdy równolegle z dużą grupą przyjaciółek i koleżanek czytałyśmy tę samą nową, feministyczną książkę. Mona Chollet i jej „Wymyślić miłość na nowo” to w sumie taka przyjemna popliteratura, łatwa do przyswojenia w formie, choć nierzadko dławiąca gardło w treści. Wspólna lektura pozwalała przeżywać tekst dotyczący nierówności w intymnych relacjach kobiet i mężczyzn, jakoś lepiej w koleżeńskim rozmowie rozpakowując to, w jakie wyobrażenia wyposażała nas kultura, do których udało nam się zdystansować, do których zaś dystansu nauczyło życie i gdzie wciąż czyhają zasadzki – i w nas samych, i w mężczyznach, i w kulturze. To, jak wyobrażamy sobie relacje, związki, miłość, jest skażone tyłoma dziełami kultury i społecznym odbiorem, że aż dreszcz przechodzi na myśl, co ma wpływ na nasze intymne wybory. Oraz na to, kto nas wybierze.

Chollet pisze o tym, jak pożądane jest u kobiet wciąż bycie drobnutką, malutką, nieprzysłaniającą mężczyzn; np. fizycznie ilustruje to Carla Bruni, zawsze pochylona, leżąca lub stojąca schodek niżej niż Sarkozy, który jest od niej niższy o głowę. Wszyscy to niby wiedzą, ale sesje prezydenckiej niegdyś pary uparcie korygowały tę różnicę. Ta pochylona Carla Bruni, która ma nie pokazać swojego wzrostu, to symboliczny obraz, z którym zostaję. A jednocześnie czytam tę książkę razem z kobietami, które fundamentalnie nie umieją pochylić głowy, by mężczyzna poczuł się lepiej. Nigdy nie umiały: są głośne, zajmują przestrzeń, zwracają uwagę. Zbyt śmiałe, zbyt wyraziste, zbyt bystre.

Spontanicznie skrzyknięte przy okazji tej książki prywatne czytelnicze kółko nagle uświadamia mi jeszcze jedno: że o tych książkach zawsze rozmawiam z innymi kobietami. Nigdy nie wciągam w te lektury nawet najbliższych mężczyzn, nie zagaduję, czy też nie chcą przeczytać. Swoje egzemplarze podaję dalej przyjaciółkom. Może dlatego, że nie szukam polemiki, dyskusowania z tekstem, tylko afirmacji własnych niepewnych jeszcze obserwacji i odczuć zrodzonych przez tekst.

Dla odmiany z okazji tegorocznego Dnia Kobiet podaruję lub zarekomenduję jakieś feministyczne książki chłopakom. ©

POZEGNANIE

Markowi Knapowi

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają

PRZYJACIELE

z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

DLACZEGO JA?

Wojskowi medycy codziennie ratują rannych żołnierzy na froncie. Ich życie zależy od tego, jak szybko uda się im udzielić pierwszej pomocy i przewieźć na tyły do szpitala.

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z FRONTU W OBWODZIE DONIECKIM (UKRAINA)



SWIATŁO Z WIEJSKIEGO DOMU NIE PRZEBIJA się na pogrążoną w nocnych ciemnościach ulicę. Szczelnie zasłonięte okna nie pozwalają zobaczyć z zewnątrz, co znajduje się w budynku.

Na regałach i w zalegających na ziemi kartonach leżą lekarstwa, bandaże, opatrunki i wszelkie inne niezbędne narzędzia i medykamenty. Nad framugą sterczy drut, na którym w razie potrzeby podwieszają kroplówkę. Na tapczanie i krzesła, na których zwykle zajmują się rannymi, teraz zasiedli medycy. Ich pododdział, mimo późnych godzin, czeka na wezwanie.

Siedemnastu

Zazwyczaj to właśnie nocą – po spokojnym dniu, gdzie zdarza się nawet wolny czas, by pograć w rzutki – zaczyna się praca na serio.

– Przyjechali! – krzyczy jeden z medyków, gwałtownie otwierając drzwi domku.

Reszta podrywa się, dopina kurtki, rusza na zewnątrz. Pod rozgwieżdżonym niebem, w temperaturze dobrze poniżej zera, zapalają czołówki, które przełamują ciemność. To właśnie pod osłoną nocy najłatwiej wywozić rannych żołnierzy z frontu. Spieszą tym bardziej, bo poinformowano ich, że wiozą im żołnierza, który stracił nogę.

Na ulicy stoi karetka, gdzie kolejny zespół medyków szybko wyjaśnia kondycję rannych i przekazuje ich do punktu ewakuacyjnego. 36-letni Taras mówi, że tego trzeba zabrać do środka. To czwarty z przywiezionych żołnierzy. Pierwszemu odłamek złamał nogę i pozostał w kończynie, drugi ma przebite płuco. Obaj leżeli z ranami przez ponad dobę, bo ze względu na trwającą walkę nie udawało się ich wydostać na tyły. Trzeci na pierwszy rzut oka wygląda na pozór dobrze, ale po zdjęciu górnych warstw munduru okazuje się, że z rany brzucha wychodzą mu jelita.

Ten czwarty jest zdecydowanie w najgorszym stanie. Głowę ma szczelnie owiniętą bandażem, który czerwienieje w okolicach oka. Asekurowany przez medyków, porusza się o własnych siłach, ale bardzo powoli i niepewnie. Porusza

rękami, jakby szukał czegoś, za co może się złapać.

Wprowadzają go do domu, sadzają na krzesło. Ściągają bandaż, z okolicy zapuchniętego oka na podłogę wycieka strużka krwi. Po krótkich oględzinach Taras ocenia, że utknął w nim odłamek. Żołnierz majaczy, nie jest w stanie odpowiadać na pytania. Zmieniają mu opatrunek, ponownie bandażują głowę, wsadzają do karetki i odjeżdżają.

Tej nocy łącznie przyjedzie siedemnastu żołnierzy.

– Odkąd stacjonujemy w obwodzie donieckim, jest normą, że dziennie przywozi się nam po 10-15 rannych. Ale zdarzały się dni, gdy przywożono ich nawet 40 – przyznaje Taras.

Żołnierz, któremu oderwało nogę, nigdy nie dojedzie. Medycy wiedzą, że jeśli przez tak długi czas nikt go nie dowiozł, znaczy to jedno – nie było już po co go przywozić.

Etapy ewakuacji

Punkt ewakuacyjny Tarasa jest jednym z elementów systemu, dzięki któremu rannym żołnierzom można ocalić życie.

W pierwszej kolejności to zadanie należy do żołnierzy z drużyny, kolegów rannego. W większości przypadków nakładają mu szarę, taktyczną opaskę uciskową, dzięki której tamowane są krwotoki z kończyn. Gdy rannego uda się wyprowadzić z pola ognia, zabierają go medycy z batalionu. Oni, jeśli mają czas i możliwość, zajmują się rannym w karetce.

Jeśli sytuacja jest wyjątkowo trudna, jadą w strefę ognia transportem opancerzonym i to nim zabierają rannego – jak robili to medycy pod Sołedarem, którzy gnali pojazdem przez ostrzeliwane pole.

Kolejnym, trzecim etapem na szlaku ewakuacji jest ten, na którym pracuje Taras: to punkt ewakuacyjny, do którego zwożeni są ranni z kilku batalionów przynależących do jednej brygady.

– Nasze zadanie to założenie opatrunków, powstrzymanie krwotoku, umieszczenie człowieka w karetce i odwiezienie go dalej na tyły, do punktu stabilizacyjnego. Jeśli mamy czas, podłączamy ich pod kroplówkę z lekami przeciwbólowymi i antybiotykami. W przypadku ciężkich przypadków udzielamy tylko minimalnej pomocy, aby jak najszybciej wysłać ich dalej – wyjaśnia Taras.

Punkt stabilizacyjny to kolejne miejsce, gdzie trafia ranny. Tutaj udziela się mu już bardziej kompleksowej pomocy medycznej, tutaj mogą być też prowadzone operacje, jeśli to konieczne.

Potem będą już szpitale wojskowe na tyłach – tam znajdują się wszyscy niezbędni specjaliści, a także bardziej specjalistyczny sprzęt umożliwiający ocalenie życia i zdrowia żołnierza.

Dowieść żywym

Jeszcze rok temu Taras był stomatologiem w Iwanofrankiwsku, stolicy jednego z obwodów w zachodniej Ukrainie. Gdy 24 lutego 2022 r. Rosja rozpoczęła pełnoskalową inwazję, stwierdził, że nie może po prostu siedzieć w domu. Do komisji poborowej zgłosił się na ochotnika.

– To obowiązek każdego z nas – mówi Taras. Choć przyznaje, że wśród jego znajomych nie zna ludzi, którzy by służyli w wojsku.

On od razu trafił do kompanii medycznej. Początkowo miał pracować zgodnie ze swoją specjalizacją, ale pracy było mało i miał poczucie, że leczenie zębów to nie najważniejsze zadanie w trakcie wojny. Poprosił, by wysłano go do punktu ewakuacyjnego. Choć zazwyczaj lekarze w takich miejscach nie służą, bo są zbyt cenni, żeby ryzykować ich życie wysyłając w bezpośrednie zaplecze frontu, gdzie dolatują pociski.

Na początku marca 2022 r., gdy Rosjanie nacierali na wiele kluczowych ukraińskich miast, w tym na Kijów, a Taras rozpoczynał swoją służbę w wojsku, nie było wiele czasu na doszkolenie w zakresie medycyny taktycznej. Praktycznie od razu został wysłany w rejon walk, do obwodu żytomierskiego – atakujące tam rosyjskie kolumny usiłowały otoczyć Kijów od strony zachodniej.

– Nic nie wiedziałem o medycynie taktycznej. Nie było tak, że uczyłem się na rannych, bo mieliśmy trochę szkoleń, a do tego jestem lekarzem. Ale z większością rzeczy zapoznałem się już w praktyce – stwierdza Taras.

Szybko przywykł do otaczającej go wojny. Mówi, że nie miał problemów z patrzeniem na rannych.

– Najważniejsze to dowieść ich żywych. Najtrudniej jest, gdy to się nie udaje i człowiek umiera ci w samochodzie – przyznaje.

*Medycy transportują rannego żołnierza.
Po środku z czołówką to Ołeksandr.
Obwód doniecki, luty 2023 r.*

Nie mam prawa narzekać

→ Jego kolega z pododdziału medycznego, 29-letni Ołeksandr żartuje, że rok temu jedyne, co miał wspólnego z medycyną, to fakt, iż jego babcia była pielęgniarką. Jego dom rodzinny jest w Borodziance, niecałe 50 km od Kijowa. Ołeksandr mieszkał w Żytomierzu, gdzie był kierownikiem działu materiałów budowlanych w sklepie.

Gdy 24 lutego rano obudził go kolega informacją, że doszło do inwazji, ruszył do Borodzianki, by zająć się mamą i dwiema babciami.

W pobliżu miasta toczyły się już walki – przede wszystkim w mieście Hostomel, gdzie Rosjanie usiłowali zająć tamtejsze lotnisko. Z oddali słychać było artylerię. Ołeksandr wiercił rodzinie dziurę w brzuchu, żeby wyjechali z Borodzianki w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Wtedy obiecał sobie, że jak tylko będzie o nich spokojny, od razu stawia się w najbliższej komisji poborowej.

Rodzina stawiała jednak opór. Babcia nie chciała się ruszać z domu, mimo że pierwsze rakiety spadały już na miasto, wkrótce mieli pojawić się w nim pierwsi Rosjanie. Dopiero bomby zrzucone z samolotów – jedna z najbardziej przerażających broni – przekonała rodzinę Ołeksandra, że czas najwyższy, by uciekać.

W chaosie i gigantycznych korkach, które tworzyły się wtedy na głównych drogach, dopiero po kilku dniach udało im się dojechać do obwodu iwanofrankińskiego. Tam Ołeksandr zadbał, aby mieli wszystko, co niezbędne, po czym zrobił to, co sobie obiecał – stawiał się w komisji poborowej.

Przydzielony do kompanii medycznej, nie załapał się na pierwszy wyjazd na front, więc – w przeciwieństwie do Tarasa – mógł przechodzić intensywne szkolenia z medycyny taktycznej. Na własną rękę douczał się też z podręczników oraz internetu.

W przyszłości, już w jednostce, sam miał zostać instruktorem i uczyć innych wojskowych, jak udzielać pomocy rannym na polu boju. W przeciwieństwie do innych jednostek, gdzie szkolenia z medycyny taktycznej trwają jeden dzień, on wraz z innymi instruktorami uczył żołnierzy przez sześć dni – teorii i praktyki.

Dopiero w styczniu został wysłany do Donbasu.



Nosze z plamami krwi stoją w gotowości w punkcie ewakuacyjnym. Obwód doniecki, luty 2023 r.

– Kiedy przebywałem w jednostce na tyłach, męczyło mnie sumienie, że jestem gdzieś na dalekim zapleczu. Ale gdy przyjechałem tutaj, okazało się, że wielu żołnierzy mnie rozpoznaje i dziękuje za to, czego ich nauczyłem, bo im się to przydało – mówi Ołeksandr.

Spodziewał się, że gdy będzie musiał udzielić pomocy już nie na ćwiczeniach, lecz konkretnemu rannemu człowiekowi, będzie mu trudniej. Okazało się, że nie miał z tym problemów.

– To konkretna praca i muszę ją wykonać niezależnie od tego, czy ktoś nie ma kończyny, czy widać wewnętrzną ranę. Może tylko za pierwszym razem trzęsły mi się ręce, ale to głównie dlatego, że chciałem wykonać swoje zadanie jak najlepiej – twierdzi Ołeksandr.

– Zresztą nie mam prawa narzekać – dodaje. – Nocuję pod dachem, mam co jeść, mam nawet kawę mieloną. Tam na samym przodzie chłopcy żyją w koszmarnych warunkach.

Szczęśliwy pechowiec

Córka Alisa wkrótce będzie obchodzić trzecie urodziny. To właśnie ona była głównym argumentem, po który sięgnęła żona 32-letniego Artura przekonując go, by nie szedł do wojska. Odpowiedział, że chce iść na ochotnika. Ona zabrała mu dokumenty. Kłócił się z nią, żeby je oddała. Ona płakała, nie chciała o tym słyszeć.

Gdy rodzina opuściła Kijów i znalazła się w bezpiecznym miejscu, Artur bez dokumentów poszedł do komisji poborowej. Nie mógł patrzeć, jak Alisa ciągle płą-

cze i boi się z powodu wycia syren, ogłaszających alarm przeciwlotniczy.

– Miałem czekać, aż Rosjanie zapukają do moich drzwi? Musiałem coś zrobić – stwierdza.

Wspomina, że gdy powiedział, iż przyszedł bez dokumentów, członkowie komisji wojskowej buchnęli śmiechem. Jeden z nich powiedział, że tutaj połowa zgłaszających się jest w takiej sytuacji.

Artur, pracownik Instytutu Medycyny Weterynaryjnej w Kijowie, został przydzielony do kompanii medycznej, w funkcji kierowcy i sanitariusza.

Już po sześciu dniach trafił do obwodu żytomierskiego, gdzie ukraińska armia powstrzymywała Rosjan nacierających na Kijów. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że wojna to nie przelewki. Jechali dziesięcioma autobusami w stronę bazy. Nie było zasięgu, zgubili się, więc wyszli z pojazdów. Chwilę potem na niebie pojawiły się myśliwce, które strzelały gdzieś po okolicy. Świeżo upieczeni żołnierze rozbiegli się, padali na ziemię. Artur po raz pierwszy poczuł zwierzęcy strach.

Czasem myśli o sobie, że ma dużo szczęścia w nieszczęściu.

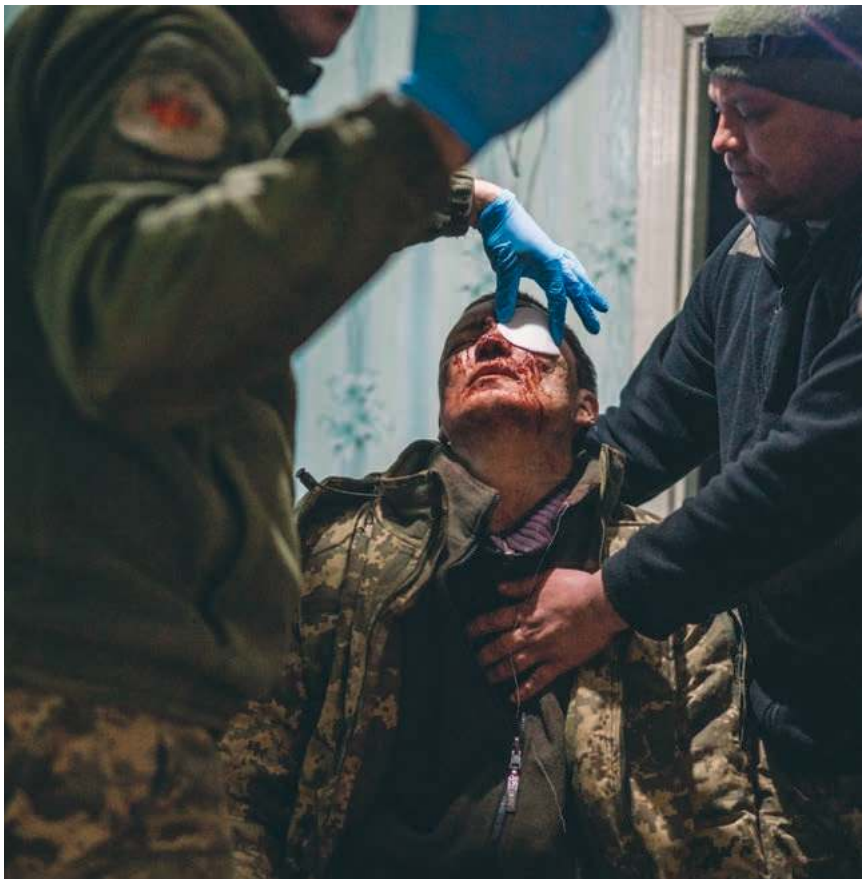
Dwa miesiące później Kijów był już bezpieczny, a brygadę Artura przerzucano do Donbasu. Stali na dworcu, za chwilę mieli wchodzić do wagonów. Nagle wokół zaczęły spadać rakiety. Jedna z nich trafiła w zapasy amunicji, które wybuchły. Medycy ruszyli, by wynosić rannych.

– W większości żołnierze mieli wstrząśnienie mózgu. Zginęły tylko dwie osoby, byli to pracownicy kolei. Gdyby do ataku doszło kilka minut później, byłibyśmy w środku wagonów, a ofiar byłyby setki – przyznaje Artur.

Bez znieczulenia

Do kolejnego wydarzenia dowodzącego jego szczęścia doszło, gdy był już w okolicy, gdzie stacjonuje obecnie.

Dowódca kazał zabrać mu dwóch rannych. Byli to zwiadowcy, cali obwieśzeni sprzętem, mieli ciężkie kamizelki. Po udzieleniu pomocy Artur miał odwieźć ich sprzęt w umówione miejsce. Choć zawsze nosi hełm i kamizelkę kuloodporną, tym razem nie zabrał ich, bo to było blisko. Podeszedł do jednego budynku, tam powiedziano mu, że ma zanieść rzeczy rannych żołnierzy do domu po drugiej stronie ulicy. Ruszył w jego



Medycy opatrują ранnego



Medycy prowadzą żołnierza, którego odłamek trafił w oko. Obwód doniecki

stronę, natknął się na znajomego, którego od dawna nie widział.

– Odniosę to – Artur kiwnął głową na rzeczy, które miał w rękach. – Wróć i pogadamy.

Odszedł kawałek dalej i usłyszał wybuchy nad głową. Padł na ziemię. To była rakietka kasetowa, odłamki pruły

powietrze z ogromną szybkością. Posiekały pobliski samochód. Uderzały tuż obok Artura, który leżał jak przyklejony do ziemi.

– Mówią, że przed śmiercią staję ci całe życie przed oczami. Ni cholery! Myślałem tylko: „dlaczego, kurwa, ja?” – mówi dziś.

Gdy uciхло, wstał. Nawet nie spojrzał, czy jest cały, tylko wziął sprzęt i pobiegł dalej. Był w połowie drogi, gdy znowu usłyszał wybuchy. Teraz już nawet się nie zatrzymywał, biegł co tchu. Zobaczyli go żołnierze wychylający się z piwnicy, krzyczeli, by biegł do nich. Co sił w nogach gnał z ekwipunkiem, który miał donieść. Słyszał świst odłamków. Równoległe do niego biegł jakiś pies, trafiły go szrapnele. Artur dobiegł do piwnicy, nie zatrzymując się krzyknął „przepraszam” i wskoczył do środka. Cały się poobijał, ale wyszedł z tego cały.

Ledwie się otrząsnął, a już kazano mu biec, żeby ratować żołnierza i natychmiast go ewakuować. Okazało się, że kolede, z którym miał porozmawiać, odłamek przebił tętnicę. Przeżył tylko dlatego, że Artur udzielił mu natychmiastowej pomocy.

Także pies przeżył. Artur wyciągnął z niego odłamki i zaszył rany. Zwierzę jednak do dzisiaj do niego nie podchodzi, bo operował je bez znieczulenia.

Są rzeczy, do których się nie przywyka

Po tym wszystkim Arturowi trudno wracać do bliskich na przepustki. Nie wie, co ma tam ze sobą zrobić. Kiedy był dziesięć dni w domu, to przez pierwsze dwa się wysypiał, a potem chciał już wracać. Nie wie, o czym ma rozmawiać z tymi, którzy nie przeżyli tego, co on.

Początkowo trudno było mu podejść do ранnego człowieka. Odpychały go jego krzyki i pełno krwi. Teraz to już minęło. Zadania wykonuje mechanicznie, nie zwracając uwagi, że kończy trzymać się na strzępie skóry czy mięśni. Stał się głuchy na wrzaski ранnych.

Jedyne, do czego nie przywykł, to śmierć znajomych. Spośród dziesięciu kolegów, z którymi mieszkał w jednym pokoju w bazie wojskowej, gdy tylko wstąpił do jednostki, dziś przy życiu zostało ich trzech.

– To nie tak, że raz i ich wszystkich nie ma. Ginęli stopniowo – mówi.

Jeszcze teraz, w lutym, odwoził jednego z nich. Ten co prawda przeżył, ale amputowali mu obie nogi. Kolega był w obsłudze mózdzierza – pocisk rozerwał się im wewnątrz łufy.

Artur wierzy, że po tym wszystkim wróci do życia, które wiódł przed inwazją.

© PAWEŁ PIENIAŻEK



ABOULHAMID HOSBAS / ANADOLU / GETTY IMAGES

Brama Brandenburska, jeden z symboli Berlina. 29 lipca 2020 r.

Jaka piękna katastrofa

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Często sprawia wrażenie, jakby nic w nim nie działało. Mieszkańcy cierpią, ale ich miłość do tego miasta nie przemija. Oto subiektywny portret stolicy Niemiec.

TAK CZĘSTO, JAK TYLKO MOGĘ, PRZEKONUJĘ czytelników „Tygodnika”, że wiele opinii na temat Niemiec to nie żadne stereotypy, tylko szczerza prawda. Uwielbienie dla porządku, etos pracy, trzymanie się pieczołowicie tworzonych planów, dążenie do perfekcji – tak, to niezbywalne części niemieckiego charakteru. Jednak od każdej reguły zawsze znajdziemy odstępstwo. W przypadku Niemiec takim wyjątkiem jest Berlin.

Celebrowanie chaosu, anarchii i twórczego lenistwa urosło już nad Szprewą do wymiaru sztuki. To miasto jest tak odmienne od standardowego wyobrażenia

Niemiec, że również dla samych mieszkańców tego kraju podróż do stolicy jawi się trochę jak odwiedziny dalekich i nieznanymi zakątków świata.

W listopadzie 2022 r. berliński Sąd Konstytucyjny uznał za nieważne wybory do lokalnego parlamentu, przeprowadzone w tym landzie we wrześniu 2021 r. (Berlin jest jednocześnie i miastem, i jednym z 16 niemieckich landów). Przyczyną tej decyzji były liczne nieprawidłowości, wynikające z chaosu – na tyle poważne, że mogące mieć wpływ na wyniki.

Powtórka głosowania odbyła się w niedzielę 12 lutego. Rządząca dotąd koalicja socjaldemokratów (SPD), Zielonych i lewackiej Die Linke wprowadziła zdobyła łącznie wystarczającą liczbę mandatów, aby zachować władzę w Berlinie. To poniekąd element berlińskiej tradycji, że władzę sprawuje tu lewica. Tyle tylko, że tym razem wyborcy pokazali zarazem rządzącym kartkę co najmniej żółtą. Nawęcej, bo ponad 28 proc. głosów, otrzymali bowiem chadecy z CDU, którzy proponują stolicy konserwatywną wolę. Jednak aby objąć władzę, chadecy musieliby przeciągnąć na swoją stronę którąś z partii obecnej koalicji – Zielonych lub SPD. W chwili zamykania tego numeru negocjacje koalicyjne trwały.

Czyżby sami berlińczycy zmęczeni się odgrywaniem roli najbardziej szalonego cyrku Republiki Federalnej?

Miasto inne niż Niemcy

Berlin to jedno z tych miejsc w Europie, gdzie mieszkańcy mogą bez końca dyskutować i zajmować się problemami własnego miasta. Wynika to po części z samego położenia. Do morza daleko, w góry jeszcze dalej. Wokół stolicy roztacza się brandenburska prowincja, głównie pola i zasadzone od linijki tzw. lasy gospodarcze.

Natomiast sam Berlin to ponad 4 mln mieszkańców, polityczne intrygi, eklektyczna architektura, światowa oferta kulturalna i kulinarna, kultowe kluby tańeczne, a także wielkie obszary zielone, kanały i ponad sto wysp. To miejsce, które w pełni absorbuje uwagę.

Na niekończące się dyskusje o mieście zawsze znajdzie się czas, bo mniejsze znaczenie odgrywa tu kariera czy praca zawodowa w ogóle. Podczas jednego z berlińskich wydarzeń polityczno-ekonomicznych jego uczestnik z branży finansowej wyznał mi, iż niechętnie przyjeżdża z Frankfurtu nad Menem do Berlina.

W końcu to Frankfurt jest stolicą niemieckich finansów. To tam trzeba być na rozmowach biznesowych. Tak samo jak w sprawach handlu międzynarodowego wybrać należy się raczej do Hamburga, a sprawy motoryzacyjne przegadać w Monachium (tam ma siedzibę koncern BMW) albo w Stuttgarcie (kolebka Mercedesa). Również inne skarby nie-

mieckiej gospodarki, jak Siemens, Bayer, Allianz, Bosch czy BASF swoje główne siedziby mają porozrzucane po całej mapie Niemiec.

„Wisi mi to”

Do Berlina nie przyjeżdża się zatem, aby robić typową karierę. Wyjątkiem jest ogólnokrajowa polityka, ale tutaj nie ma się już wyboru.

Stolica od dekad przyciąga raczej kosmopolitycznych nomadów. Dla nich liczy się nie to, gdzie będą pracować, ale gdzie będą żyć. – W Berlinie jest bardzo dużo wolności. Tutaj łączą się różne kultury. Można spróbować wiele kuchni, spotkać kreatywnych i ciekawych ludzi – mówi Tomasz Kurianowicz. Pochodzący z Polski dziennikarz zawodowo zajmuje się Berlinem. Jest redaktorem naczelnym stołecznego dziennika „Berliner Zeitung”. – Nie ma społecznej presji, jeśli chodzi o tożsamość czy seksualność. Ludzie mają poczucie, że mogą tu żyć tak, jak chcą.

I faktycznie, nawet zwykły spacer po niektórych fragmentach miasta mógłby być koszmarem dla działaczy Solidarności. Na tłum podążający za swoimi codziennymi sprawunkami składają się „normalni” Niemcy ubrani w jeansy, gorsetowe kurtki i buty, kobiety w hidżabach i osoby, które kolorowymi strojami podkreślają swoją tożsamość seksualną. Najczęściej nikt nikomu nie przeszkadza.

Ta berlińska tolerancja niewiele ma wspólnego z amerykańską wersją poprawności politycznej, która wyraża się w głośnych zachwytach nad odmiennością. Mottem Berlina jest „Is mir egal”, czyli dosłownie: „Wisi mi to”.

Słowa te wykorzystano w piosence reklamującej miejski transport publiczny. Tekst wymienia przeróżne sytuacje i postacie, które można napotkać, wchodząc do wagonu kolejki. Typową berlińską reakcją nawet na szydełkującą *drag queen* i tak będzie wzruszenie ramionami i powrót do gapienia się w telefon.

Jeden Berlin, wiele światów

Obecna aglomeracja powstawała z biegiem lat poprzez łączenie się dawnych okolicznych miasteczek. Dlatego ciężko tu o jedno centrum. Pretendować mógłby do tego miana Alexanderplatz z górującą nad nim charakterystyczną wieżą telewizyjną. Turyści pewnie wskazaliby na aleję Unter den Linden, która ciągnie się od

Bramy Brandenburskiej. Ale perspektywa mieszkańców jest inna. Tak naprawdę każde z byłych miasteczek, obecnie dzielnic, ma swój niepowtarzalny charakter.

Ścisłe centrum polityczne, gdzie mieszczą się Bundestag i Urząd Kanclerski, to domena polityków i dziennikarzy żyjących w symbiozie. Z kolei Prenzlauer Berg to dzielnica dobrze sytuowanej klasy średniej. Kreuzberg i Neukölln to mieszkanka artystycznej bohemy, tureckich i arabskich imigrantów oraz coraz większej liczby nowych mieszkańców. Studenci z całego świata marzą, by pomieszkać w tych okolicach ze względu na liczne knajpy, kluby i restauracje. Za to zupełnie inaczej życie wygląda na blokowisku Marzahn we wschodniej części miasta – tu mieszka wiele osób starszych i imigrantów z Europy Wschodniej, a sukcesy wyborcze odnosi populistyczna Alternatywa dla Niemiec.

Na początku trudno odnaleźć się w tej topografii. Rozległość miasta jest udręką także dla wielu mieszkańców. Aby spotkać się z kimś z innej dzielnicy na kawę, często trzeba rezerwować do godziny na dojazd. Warto też pamiętać, że ponad 30 lat temu miasto było niemal dosłownie zszywane: wcześniej część wschodnią i zachodnią dzielił słynny mur, symbol zimnej wojny.

– Takie dzielnice jak Mitte czy Kreuzberg przed zjednoczeniem znajdowały się po dwóch stronach muru berlińskiego. Tam na początku nic do siebie nie pasowało, żadne rury czy instalacje elektryczne – tłumaczy Lorenz Maroldt, szef berlińskiego dziennika „Tagesspiegel”. Maroldt sprowadził się do Berlina pod koniec lat 80. XX stulecia. – W pierwszych dziesięciu latach od zjednoczenia Niemiec naprawdę wykonano ogrom pracy. Aż do dzisiaj nie docenia się, że to były dwa różne miasta – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Przykładem dynamicznych przemian jest Prenzlauer Berg, uważany dziś za ultrahipsterski. Trzy dekady temu był dzielnicą mocno zniszczonych, nieremontowanych bodaj od wojny XIX-wiecznych kamienic. Mieszkało tu wielu ludzi, którzy w komunistycznej NRD byli wypychani na społeczny margines, w tym opozycjoniści i wszelkiej maści outsiderzy. Po 1990 r. dzielnica jeszcze podupadła. Pierwszy polski przewodnik po zjednoczonym Berlinie przestrzegał przed zapuszczaniem

się w te rejony ze względu na odpadający tynk i panoszące się bandy skinheadów.

Przestrzeń dla eksperymentów

To, że po 1990 r. Berlin był dopiero co „sklejany” miastem, bez przemysłu i określonego planu na przyszłość, przyciągnęło liczne „kolorowe ptaki”. Miejsca w opuszczonych kamienicach było aż nadto. Nowi mieszkańcy kontynuowali tym samym tradycję Berlina Zachodniego, który w czasie podziału Niemiec przyciągał buntowników wszelkiej maści, a także artystów. Także z zagranicy: tu swoje albumy nagrywali David Bowie, Depeche Mode, Iggy Pop i Nick Cave. Również niemiecka muzyczna alternatywa swoje najciekawsze oblicze ujawniała właśnie w Berlinie Zachodnim, gdzie tworzyli Ton Steine Scherben, Nina Hagen, Einstürzende Neubauten.

„W Berlinie jest dużo miejsca na wszelkiego rodzaju eksperymenty, a że każdy praktycznie ma na swoim koncie już kilka porażek, to dużo prośbiej jest mu tutaj coś kompletnie sprzeczne raz, dwa, trzy, cztery czy pięć razy” – tak charakter miasta opisał znany publicysta Sascha Lobo. To wciąż coś wyjątkowego w kraju, gdzie każde działanie powinno być perfekcyjnie planowane.

Jeszcze dwie dekady temu dostęp do miasta dla ludzi żądnych przygód był prostszy niż dziś – w porównaniu do metropolii byłych Niemiec Zachodnich czynsze były niższe. Jednak od kilkunastu lat stałym tematem rozmów jest gentryfikacja. To proces, który polega na szybkiej zmianie charakteru danej dzielnicy. Ludzie z pieniędzmi lub fundusze inwestycyjne w szybkim tempie wykupują mieszkania, przez co czynsze rosną i tradycyjne grupy mieszkańców muszą przenieść się gdzie indziej. Tyle że miejsc z rozsądnymi czynszami – bo Niemcy tradycyjnie raczej wynajmują, a nie kupują mieszkania – w Berlinie już prawie nie ma.

Szukanie mieszkania: mission impossible

– To jeden z większych problemów miasta. A władze nie są w stanie zbudować potrzebnych nowych mieszkań ze względu na globalny kryzys, ale i nadmiar biurokracji. Mieszkańcy mają poczucie, że wszystko dzieje się za wolno – tłumaczy Tomasz Kurianowicz. Lorenz Maroldt dodaje, że problem wynika też ze specyfiki



Berlin,
2017 r.

Co warto zrobić w Berlinie?

1. IŚĆ NA KEBAB: wersja z mięsem i dodatkami ułożonymi w pieczywie, czyli tzw. Döner, powstała właśnie w Berlinie i tu smakuje najlepiej.

2. ZWIEDZIĆ MUZEA: nieprzebrane zbiory Wyspy Muzeów, najważniejsi współcześni artyści w Gropius Bau czy Muzeum Żydowskie na Kreuzbergu – z oferty muzealnej niemieckiej stolicy trzeba skorzystać.

3. ODWIEDZIĆ PCHLI TARG

W MAUER PARK: chodzenie na Flohmarkt to jedna z niemieckich szajb. Ten w Mauerpark jest jednym z większych i popularniejszych w stolicy. Odwiedzać tylko, gdy nie przeszkadza nam przebywanie w tłumie, albo wyszukać bardziej kameralne targi, organizowane w wielu częściach miasta.

4. USIAŚĆ NA POLU TEMPELHOF: wielki teren byłego lotniska, który obecnie jest wykorzystywany przez berlińczyków do grillowania, spacerowania, puszczenia latawców i uprawiania sportów. Były plany zabudowy, ale mieszkańcy skutecznie obronili ten spektakularny kawał zieleni.

5. POJEŹDZIĆ MIEJSKĄ KOLEJKĄ: pociągi U-Bahn i S-Bahn to wygodny sposób przemieszczania się po mieście. Czasem wystarczy wsiąść i obserwować barwny berliński tłum, zmieniając się co stację.

6. WSTĄPIĆ DO DUSSMANNA – wielopiętrowa mekka moli książkowych przy Friedrichstraße. Znam ludzi, którzy potrafili pojechać pociągiem z Warszawy do Berlina po to, aby obkupić się w Dussmannie i następnie od razu ruszyć w drogę powrotną.

7. ZJEŚĆ CURRYWURST: w Berlinie nie brakuje ekskluzywnych lokali, gdzie można zostawić setki euro, ale dla nikogo w stolicy nie jest ujmą wybrać się czasem do jednej z licznych budek z kielbaską gęsto polaną sosem curry.

8. ZOBACZYĆ ZAMEK BERLIŃSKI: pytanie, czy polityczna decyzja o odbudowie tej dawnej siedziby władców Prus (uszkodzonej podczas wojennych nalotów i wyburzonej w czasach NRD) była słuszna, przez lata dzieliło berlińczyków. Gdy teraz już stoi, warto samemu wyrobić sobie zdanie na jego temat.

9. WSIĄŚĆ DO KAJAKA: popłynąć – i odkryć ze zdziwieniem, jak wiele tras wodnych posiada stolica Niemiec (głównie kanałów) i jak wyjątkowo prezentuje się z poziomu tafli wody.

10. NAPIĆ SIĘ PIWA W KNAPIE:

Eckkneipe, czyli tradycyjne „knajpy na rogu”, jak sama nazwa wskazuje, usytuowane są na rogach starych kamienic. To piwiarnie z długą historią, wierną klientelą i niezobowiązującą atmosferą (często można w środku nawet puścić dymka). Jest ich coraz mniej, więc nie odkładajcie wizyty na później. © ŁG

→ starych berlińskich mieszkań, które w porównaniu z Paryżem czy Londynem są bardzo duże.

Frustracja związana z rynkiem najmu jest tak dojmująca, że w specjalnym referendum mieszkańcy zagłosowali za wywłaszczeniem wielkich koncernów mieszkaniowych, w których rękach znajduje się w sumie około ćwierć miliona mieszkań. Politycy boją się jednak cokolwiek z tym zrobić. Uznają, że jakiegokolwiek próby i tak na końcu zostaną uznane za niekonstytucyjne.

W międzyczasie „Tagesspiegel”, „Berliner Zeitung” i inne stołeczne media regularnie opisują coraz bardziej karykaturalne historie poszukiwania mieszkania w Berlinie. Standardem stały się długie kolejki chętnych do obejrzenia wystawionego na wynajem lokum. Poszukujący, jeśli chce w ogóle być brany pod uwagę, musi już na starcie uzbroić się w szereg dokumentów poświadczających brak długów i udowodnić stałe miesięczne dochody, z których pokrycie przyszłego czynszu powinno stanowić ok. 30 procent.

Ceny wynajmu mieszkań o powierzchni 40-50 metrów kwadratowych coraz częściej szynują w kierunku 2 tys. euro miesięcznie. A i tak na końcu pozostaje loteria, na kogo wskaże właściciel lub agent nieruchomości.

Miasto upadłe...

Z sondażu, który wykonano przed wyborami do berlińskiego parlamentu lokalnego, wynika, że aż trzy czwarte respondentów było niezadowolonych z pracy polityków; równocześnie 66 proc. (tylko? aż?) było mimo wszystko zadowolonych z życia w tym mieście.

Nasi rozmówcy wskazują, że znalezienie mieszkania wcale automatycznie nie kończy frustracji. – Administracja w Berlinie jest dysfunkcyjna – twierdzi Lorenz Maroldt. – Nikt nie chce za nic brać odpowiedzialności.

Diennikarz opowiada, jak niedawno chciał pomóc córce dowiedzieć się, kiedy i jak będzie mogła odebrać prawo jazdy. Po wielu próbach w końcu udało mu się dodzwonić do urzędu. „Czy pan nie czyta gazet? Z powodu organizacji wyborów urzędy nie działają” – Maroldt z uśmiechem wspomina zgryźliwy komentarz urzędnika. I dodaje, że jego doświadczenie nie jest odosobnionym przypadkiem. Przez opieszałość urzędników i złą organizację w Berlinie trudno załatwić podstawowe sprawy. Ktoś, kto potrzebuje zaświadczenie, paszport albo nie daj Boże jakieś pozwolenie, musi uzbroić się w dużą dawkę cierpliwości.

Zresztą sam fakt, że wybory trzeba było powtórzyć, był – jak już powiedziano – skutkiem zaniedbań polityków i urzędników. Wyobraźmy sobie drugie takie miasto, gdzie władze

decydują się zorganizować jednocześnie wybory do Bundestagu, do Izby Deputowanych (tak nazywa się berliński parlament), do rad miejskich obwodów, do tego referendum dotyczące wywłaszczenia koncernów mieszkaniowych, a na dołkę... maraton. I to jeden z większych na świecie, w którym co roku bierze udział ponad 40 tys. uczestników, z czego część przyjeżdża z rodzinami.

W konsekwencji ludzie nie mogli dostać się do lokali wyborczych, a ci, którym się to udało, musieli czekać w kolejkach także dlatego, bo brakowało kart do głosowania. Część lokali trzeba było czasowo zamknąć. Trudno się czasem dziwić, że włodarze i politycy innych landów nazywają Berlin kąśliwie „miastem upadłym”.

...i niebezpieczne

Berlin jest kulturowym tygłem. Wcześniej największe grupy etniczne stanowiły Turcy i Polacy. Potem, za sprawą fali uchodźczej w latach 2015-16, trafiła tu ogromna liczba uchodźców i imigrantów z krajów arabskich. W ciągu ostatniego roku schronienie w stolicy Niemiec znalazło też ok. 100 tys. Ukraińców, głównie kobiet i dzieci.

Dziś 35 proc. mieszkańców Berlina ma korzenie migracyjne, a 25 proc. nie ma niemieckiego paszportu i nie może brać udziału w wyborach. Tak duży odsetek z bardzo różnych kręgów kulturowych, często niezających niemieckiego, prowadzi także do problemów. Morze atra-

mentu wylano, by opisać ekscesy arabskich klanów rodzinnych. Trudnią się działalnością przestępczą, głównie sprzedają narkotyków; na koncie mają też spektakularne kradzieże. To członkowie klanu Remmo w 2019 r. zdołali ukraść bezcenne klejnoty z muzeum w Dreźnie.

Temat problemów z integracją powrócił w ostatnią noc sylwestrową, gdy w wielu miejscach stolicy imigrancka młodzież strzelała rakietami sylwestrowymi w samochody, a następnie budowała barykady i kierowała fajerwerki w kierunku oddziałów policji i strażaków. Kilkudziesięciu funkcjonariuszy zostało rannych.

– W naszym sondażu wyszło na jaw, że największym problemem dla mieszkańców stanowi właśnie brak poczucia bezpieczeństwa – mówi Tomasz Kurianowicz z „Berliner Zeitung”. – Po nocy sylwestrowej nikt nie rozmawiał o mieszkaniach czy transporcie publicznym. Skupiono się na bezpieczeństwie i na tym, czy miasto w ogóle potrafi jeszcze zareagować.

Dla wielu mieszkańców – i niekoniecznie tylko tych nieco starszych – mniej liczy się jednak kolejny klub otwarty w okolicy, a bardziej to, czy późnym wieczorem można bez strachu wejść do kolejki U-Bahn.

Z mapy wyborczej widać, jak miasto podzieliło się politycznie: na centralne ultraliberalne dzielnice, gdzie najczęściej głosów zbierają Zieloni, oraz na bardziej oddalone kwartały, które jednogłośnie najczęściej głosów oddały chadekom

z CDU. Można wysnuć hipotezę, że przynajmniej część berlińczyków jest zmęczona chaosem, który panuje w sercu miasta. Ta grupa oddała głos na polityków, którzy do wyborów przystąpili z hasłem przywrócenia porządku.

Wszystko się zmienia

Wysoka, jak na obecne niemieckie realia polityczne, wygrana chadecji i tak może niewiele zmienić. Lewicowy sojusz SPD, Zielonych i Die Linke wciąż ma dość głosów, by zdecydować się na przedłużenie obecnej koalicji. Do zamknięcia tego numeru „Tygodnika” nic nie wskazywało na rychłe decyzje w tej sprawie.

Przyszli rządzący będą musieli jednak naprawdę stanąć na głowie, by udowodnić, że potrafią zarządzać tym niezwykle miastem. Bardziej prawdopodobne jest, że będzie ono dalej dryfować w kierunkach raczej przypadkowo wybieranych przez starych i nowych mieszkańców.

– Berlin jest ekstremalnie dynamiczny. Jeśli ktoś żyje w jednej dzielnicy przez pięć lat, to przez ten czas wszystko wokół niego się zmienia – podkreśla Lorenz Maroldt i ma na myśli raczej inicjatywy oddolne, a nie odgórne polityczne plany. Oprócz coraz to nowych knajp i sklepików, równie często pojawiają się nowe inicjatywy społeczne i sąsiedzkie.

To dzięki tej energii, pomimo nagromadzonych problemów, mieszkańcy Berlina nadal kochają swoje miasto.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

REKLAMA



 Polska Misja Medyczna

By rodzić bezpiecznie.
Na całym świecie.

www.pmm.org.pl



Wszystkie drogi prowadzą do Wilna

TOMASZ OTOCKI

700 lat temu w liście księcia Gedymina po raz pierwszy padła o nim pisemna wzmianka. Jubileusz zbiega się ze zmianą: z funkcją mera żegna się znany liberalny polityk. Zmienia się też samo miasto.

REMIGIJUS ŠIMAŠIUS WYDAŁ WŁAŚNIE książkę pod tytułem „Miestas ir meras. Vilniaus pokyčių istorijos” („Miasto i mer. Historie przemian w Wilnie”), którą niejako żegna się z mieszkańcami Wilna. A w każdym razie żegna się w dotychczasowej roli, bo przecież nie odchodzi zupełnie – zgłosił swoją kandydaturę do rady miejskiej. Jednak od wiosny w funkcji mera, którą Šimašius pełnił przez długie dwie kadencje, zastąpi go ktoś inny.

Książka jest zapisem rozmowy ze znanymi współczesnymi wilnianami. A także swego rodzaju hołdem, jaki postanowił sobie złożyć na koniec urzędowania ambitny polityk, który przez kilka lat sprawował także funkcję ministra sprawiedliwości.

„Nie wszystkie decyzje Šimašiusa mi się podobały, i nie mówię o słynnym »zwężaniu« ulic, ale były też zwłaszcza te dotyczące mniejszości narodowych, począwszy od ozdobnych sztyldów ulicznych, a skończywszy na usługach dostępnych w języku polskim, rosyjskim i angielskim, za które jestem mu wdzięczny” – pisze na Facebooku jeden z moich znajomych.

Z kolei Ewelina Dobrowolska, która w obecnym rządzie stoi na czele ministerstwa sprawiedliwości, wiele razy chwaliła Šimašiusa „za szacunek wobec praw człowieka”; tymczasem jego przeciwnicy zarzucali mu „chore pomysły”. „Wąskie umysły zwężają ulice” – takie tytuły ukazywały się choćby w miejscowej polskiej prasie [chodzi o uszczuplanie przestrzeni dla aut na rzecz pieszych, rowerów i komunikacji publicznej – red.].

Parada kandydatów

W wyborach samorządowych, które na Litwie odbędą się w niedzielę 5 marca, w Wilnie o funkcję mera ubiega się aż

szesnastu kandydatów, z czego zaledwie część wpisała swoje nazwisko także na listę potencjalnych radnych.

Wśród nich znajdują się: wspierany przez Šimašiusa poseł na Sejm Tomas Vytautas Raskevičius (działacz społeczności LGBT), a także Waldemar Tomaszewski, przedstawiający się jako gorliwy katolik, który od kilkunastu lat reprezentuje w Parlamencie Europejskim ugrupowanie o przydługiej nazwie: Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin.

Z kolei Mykolas Majauskas, przez wiele lat młoda nadzieja konserwatystów, w ogóle nie zgłosił swojej listy i gdyby wygrał drugą turę, nie miałby własnych ludzi w radzie miejskiej. – W Wilnie byłby to precedens, ale podobne sytuacje zdarzały się w innych samorządach. Zresztą uprawnienia mera zostały niedawno wzmocnione i teoretycznie nowy mer może mniej lub bardziej skutecznie rządzić bez rady miejskiej – informuje „Tygodnik” Aleksander Radczenko, były publicysta. Od 2015 r. na Litwie mera wybiera się w wyborach bezpośrednich, a niedawno nastąpiła także inna ważna zmiana: żaden polityk nie może stać na czele samorządu dłużej niż trzy kadencje.

Majauskas, który na swoją kampanię zgromadził najwięcej środków spośród wszystkich kandydatów, spletał politycznego psikusa kandydatowi konserwatywnego Związku Ojczyzny Valdasowi Benkuskasowi, dotąd pełniącemu funkcję wicemera („Nie ma charyzmy” – surowo ocenia go z rozmowie ze mną publicysta Rimvydas Valatka; sam Benkuskas określa się jako „mer bez cyrków”). Teoretycznie głosy prawicowego elektoratu mogą się więc rozbić (na razie na Benkuskasa chce głosować prawie 18 proc. an-

kietowanych, a na Majauskasa 9 proc.). Na tym mogą skorzystać inni kandydaci – jak były mer, „nieustannie powracający” Artūras Zuokas (24 proc. poparcia) czy Raskevičius (10 proc.). Zuokas to według Valatki „symbol korupcji”, ale wciąż wielu wilnian mu wierzy.

Centrum i peryferie

Tomas Raskevičius przekonuje mnie, że ma dobry plan dla Wilna, zgodny z progresywnym profilem Partii Wolności, która przebojem weszła w 2020 r. do Sejmu i dziś współtworzy centroprawicowy gabinet premier Ingridy Šimonytė. Ostatnio jego partia dostała jednak zadyszki – przez ponad dwa lata nie udało się w Sejmie przeprowadzić sztandarowego projektu partnerstw cywilnych; teraz wolnościowcy obiecują dokonać tego w samorządzie stołecznym. Sam Raskevičius podkreśla, że jego program nie koncentruje się tylko na sprawach światopoglądowych.

– Wilno musi stać się miastem, które stawia ludzi ponad pojazdy silnikowe. Proponuję ulice wygodne nie tylko dla samochodów, ale także dla komunikacji miejskiej, rowerów i pieszych. Chcę zobaczyć miasto, które zapewnia przestrzeń dla kawiarni, barów, sklepików czy usług nie tylko w centrum miasta, ale także w tzw. dzielnicach sypialnych – mówi „Tygodnikowi” Raskevičius.

Akurat los przedmieść jest bólem półmilionowego miasta, które pięknie rozwija się w centrum, ale którego peryferie są wciąż zaniedbane.

Kolejny priorytet to edukacja. – Prawie co czwarte dziecko na Litwie uczęszcza do szkoły w Wilnie. Musimy inwestować w budynki szkolne, w dobrych nauczycieli, poprzez podnoszenie ich wynagrodzeń. A także skutecznie przeciwdziałać molestowaniu i zapewnić edukację seksualną – dodaje Raskevičius.

To ostatnie, podobnie jak wsparcie dla społeczności LGBT, ma być wyróżnikiem kandydata Partii Wolności, na którą głosuje głównie młode pokolenie. Odchodzący mer Remigijus Šimašius w zeszłym roku poszedł w marszu Baltic Pride, na co nigdy nie zdecydowałby się np. Zuokas.

„Nie lekceważmy polskiej partii”

Czy Wilno byłoby gotowe na mera geja?

– Stolica Litwy jest prawdopodobnie najbardziej liberalnym i tolerancyjnym miastem naszego kraju, tradycyjnie gło-



YAUHEN YERCHAK / SOPA / GETTY IMAGES

700 lat temu Wilno po raz pierwszy pojawiło się w źródłach pisanych; obchody rozplanowano na cały rok. Pokazy na głównym dziedzińcu uniwersyteckim, 25 stycznia 2023 r.

sującym na centroprawicę, więc sądzę, że nie miałyby problemu z merem gejem, Żydem czy Polakiem – tłumaczy „Tygodnikowi” Radczenko (akurat na Litwie to właśnie centroprawica jest życzliwa zmianom w obyczajowości). – Bardziej liczy się, z jakiej partii jest kandydat i jaki program reprezentuje. Liczy się też jego charyzma. Moim zdaniem Raskevičius merem nie zostanie, ale nie z powodu orientacji seksualnej. Partia Wolności dołącza w sondażach.

Pewne jest natomiast, że mer z polskiej listy nie ma większych szans. Według ostatniego sondażu na Waldemara Tomaszewskiego chce głosować niespełna 3 proc. wyborców. Nawet jeśli przy urnie będzie to trzy razy więcej (elektorat polskiej partii ma tendencję, by ukrywać swoje preferencje), nie ma szans na wejście do drugiej tury.

Czy w tej drugiej turze zderzą się zatem konserwatysta Benkunskas oraz eksmer Zuokas? Gdyby doszło do takiej rozgrywki, na pierwszego głosowałoby 41 proc., a na drugiego 38 proc. Zuokas jest popularny wśród wileńskich Polaków, a AWPL-ZChR wiele razy współrządziła z nim w koalicji.

„Nie należy lekceważyć polskiej partii” – mówił ostatnio Zuokas nadawcy publicznemu LRT, co jest zachętą do ko-

alicji. Gdyby jednak wygrał konserwatysta, raczej zbuduje sojusz odtwarzający koalicję sejmową – jeśli do rady miejskiej dostanie się nie tylko Partia Wolności, ale także Ruch Liberałów.

Ten ostatni na pozór zagrał odważnie: liderem jego listy jest członek społeczności żydowskiej Daniel Lupshitz, a z czwartego miejsca kandyduje Polka, socjolożka i dyrektorka Instytutu Społeczeństwa Przyszłości Eryka Godlewska. Tyle że Wilno już jakiś czas temu odrobiło swoją lekcję tolerancji – nie musi udowadniać, że jest miastem tolerancyjnym.

Rosyjskie interesy mera Kowna

Nieco gorzej jest pod tym względem w Kownie: jego mer Visvaldas Matijošaitis (bezpartyjny) wślwił się próbą zakazu imprezy LGBT organizowanej w tym 300-tysięcznym mieście. Kilka lat temu radny Kowna Gintautas Labanauškas był inicjatorem referendum w sprawie ograniczenia w przestrzeni publicznej informacji dotyczącej homoseksualizmu. Dziś jest on kandydatem na mera z partii Związek Demokratów „W imię Litwy” (to ugrupowanie byłego premiera Sauliusa Skvernelisa).

Co ciekawe, kandydat na wójt Wilna z tego samego ugrupowania Lu-

kas Savickas nie tylko głosował w Sejmie za związkami partnerskimi, ale także wpisał na swoją listę kandydatów Zygmunta Klonowskiego z polskiego środowiska konkurencyjnego wobec AWPL-ZChR, skupionego wokół wydawcy „Kuriera Wileńskiego”. Na Savickasa na razie chce głosować jednak tylko niespełna 3 proc., a zwolennicy Klonowskiego twierdzą, że jego osiemnaste miejsce na liście nie jest afrontem wobec polskiej społeczności.

My wracamy jednak do Kowna. Swoimi refleksjami na temat sceny politycznej w tym mieście dzieli się z „Tygodnikiem” politolog z kowieńskiego Uniwersytetu Witolda Wielkiego dr Ignas Kalpokas. – Sądzę, że zwycięstwo obecnego mera Matijošaitisa w pierwszej rundzie jest bardzo prawdopodobne. Choć żyjemy w pewnym rozdarciu: z jednej strony popieramy Ukrainę, z drugiej zaś większości wyborców w Kownie nie wydaje się przeszkadzać fakt, że Matijošaitis kontynuuje swoje interesy w Rosji – twierdzi Kalpokas.

Matijošaitis, umieszczany wśród najbogatszych Litwinów, jest jednym z właścicieli Vičiūnų grupė – konsorcjum spożywczego, które prowadzi swój biznes m.in. w Rosji.

Baryton nie ma szans

→ Ignas Kalpokas ma także za złe merowi Kowna rozpowszechnianie wiary w „spisek elit wileńskich”, które chcą „podkopać Kowno”. Takie dystansowanie się od Wilna jest modne na litewskiej prowincji. Kalpokas przewiduje, że w radzie miejskiej „przedwojennej stolicy” znajdą się jeszcze tylko dwie partie: Związek Chłopów i Zielonych, który w latach 2016-20 rządził Litwą ręką swojego charyzmatycznego lidera Ramūnasa Karbauskisa (i dziś na mera Kowna wystawia byłego ministra zdrowia, popularnego w okresie pandemii Aurelijusa Veryge), a także konserwatyści.

Kowno, głosujące tradycyjnie na prawicę aż do roku 2015, było przez ponad dwie dekady w rękach konserwatystów. Dziś kandydatem konserwatywnego Związku Ojczyzny na mera jest Vytautas Juozapaitis – solista operowy (baryton), wykładowca akademicki i szef komisji kultury w Sejmie. Jednak nie ma większych szans.

– Obiektywnie za rządów konserwatystów w Kownie na wszystko brakowało pieniędzy i nic ciekawego się nie działo. Dlatego w 2015 r. ludzie zaufali Matijošaitisowi, który pokazał, że jednak pieniądze potrafi znaleźć i coś od tego czasu w mieście drgnęło – mówi mi członkini polskiej społeczności w Kownie (chciała zachować anonimowość).

W 2022 r. miasto było Europejską Stolicą Kultury, każdy turysta pochwali jego rozwój. Kalpokas ma jednak zastrzeżenia: – Matijošaitis z dużym powodzeniem kultywuje ideę, że sprawy miejskie nie mają nic wspólnego z polityką i dotyczą tylko dróg i budynków publicznych. One rzeczywiście są budowane pod jego rządami, choć towarzyszy temu wiele oskarżeń o korupcję.

Na prowincji żyje się inaczej

Z Kowna do leżących na litewskiej Suwalszczyźnie Łoździejów (lit. Lazdijai) jest 106 kilometrów, a to już zupełnie inny świat.

– Widziałam, jak mój rejon i jego politycy nie wykorzystują szans, które poprawiłyby życie mieszkańców. Dlatego postanowiłam wejść do polityki – mówi mi dziennikarka Vilma Danauskienė, kandydatka na mera z listy Związku Chłopów i Zielonych. – Nasz rejon ma jeden z najgorszych wskaźników rozwoju społeczno-gospodarczego na Litwie. Jest tu

Od polityków spoza
Wilna można usłyszeć
opinię, że po odzyskaniu
niepodległości w 1990 r.
**na Litwie nie dbano
o prowincję.**

wysokie bezrobocie, poziom inwestycji zagranicznych nie sięga nawet stu euro na mieszkańca, społeczeństwo się starzeje, młode rodziny nie przyjeżdżają, bo nie ma pracy – wylicza Danauskienė.

Nie wierzy w ugrupowania rządzące przez lata Łoździejami, choć wśród nich jest mer Ausma Miškinienė, wybrana z tej samej partii (teraz przeszła do konkurencji). Danauskienė podkreśla, że Łoździeje mają okazję skorzystać z Programu Współpracy Transgranicznej z Polską – do Suwałk jest stąd tylko 51 kilometrów – ale niewiele się dzieje.

– Nie przygotowujemy wspólnych projektów rozwoju infrastruktury, nie szukamy inwestorów. Mogę przypomnieć, że to nasza partia przyjęła w Sejmie Program Rozwoju Regionalnego w kadencji 2016-20, tak zwaną Białą Księgę Regionów. Wszystko już jest, wystarczy to wdrożyć – deklaruje świeżo upieczona polityczka.

Danauskienė uważa, że po odzyskaniu niepodległości w 1990 r. nie dbano o prowincję litewską, rozwijały się raczej duże miasta.

Kto będzie rządzić wokół Wilna

W zaufanie wyborców wierzy wciąż Polak Robert Duchniewicz, przewodniczący Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej (LSDP) w rejonie wileńskim. Polacy stanowią tu połowę ludności. Rejon wileński leży zaraz obok stolicy, ale nie rozwija się tak, jak powinien rozwijać się obszar podstołeczny. Wiele osób obwinia za to polską partię AWPL-ZChR, która od 1995 r. niepodzielnie rządzi Wileńszczyzną (tą poza samym Wilnem).

– Czas na zmianę władzy – mówią przedstawiciele litewskiej prawicy w rejonie. Ale mówi to także Duchniewicz, który w rozmowie z „Tygodnikiem” twierdzi, że gdyby wybory były uczciwe, AWPL-ZChR dawno straciłaby w tym rejonie większość. Ponieważ rejon za-

mieszkuje coraz więcej Litwinów: pracują w Wilnie, a po pracy wracają do nowo zbudowanych domów. Im akurat polska partia nie jest w smak. Choć i wśród Polaków jest wiele zastrzeżeń.

„Obecna władza utraciła poczucie rzeczywistości – mówi portalowi LRT kandydat Związku Ojczyzny na mera rejonu wileńskiego Gediminas Kazėnas. – Na pewno inwestycje rosną. Obecna władza lubi się tym pochwalić, a my uważamy, że żadna to ich zasługa. Inwestycje zadziwiają się temu, że obok jest Wilno”.

Duchniewicz podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem”, że w rejonie problemem wciąż jest infrastruktura, którą jego LSDP chciałaby poprawić. Kolejne postulaty to stworzenie Wileńskiej Strefy Ekonomicznej i podpisanie umowy ze stolicą, by wspólnie rozwiązywać problemy, choćby komunikacyjne. – Rejon wileński musi być dobrze skomunikowany z Wilnem – deklaruje Duchniewicz, który wciąż wierzy, że 5 marca AWPL-ZChR straci większość w tutejszej radzie.

Co się liczy w stolicy

– W Wilnie musimy stawić czoło takim wyzwaniom jak zagęszczenie ruchu, inwestować w infrastrukturę transportową, by uczynić transport publiczny dostępnym i wygodnym dla mieszkańców – mówi mi konserwatysta Mykolas Majauskas.

– W ciągu czterech lat samorząd nie zbuduje tramwaju, gondoli czy metra – nieco złośliwie dodaje jego rywal Benkunskas. Co ciekawe, większość kandydatów obiecuje bezpłatną komunikację miejską, którą jakiś czas temu wprowadziła stolica Estonii.

Waldemar Tomaszewski szuka wyborców innym sposobem: postuluje rozwój turystyki sakralnej, która ma ukazać Wilno jako miasto Bożego Miłosierdzia; wszak w latach 30. w tutejszym klasztorze przebywała św. Faustyna Kowalska. „Mamy na Antokolu jej domek. Wpisaliśmy do programu, by go przystosować dla odwiedzających” – mówił Tomaszewski.

Ale w wyborach lokalnych będzie on raczej rozliczany z tego, co jego partia robi, będąc od 2017 r. w koalicji rządzącej Wilnem. A także czego nie zrobiła, rządząc kiedyś krajem razem ze Związkiem Chłopów i Zielonych. Polskość czy katolicyzm nie odgrywają już w Wilnie takiej roli jak kiedyś. © TOMASZ OTOCKI

ELIZA

Kacka: *Matka, ona wie*



TŁUSTY CZWARTEK, BIEDRA, PRZEDĘ mną w kolejce dwóch z grubsza w moim wieku. „trzymaj wózek, zaraz wracam”. wraca z pączkami w torebce. „no przecież ja tego nie lubię. ty też nie”. „wieem”. „to po co żeś kupił?”. „będę dziś dzwonił do mamy, to jej powiem, że jadłem”. „ale o nas to jej nigdy nie powiesz”. milczą. „słuchaj, to matka, ona wie”. „no i...?”. „no niech się cieszy, że chociaż świat przestrzegam”.

W armia, w kolejce pod piekarnią Etna. tuż za mną staruszka o lasce. przygląda mi się badawczo. w końcu podchodzi: „przepraszam, czy panienka to ta elizka?”. uśmiecham się: „jest to możliwe”. myślę, skąd ją znam, skąd ona mnie. „ja wózna, z jedynki, z podstawówki”. ach, jasne, to ona kużyła w fartuchu bez rękawów na trasie kotłownia – drzwi od podwórka – boisko – pracownie ZPT w suterenie. nikt się z nią nie witał. „a tak, pamiętam” – mówię. „nie powinnam zaczepiać, ale tak myślę: znam z gęby, z oczu”. uśmiecham się, milczymy krótko. „bo wie – mówi – mnie się nikt nie kłaniał. tylko elizka i edytka”. „o!”. „edytka już na nowotwora zmarła”. „u, smutno”. „a ja myślała, że elizka też nie żyje”. „czyli ja. dlaczego?”. „a bo co tylko było miłe, umarło”.

Pociąg, tuż za Gdańskiem, dwie starsze w pociągu. pierwsza: „to jednak nie są polskie ziemie”. druga: „a niby czyje?”. „no niech pani spojrzy”. wszystkie patrzymy w okno. druga: „aha, wiatraki”. „no właśnie. ja pani mówię, że one się oderwą!”. „wiatraki?!”. „gdzie tam, ziemie”. „bzdura”. „to niech mi pani powie, na co to tutaj stoi?”. „wiatrak? daje prąd”. „ha, ha, ha, to was Trzaskoski ogłupił. z wiatru nie ma prądu”. „to o co niby chodzi?!”. „o promieniowanie”. „?!”. „jest taki genialny Niemiec, co opracował promienie szkolne dla polskiego mózgu. w specjalnym laboratorium Scholza. i te wiatraki to roznoszą”. „Boże jedyń!”. „Boga niech pani nie wzywa. to szatanizm”. „a ja myślałam, że to po prostu wiatraki...”. „a gdzie tam! jeśli nasz rząd tego nie usunie, to przyjdzie nowy Hitler i nas rozbierze, od co”.

autobus 116, dwie w wieku licealnym. „to Słowacki też będzie?!”. „no, tak”. „ekstra, to ja wysiadam”. „słuchaj, spoko, jest mniejszy niż Mickiewicz”. „dobra, mów mi”. „wiersze szybko, tam nic nie ma. w pierw-

szym zapamiętaj, że kwiatki i gwiazdki śpiewają dziewczynkom w Polsce”. „porąbane”. „nooo, w drugim, że ja, poeta, piszę testament. i będę straszył po śmierci”. „bosz, tabletki się skończyły”. „i »Kordian« tego nie ogarniam”. „streszczaj”. „gostek lubi podróże, kobiety, ma coś z papierzem”. „szok”. „potem skacze z jakiejś góry i leci zabić cara”. „James Bond”. „ha ha”. „czyli tak ogólnie to papież, skok, misja w Rosji”. „tak. ale w końcu nie trafia i ładują go do psychiatryka”. „logiczne”. „a na końcu ginie albo nie”. „jak to?!”. „tekst się urywa. może zgon przy pisaniu?”. „w sumie to też bym zmarła”.

d dwóch z grubsza siedemdziesięcioletnich w 519, jazda w kierunku Mokotowa. „ja ci się przyznam, Józek, że już zwątpiłem w młódzież. małżonka mówiła, że są jeszcze chłopcy, co do mszy poszują, ale wiadomo, co się wyrabia”. „mój wnuczek to tylko komórka i gry”. „a nie! u nas była ostatnio Alinka, pamiętasz, ze wspólnoty mieszkaniowej”. „a jak”. „jej wnusio śledzi w internecie takie młodego człowieka. trochę dziewczęca uroda, śliczny taki. w koszuli, jak powstaniec. nazwisko mi się zapomniało. słuchaj, jaki ideowy! i praktyczny też. każdy chciałby dla córki. i do tego wykształcony, zna historię, daty”. „to podstawa”. „no jakby nie znał dat, toby go minister od nauki nie wystawił. dwadzieścia lat ma, a dobrze w głowie. i jakie rozeznanie w szwindlach w stolicy!”. „no słuchaj, mamy jeszcze zdolnych ludzi”. „Polacy w ogóle są zdolni, Józek. chłopak się wiary nie wstydy, Polski też, skarb”. „tacy mali rycerze”. „Józek, to są współcześni męczennicy. chodzą za nimi, szkalują. jakieś nawiedzone staruszki łążą za nimi, donoszą”. „daj spokój, wstyd”. „dobrze, że chłopak ma dystans do tych niepolskich mediów, bo by się załamał”. „wiesz, wystarczy wiedzieć, po której stronie jest prawda”. „święta prawda”.

Wyjazd z Rudą, zmęczenie, odsiadka na dworcu. negocjacje uzdatniające powrót. zaspana, skołowana Ruda: „wezwiész taksówkę?”. ja, że pomyśle, może jednak autobus. zez zdziwienia: „wezwiész autobus?!”. na Centralny. wszechmoc strategiczna matka.

dzwoni staruszka od ciśnienia. „pani elizo, wnuk mi powiedział, że jestem potwór”. „ulala. a niby dlaczego?”. „ba, z takich samych powodów, jak pani”. „ależ ja nie utrzymuję, że pani jest potworem”. „jeszcze czego! trudno żeby potwór denuncjował potwora!”. „ach, rozumiem. no to w jakim sensie ja nim jestem?”. „no, jeszcze muszą pani urosnąć zęby jadowe, ale są zadatki”. „ha, ha, dobrze, znaczy się mam być złośliwą małpą?”. „nie, ma pani być wolnym człowiekiem”. „o, tak się poznaje potwora?”. „tak, pani elizo. potwór mojego wnuka to ktoś, kogo nie da się przydeptać. wewnętrznie”. ©



JAK FINOWIE WYSZLI Z LASÓW

W Finlandii trwa złota epoka, która zaczęła się w ostatnich dekadach wieku XX. Szukając jej przyczyn, trzeba sięgnąć do przeszłości, także tej dalszej.

WOJCIECH WOŹNIAK Z HELSINEK

*Biblioteka Centralna w Helsinkach,
wybudowana z okazji 100. rocznicy
odzyskania niepodległości przez Finlandię.
28 października 2022 r.*

Czas transformacji

Jeszcze w połowie XX wieku był to kraj słabo uprzemysłowiony i zurbanizowany, w którym 60 proc. mieszkańców pracowało w rolnictwie i przemyśle leśnym. Ten drugi odpowiadał za 90 proc. eksportu – handlowano pulpą papierową, dziegiem i węglem drzewnym. Drewno było głównym zasobem naturalnym, poza tym państwo było pozbawione surowców – kopalnie rudy niklu utraciło na rzecz Związku Sowieckiego po II wojnie światowej. Zresztą od początku osadnictwa zmagano się z niekorzystnymi warunkami klimatycznymi – choć obecnie okres wegetacji się wydłużył, wciąż waha się od 120 do 180 dni.

Pół wieku później światowe media pisały o Finlandii jako o „cudownym dziecku nowych technologii”, łączącym innowacyjność rodem z Doliny Krzemowej z egalitarnym zapewnianiem wysokiego standardu życia większości obywateli i świetnie działającym systemem edukacji.

Z okna akademika w mieście Tampere, w którym wówczas mieszkałem, nocą widać było sześć neonów z nazwą Nokii. Naprzeciw, przy Uniwersytecie Technicznym, znajdowało się jedno z badawczo-wdrożeniowych centrów tego największego wtedy producenta telefonów komórkowych na świecie. W badaniach konsumenckich Nokia miała rozpoznawalność na poziomie Toyoty i McDonald's. W akademiku, poza studentami, mieszkali dziesiątki badaczy, stażystów i praktykantów z całego świata, którzy przyjeżdżali do Nokii dowiadywać się, co będzie *the next big thing*.

W kolejnych dwóch dekadach blask sukcesu Finlandii nieco przygasł, Nokia wciąż istnieje, ale czasy jej świetności dawno minęły, niemniej kraj wciąż jest w czołówce rankingów dotyczących innowacyjności gospodarki, stabilności systemu demokratycznego i jakości życia. Od pięciu lat – ku zaskoczeniu wielu Finów, bo wbrew autostereotypowi – przodują oni w Światowym Indeksie Szczęśliwości (World Happiness Index). W rok 2023 kraj wszedł z najniższym od początku

lat 90. XX w. bezrobociem, jednocyfrową inflacją i jednymi z najlepszych w Europie statystykami dotyczącymi skutków pandemii (np. jedna z najniższych liczb zgonów *per capita*).

Nie byłoby zapewne tej transformacji, gdyby nie cztery czynniki: edukacja i nauka, a także samorządność i współpraca. One sprawiły, że już wcześniej, w pierwszej połowie XX w., w tym gospodarczo nadal zacofanym kraju ludzie ze wszystkich sfer społecznych byli lepiej wykształceni niż w wielu gospodarczo bardziej rozwiniętych krajach, że byli gotowi współpracować ze sobą ponad politycznymi podziałami. Oraz umieli to robić.

Biskup uczy pisać i czytać

Pierwsza pisemna wersja fińskiego alfabetu powstała dopiero w 1543 r., a stało się to dzięki Michałowi Agrykoli, duchownemu i późniejszemu biskupowi Turku. Pięć lat później Agrykola przetłumaczył na fiński Biblię, co wiązało się z wymaganiami religii protestanckiej, przyjętej przez Gustawa I Wazę w Królestwie Szwecji, do której należały fińskie ziemie.

W odróżnieniu od niektórych krajów kontynentalnej Europy, w Skandynawii reformacja nie pojawiła się jako oddolny ruch protestu, lecz jako narzucony przez elity projekt państwowy, który zaadaptował się do lokalnych warunków. Duchowieństwo wspierało rozwój edukacji i dostępność książek. Luterńska norma samodzielnego czytania Biblii we własnym języku zapoczątkowała masową akcję edukacyjną. Zaczęły powstawać pierwsze szkoły powszechne, a od XVIII w. w szkołach parafialnych istniały ogólnodostępne biblioteki.

Potem, w latach 60. XIX w., powstał – m.in. za sprawą pastora Udo Cygneaesa, ważnej postaci fińskiego przebudzenia narodowego – system szkół dla wszystkich, niezależnie od płci i pochodzenia. W tej samej dekadzie rozpoczęto masowe kształcenie nauczycieli, by zaspokoić rosnące w całym kraju zapotrzebowanie na ich pracę. Pod koniec tamtego stulecia na rzadko zaludnionym terytorium Finlandii funkcjonowało już ok. 2 tys. bibliotek publicznych, powstałych głównie dzięki Towarzystwu na rzecz Edukacji Powszechnej, a także kolejne kilkadziesiąt prowadzonych przez różne organizacje młodzieżowe.

WDZIEJACH WIELU PAŃSTW I NARODÓW można wskazać ich złotą epokę – okres, w którym rozmaite ambicje czy oczekiwania były zaspokajane, następował wyjątkowo szybki rozwój gospodarczy lub ekspansja terytorialna, zwiększała się liczba ludności, powstawały przełomowe wynalazki, a w dziedzinie kultury dochodziło do wybitnych osiągnięć. Takie momenty są później często kluczowymi punktami odniesienia w pamięci zbiorowej i debacie politycznej.

W przypadku Finlandii aż do początku wieku XXI trudno jednak byłoby wskazać taki okres.

SEERGEI GAPON / ANADOLU / EAST NEWS

Rosja daje autonomię

→ W 1809 r. Finlandia trafiła pod berło carskie – był to skutek traktatu pokojowego z Fredrikshamn, wieńczącego przegraną wojnę Szwecji z Rosją. Zmieniając podległość, stała się też – po raz pierwszy w historii – odrębnym, choć niesuwerennym bytem politycznym: jako Wielkie Księstwo Finlandii w ramach Imperium Rosyjskiego.

Trzy lata później stolica Księstwa została przeniesiona z Turku do Helsinek. Szwedzkojęzyczna administracja królewska w perspektywie wielu lat przekształciła się w szwedzkojęzyczną klasę wyższą, stan szlachecki, którego przedstawiciele tworzyli fiński senat, ciało legislacyjno-rządowe zarządzające Księstwem.

Ideowe i polityczne podstawy współczesnego fińskiego państwa można znaleźć właśnie tam – w jego XIX-wiecznej historii. Narodziny tożsamości narodowej i sto lat budowania fińskiego nacjonalizmu wiązały się też z budową zrębów państwa socjalnego, które miało zapewnić stabilność i spójność społeczeństwu opartemu na wspólnocie narodowej.

Epokę pod władztwem Imperium Rosyjskiego fińscy historycy nazywają „czasem autonomii”, a szczególnie dobrze wspominają panowanie Aleksandra II, którego pomnik do dzisiaj stoi na placu Senackim w centrum Helsinek. Z polskiej perspektywy zaskakująco może brzmieć opowieść o zakątku Imperium Rosyjskiego, w którym w XIX w. następował rozkwit nierosyjskojęzycznej prasy, rozwijała się pluralistyczna scena polityczna i działały swobodnie setki organizacji i stowarzyszeń.

Ceną za kulturowy rozwój była lojalność wobec caratu – włącznie z tym, że w 1831 r. 800-osobowa Gwardia Fińskich Strzelców wzięła udział w tłumieniu powstania listopadowego. Dla Finlandii, która nigdy nie była niepodległa, rosnąca autonomia i senat (pełniący funkcję narodowego sądu i rządu) były apogeum suwerenności i samowładztwa.

Ówczesni liderzy polityczni postrzegali sytuację Wielkiego Księstwa jako stałą i niezmienną, fińska tożsamość narodowa nie powstawała zatem w kontrze do rosyjskiej dominacji. Lojalność wobec cara nie była jednak bezwarunkowa. Gdy w 1905 r. wybuchła w Rosji rewolucja, a kozackie oddziały dławiły powstanie łódzkie, kulminacja

protestów fińskich robotników nastąpiła podczas odczytania w Tampere „Czerwonej Deklaracji”, wzywającej stanowy senat do ustąpienia.

Protesty przyniosły fińskiej prowincji poszerzenie autonomii. Dwa lata później powstała Eduskunta, jednoizbowy parlament, a Finlandia stała się drugim na świecie krajem, w którym czynne i bierne prawo wyborcze przysługiwało wszystkim obywatelom bez względu na pochodzenie, wykształcenie czy płeć.

Brak pańszczyzny buduje wspólnotę

Moment mobilizacji narodowej nadszedł później niż w innych krajach nordyckich – dopiero w XIX w., pod carską władzą. Nacjonalizm w kraju bez doświadczenia pańszczyzny oznaczał współodpowiedzialność wszystkich za dobrobyt członków wspólnoty. Nie było w Finlandii wy-narodowionej, bo pozbawionej tożsamości i podmiotowości, warstwy społecznej.

Kluczową rolę odgrywał wtedy tzw. ruch fennomański, którego cel był praktyczny: upowszechnienie języka fińskiego w całym społeczeństwie przez działania edukacyjne, które kierowane były nie tylko do mas społecznych, ale też do wyższych warstw. Bo choć zdecydowana większość ówczesnego chłopskiego społeczeństwa posługiwała się językiem fińskim, to językiem górnych warstw struktury społecznej był szwedzki.

Fennomani promowali fiński, pragnąc, by stał się również językiem akademickiej, politycznej i kulturalnej elity. Już pod koniec XVIII w. – jak szacuje się na podstawie źródeł parafialnych – połowa ludności Finlandii umiała czytać, a gdy w 1892 r. fiński uzyskał równy szwedzkiemu status prawny, analfabetyzm dotyczył zaledwie 3 proc. populacji. Wyedukowaną elitę zarażono więc ideą narodową, a naród wyedukowano, zmniejszając dystanse kulturowo-edukacyjne w społeczeństwie.

Zarówno pod władzą szwedzką, jak i rosyjską Finlandia była krajem wolnego chłopstwa, z rozbudowanym systemem samorządności. Polityczną kulturę konsensusu i samorządności fińscy historycy wywodzą właśnie z tradycji gromadzkich zebrań, które wybierały przedstawicieli lokalnych społeczności odpowiedzialnych za ich reprezentację podczas negocjacji z władzami, będąc emanacją oddolnego ruchu ludowego.

Wprawdzie od początku panowania carskiego to szwedzkojęzyczna szlachta tworzyła stanowy senat, ale już w połowie XIX w. najzamożniejsze warstwy wolnego chłopstwa były w podobnej sytuacji ekonomicznej. Ich polityczną pozycję poprawiła reforma z 1865 r.: stan chłopski zrównano wówczas z innymi stanami. Posiadający ziemię przedstawiciele chłopstwa zasiadali zresztą już wcześniej w Senacie Wielkiego Księstwa.

Dostępność wykształcenia obejmowała też kobiety. Wiele badaczy wskazuje, że XX-wieczny rozwój kraju był możliwy właśnie dzięki wykorzystaniu potencjału całego społeczeństwa. Wykształcone kobiety, pracujące jako urzędniczki, działaczki społeczne i polityczne, przede wszystkim w sektorze edukacji okazały się ważnymi aktorkami zmiany społecznej.

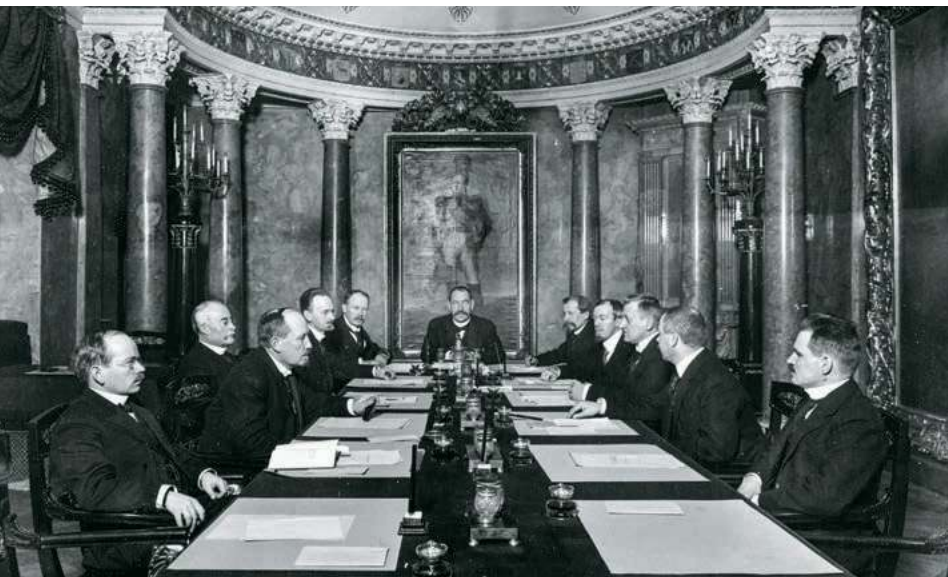
Akademicy uczą tożsamości

Do najważniejszych postaci fińskiego przebudzenia narodowego należy Zacharias Topelius, poeta, pisarz i dziennikarz, autor „Księgi naszych ziem” – pierwszego „przewodnika” po kraju i na dekady jednego z najważniejszych podręczników. Inny współtwórca narodowej tożsamości to Elias Lönnrot, etnograf odpowiedzialny za zebranie i opracowanie ludowych przekazów i legend, a także opublikowanie ich w postaci „Kalevali”, narodowego eposu.

Wreszcie – lider ruchu fennomańskiego Johan Vilhelm Snellman, który pełnił wiele funkcji w administracji Wielkiego Księstwa. Wykształcony w zakresie polityki gospodarczej, rolnictwa, finansów oraz kolejnictwa, był m.in. szefem fińskiego banku centralnego w momencie powstawania marki – tutejszej waluty.

Wszystkich ich łączyło to, że byli profesorami helsińskiego uniwersytetu. W kluczowym dla powstania narodu momencie, w przypadku Finlandii to zatem nie arystokraci, wojskowi, politycy czy duchowni, ale akademicy budowali i pielegnowali zręby tożsamości narodowej – piórem, twórczością naukową i działalnością publiczną.

Idee narodowe i działania państwo-twórcze łączyły się z działaniami pozytywistycznymi – naukowcy byli przewodnikami narodowymi, których słuchano i którym ufano, a działanie na rzecz nauki, wspierającej rozwój gospodarki, traktowano jako patriotyczny obowiązek. Ta



DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

historycznie uwarunkowana wiara w wiedzę jako niezbędny element modernizacji okazała się fundamentem, na którym w XX w. można było budować nową rzeczywistość społeczno-gospodarczą.

Masakra uczy współpracy

W 1917 r. w wyniku korzystnego zbiegu okoliczności zewnętrznych Finlandia uzyskuje niepodległość. Rok później, w wyniku niekorzystnego zbiegu okoliczności wewnętrznych, wybuch wojna domowa.

Jak piszą tutejsi historycy, jej wybuch i przebieg są największym paradoksem w dziejach Finów. W prawie całkowicie homogenicznym etnicznie i religijnie kraju, o relatywnie płaskiej strukturze społecznej, bez silnej dominacji arystokracji i szlachty, bez zniewolonego chłopstwa, konflikt polityczny zaostrza się na tyle, że dochodzi do erupcji przemocy: „czerwona gwardia” (wsparta przez Armię Czerwoną) kontra „biały” obóz konserwatywno-prawicowy (wsparty przez Niemcy).

Wojna domowa w kraju liczącym mniej niż 3 mln mieszkańców zbiera żniwo 40 tys. zabitych. Przy czym trzy czwarte z nich to członkowie przegranych „czerwonych”, z których zaledwie co czwarty zginął w walce – większość to ofiary egzekucji, represji, a zwłaszcza warunków panujących w obozach, w których zwycięzcy trzymali jeńców. W pierwszych fazach konfliktu ofiarami „czerwonego terroru” padali z kolei rozstrzeliwani przez gwardystów członkowie obozu „białych”, nie tylko jeńcy wojenni, ale również cywile.

Rok po ustaniu walk odbywają się wybory. Najwięcej głosów zdobywa SPD, socjaldemokratyczna partia, której wielu członków i sympatyków walczyło z bronią w ręku przeciwko „białym”. Wówczas ton nadają jednak umiarkowani lewicowcy, a partie związane z prawicą respektują wynik.

Ale że historię piszą jak zwykle zwycięzcy, to z początku ten krwawy konflikt w fińskiej historiografii nosi miano „wojny o wyzwolenie”. Ma on podkreślać związki obozu „czerwonych” ze wschodnim sąsiadem. Dopiero po kilku dekadach przyjmuje się termin „wojna domowa”, dzisiaj uznawany za neutralny i trafny, mimo że zaangażowanie zewnętrznych sił było znacznie większe niż w przypadku innych wewnętrznych konfliktów zbrojnych.

Masakra ta przez dekady była w sferze publicznej tematem tabu. Dopiero przy okazji 90. i 100. rocznicy zintensyfikowała się publiczna dyskusja, zainicjowana w znacznym stopniu przez historyczną debatę naukową.

Dziś wśród historyków panuje raczej konsensus, że fińska polityka u progu suwerenności, naznaczona przemocą, przemieniła się w grę, w której nie tylko akceptuje się, ale wręcz hołubi negocjacyjne dochodzenie do konsensusu. Konflikt między prawicą a lewicą stanowił podstawę rywalizacji politycznej przez cały wiek XX, ale pamięć o hekatombie tłumiała radykalizmy. Ten konsensus polityczny stał się w fińskim dyskursie wartością godną podkreślania i upamiętniania.

Obecnie coraz częściej owo ponadklasowe porozumienie robotników i kapi-

Senat (rząd) Finlandii ogłosił niepodległość 4 grudnia 1917 r., a Sejm (parlament) potwierdził tę proklamację dwa dni później. Na zdjęciu posiedzenie Senatu w obecności prezydenta Pehra Evinda Svinhufvuda, 4 grudnia 1917 r.

tału postrzega się jako mit, ale nawet krytycy wskazują, że polityczne *modus operandi* oparte na negocjacjach i (niekiedy długotrwałym) dochodzeniu do porozumienia akceptowalnego dla wszystkich było istotne przy planowaniu i wdrażaniu polityk publicznych, które pozwoliły na społeczną i gospodarczą transformację kraju w drugiej połowie XX w.

Bóg się nie spieszył

Dochodzimy tu do jeszcze jednego frapującego pytania: czy charakter narodowy musi być przeszkodą w budowie nowoczesności?

Współczesny fiński historyk Pertti Haapala pisze, że wśród jego rodaków jeszcze na początku XX stulecia dominowało fatalistyczne przeświadczenie, iż charakterystyczne dla tego narodu cechy mentalne na zawsze determinują jego los. Cytowany przez niego anonimowy fiński ekonomista twierdził w 1915 r., że Finlandia nigdy nie stanie się społeczeństwem przemysłowym, bo Finom brakuje, mimo przyjęcia protestantyzmu, kapitalistycznego ducha. Są powolni, leniwi i uparci, a zamiast przyjmować brytyjską zasadę „czas to pieniądz”, wierzą, że „Bóg stworzył świat, ale w Biblii nie wspomina się, żeby się przy tym spieszył”.

Finowie to nie jedyny przykład nacji, która w ciągu jednego stulecia potrafiła obalić budowany przez wiele wieków (auto)stereotyp. Być może ważniejszy okazał się inny czynnik, który również – nawiązując do stereotypu – przywołuje Haapala. Po prostu Finowie siedzieli w swoich lasach tak długo, że gdy w końcu z nich wyszli, to interesowało ich wszystko, co nowe i nieznane.

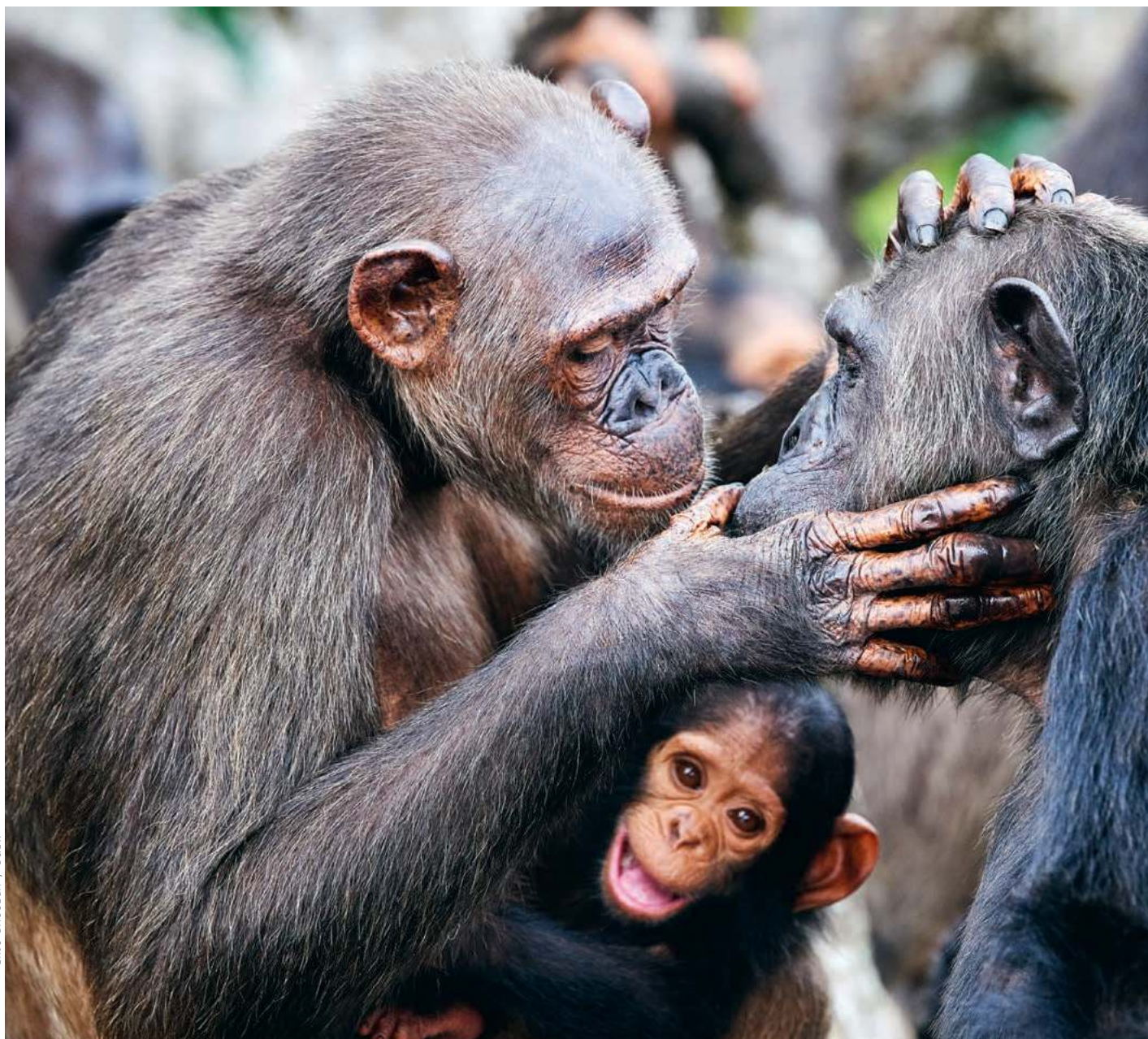
© WOJCIECH WOŹNIAK

Autor jest socjologiem, profesorem na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, a w roku akademickim 2022-23 (dzięki stypendium im. Mieczysława Bekkera z Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej) także na Uniwersytecie w Helsinkach. Pod koniec 2022 r. ukazała się jego książka „Państwo, które działa. O fińskich politykach publicznych”.

OGÓREK CZY WINOGRONO

Równy podział, nagradzanie wedle zasług lub potrzeb,
dążenie do harmonii czy korygowanie nierówności?
Każdą z tych wersji sprawiedliwości można odnaleźć w królestwie zwierząt.

MARTA ALICJA TRZECIAK



VERGILE I VULCAN ZOSTAJĄ ODDZIELANI przezroczystą przegrodą, w której wycięto tylko jeden otwór – na tyle duży, by zmieścić w nim rękę. Po stronie jednego z nich znajduje się zamknięty pojemnik z orzechami. Po stronie drugiego: narzędzie, które jest konieczne do otwarcia naczynia. Potrzebują siebie nawzajem, by dobrać się do smakołyków.

Vulcan szybko orientuje się w problemie i podaje Vergilowi narzędzie przez otwór. Tamten od razu je przechwytuje i po kilku nieudanych próbach udaje mu się otworzyć pojemnik. Czy zje orzechy sam, czy podzieli się z kolegą, który użyczył mu niezbędnego przyrządu? Następuje chwila napięcia, Vergile chwytając orzechów... i przekłada je przez

otwór do partnera. Dlaczego? Przecież zarówno on, jak i jego towarzysz są kapucynkami. Czy to możliwe, że rozumieją koncept sprawiedliwości?

Podział obowiązków

Najstarsze nagranie przedstawiające zwierzęta podejmujące świadomą współpracę pochodzi z lat 20. zeszłego wieku. Nie towarzyszy mu jeszcze narracja lektora, lecz opis przedstawiony na charakterystycznych czarnych planszach. Autorem tego materiału, jak również eksperymentu, który na nim uwieczniono, był Robert Yerkes – amerykański psycholog, etolog i pionier eksperymentalnych badań nad małpami.

Wideo przedstawia dwa młode szympansy, które mają szansę dobrać się do smacznego jedzenia tylko wtedy, gdy będą ze sobą współpracować. Pokarm znajduje się poza klatką, w której siedzą: na ciężkiej platformie – zbyt masywnej, by tylko jedno zwierzę dało radę ją przesunąć. Do platformy przytwierdzone są dwa sznury. Jeśli obie małpy chwycą za sznur, zsynchronizują swoje ruchy i przyciągną obiekt do klatki, dadzą radę zbliżyć go do siebie i sięgnąć przez kraty klatki po jedzenie. Tak też robią. Po kilku próbach są już tak sprawnymi współpracownikami, że przyciąganie platformy z pokarmem zajmuje ledwie chwilę. Po uzyskaniu dostępu do przekąsek oba szympansy jedzą swobodnie.

Ale co się stanie, gdy jeden z nich jest głodny, a drugi został przed chwilą nakarmiony do syta? Platforma jest ciężka, a jej przyciągnięcie wymaga dużego wysiłku, dlatego najedzony osobnik nie czuje się zmotywowany do pracy. Jak jednak dowiódł eksperyment Yerkesa, głodny kolega będzie motywował (delikatnie popychając, przyciągając do sznura itp.) partnera, dopóki jedzenie nie zostanie zbliżone do krat.

To nagranie prowadzi do wielu wniosków. Po pierwsze, wynika z niego, że głodny szympan był całkowicie świadomy, iż potrzebuje towarzysza, aby uzyskać jedzenie. Wiedział również, że aby osiągnąć cel, musi aktywnie wpływać na działania partnera. Po drugie, nagranie świadczy o tym, że już od stulecia interesujemy się współpracą wśród zwierząt,

a jednak nadal nie do końca rozumiemy jej podstawy. Dlaczego najedzony osobnik podejmował ciężką pracę, skoro nie zależało mu na jej owocach?

Być może odpowiedź ma coś wspólnego z podstawami moralności.

Wszystko dla mojej matki

Przyjmijmy za starożytnymi Grekami, że sprawiedliwość ma miejsce wtedy, gdy każdy w grupie odgrywa swoją rolę tak, by społeczność działała sprawnie i harmonijnie. Wtedy w stadzie panuje harmonia, nikomu niczego nie brakuje, każdy zna swoje miejsce i wypełnia swoje zadania.

Idealny przykład? Kolonia owadów społecznych, takich jak mrówki, termity czy pszczoły. Matka roju spędza całe swoje życie na rozrodzie, robotnice budują, zaopatrują i sprzątają kolonię, a żołnierki (obecna u niektórych gatunków podkasta robotnic) bronią gniazda. W takim układzie trudno o poczucie niesprawiedliwości, ponieważ żaden z owadów nie działa na swoją indywidualną korzyść, lecz na rzecz kolonii. Robotnice na ogół same się nie rozmnażają (choć zdarzają się buntowniczkę), bo genetycznie im się to nie opłaca: wskutek dziwnych zwyczajów seksualnych owadów społecznych robotnice są bliżej spokrewnione ze swoimi siostrami niż byłyby z własnymi dziećmi. Lepiej zadbać więc o własne geny, jeśli będą chronić matkę i jej potomstwo niż własne życie.

Starożytni Grecy mogliby powiedzieć, że w mrówczej czy pszczolej sprawiedliwości dominuje nie perspektywa tego, kto otrzymuje, lecz tego, kto daje. Jeśli każdy owad daje z siebie maksimum możliwości, to cały układ jest dla nich sprawiedliwy, bo wszystkie pracują na ten sam cel. Każda jednostka postępuje sprawiedliwie (nawet jeśli nie ma pojęcia o istnieniu tego konceptu) – ponieważ dąży do harmonii roju.

Czy jednak kastowy system owadów eusocjalnych (jak je nazywają biolodzy) rzeczywiście jest kwintesencją sprawiedliwości? Nie, jeśli o zdanie zapytać kapucynki.

To nieuczciwe!

Jeden z najbardziej znanych eksperymentów dotyczących poczucia sprawiedliwości wśród zwierząt dotyczy kapucynek. Te niewielkie, bystre naczelné bardzo



Rodzina szympanów w Narodowym Parku Conkouati-Douli w Kongu.

→ lubią świeże, surowe ogórki. Jeśli mają szansę na urozmaicenie codziennej diety (którą w warunkach chowu jest specjalna pasza, przypominająca z wyglądu suchą psią karmę) soczystym, orzeźwiającym warzywem, zawsze chętnie z tego skorzystają. No, prawie zawsze. Ogórek jest smaczny i chrupiący, ale zupełnie niesłodki. Nie to co winogrono. Dlatego jeśli do wyboru jest plasterk ogórka albo słodki owoc, kapucynka zawsze wybierze to drugie.

W 2003 r. psycholożka Sarah Brosnan i zoolog Frans de Waal, oboje związani z Narodowym Centrum Badań nad Naczelnymi im. Roberta Yerkesa w Atlancie, opisali w „Nature” następujący eksperyment. Dwie kapucynki zostały postawione przed prostym do wykonania zadaniem: miały podać badaczowi kamyk, który znajdował się w ich klatce. W zamian dostawały nagrodę – ogórka. Ćwiczenie to było realizowane równolegle przez dwie małpki, umieszczone w przylegających do siebie klatkach. W ten sposób każda kapucynka była niezależna, ale widziała doskonale, co robi drugi osobnik i jaką dostaje nagrodę.

Jedną z takich par były dwie samice: Winter oraz Lance. Obie wykonały swoje zadanie poprawnie i obie zostały nagrodzone ogórkiem. Małpki chętnie podawały badaczce obiekty i ochoczo spożywały oferowane w zamian warzywo. Do czasu. W pewnym momencie Winter przeprowadziła typową wymianę: kamyk za smakołyk, ale zamiast warzywa otrzymała winogrono. Obserwując ją Lance próbowała dobić takiego samego targu: podała uczoney kamień, ale w zamian dostała to samo, co wcześniej: warzywo. Małpka ledwie je nadgryzła, jakby chcąc się upewnić, czy nie myli jej wzrok, a potem włożyła rękę w otwór w klatce i cisnęła niechcianą nagrodą w badaczkę. Kiedy sytuacja się powtórzyła (jedna kapucynka znowu otrzymała winogrono, a druga ogórka), Lance nie chciała nawet spróbować warzywa, które wcześniej jej smakowało, i od razu rzuciła nim w stronę badaczki przeprowadzającej doświadczenie.

Tylko na YouTube nagranie tego eksperymentu wyświetlono ponad 20 mln razy. Osoby, które oglądają je na wykładach, zwykle reagują śmiechem, gdy widzą, jak poirytowana małpka ciska ogórkiem w badaczkę. Pewnie dlatego, że

Rzucająca ogórkiem kapucynka

zdaje się zachowywać nieracjonalnie.

Tak jakby dawała się ponieść emocjom i chciała odreagować niesprawiedliwość, która ją spotkała.

rozpoznają jej mowę ciała i rozumieją (a w każdym razie tak sądzą), co w tym momencie czuje kapucynka: jest oburzona, że robi się ją w bambuko.

Z czysto ekonomicznego punktu widzenia zachowanie kapucynki jest nieracjonalne: w końcu nawet ogórek lepszy jest niż nic. Małpa nie kieruje się więc czystym zyskiem – wygląda na to, że daje się ponieść emocjom i „nierozsądnie” odreagowuje krzywdę, która ją spotkała.

Strajkujący szympanś

Ten sam eksperyment wykonywano w różnych wariacjach, z różnymi zwierzętami. Być może najciekawszych wyników dostarczają szympansy. Reagują podobnie jak kapucynki, z jednym wyjątkiem.

W doświadczeniu z Winter i Lance tylko ta druga małpka odmówiła współpracy, ponieważ to ona została potraktowana gorzej. Ale przecież Winter również zetknęła się z niesprawiedliwością, tyle że na swoją korzyść. Kapucynka widziała, że jej towarzyszka otrzymuje za wykonanie tego samego zadania gorszy smakołyk, ale zdawało się jej to nie przeszkadzać. Póki napływ słodkich owoców trwał, Winter nie protestowała. Tym różniła się od niektórych szympanśów.

Te małpy postawione w analogicznej sytuacji zachowują się niekiedy inaczej i potrafią odmówić przyjęcia winogrona, jeśli widzą, że towarzysz z klatki obok dostał za wykonanie tego samego zadania ogórka. Dlaczego? W tym przypadku racjonalny ekonomista złapałby się za głowę – taki strajk szympanśa wygląda już na jawne działanie na własną szkodę. Dlaczego więc dobór naturalny mógł dopuścić takie reakcje szympan-

sów? Ten pozorny biologiczny paradoks wyjaśniają dwa słowa: czas oraz kooperacja.

Najpierw czas: jeśli winogronowa niesprawiedliwość zdarza się tylko czasami, szympansy najpewniej w ogóle na nią nie zareagują. Będą ingerować dopiero wtedy, gdy spostrzegą, że mają do czynienia z ogólną tendencją: jeden członek stada ciągle dostaje więcej niż inny. W takiej sytuacji chętnie zaprotestują. Z pewnością zrobią to ci, którzy zostali pokrzywdzeni, ale bardzo prawdopodobne, że również ci, którzy na nierówności skorzystali. Najwyraźniej dobór naturalny zaszczerpił u szympanśów bardzo ścisłą potrzebę współpracy, a niezadowolony (z niesprawiedliwego traktowania) członek stada to osobnik, na którego zaangażowanie nie można liczyć.

Oczywiście kooperacja jest im potrzebna nie tylko w sztucznie stworzonych warunkach laboratoryjnych, gdzie muszą razem pociągać za sznury czy przesuwać obiekty – jest im niezbędna w dżungli, gdzie musi też wpisywać się w ramy naturalnych u tych małp hierarchii społecznych. Zerwana kooperacja i niesnaski w stadzie mogą łatwo wymknąć się spod kontroli i zaowocować nikomu niepotrzebną przemocą. Dlatego zwierzęta tak bardzo społeczne jak szympansy ciągle balansują między egoizmem a współpracą – zagrabianiem zasobów dla siebie i koniecznością dzielenia się nimi w sytuacji, gdy samolubność może być korzystna tylko na krótką metę.

Każdemu według zasług

Problemy z kooperacją przy niesprawiedliwym traktowaniu nie dotyczą wyłącznie małp. W 2009 r. uczeni z Uniwersytetu w Wiedniu zaprojektowali eksperyment z udziałem psów.

Wbrew obiegowej opinii, zwierzęta te nie przepadają za podawaniem człowiekowi łapy (wołą „przybijać piątkę”), ponieważ czują się niepewnie, gdy ktoś unieruchamia ich kończyny. Dlatego do wykonania polecenia „daj łapę” pies musi być odpowiednio zmotywowany. Jeśli wie, że takie zachowanie wywołuje aprobatę opiekuna, może spełnić jego prośbę, jednak sam z własnej woli nie będzie realizował tego zadania. (Inaczej jest w przypadku takich czynności jak aportowanie piłki, za co większość psów nie potrzebuje żadnej nagrody – nawet po-

chwały – ponieważ sama zabawa jest dla nich przyjemna).

Znając preferencje psów, uczeni z Wiednia wymyślili doświadczenie, w toku którego sprawdzali najpierw, ile razy zwierzę poda łapę, zanim odmówi wykonywania tego polecenia (nagrodą była sama pochwała). Okazało się, że czworonogi spełniały prośbę eksperymentatora 15-20 razy. Po tym czasie rezygnowały i nie pomagały już żadne prośby. Sytuacja zmieniła się, gdy zmodyfikowano system nagradzania. Jeśli jeden pies podawał łapę za samą tylko aprobatę, ale widział, że drugi osobnik dostał cokolwiek do jedzenia (choćby kawałek chleba), to ten pierwszy odmawiał podawania łapy już po kilku razach. Pomimo wielkiego afektu, jakim zapewne

większość psów darzy swoich opiekunów, czworonóg odmawiał dalszej kooperacji z kimś, kto stosuje niesprawiedliwy system nagród.

To może zaskakiwać, bo przecież zwierzęta nieustannie godzą się na nierówny podział dóbr. W wilczym stadzie ci, którzy są wyżej w hierarchii, jedzą pierwsi i dostają najlepsze kęsy. I taki podział zdaje się być uznawany za sprawiedliwy (w każdym razie na tyle, że zwierzęta się na niego godzą i nie odmawiają kooperacji). Może to wynikać z hierarchicznego postrzegania zasług. Osobniki stojące na czele wilczej rodziny podejmują największy trud, dowodzą polowaniem, często są najsprawniejsze i to im w największym stopniu stado zawdzięcza pokarm czy

ochronę. To również para alfa rozmnaża się, dlatego jej prawidłowe odżywienie jest ważne także dla krewnych ze stada. Inwestują oni swój wysiłek w zabezpieczenie genów, które po części dzielą.

Ciężar problemu

Wiele zwierząt działa w zgodzie z konceptem sprawiedliwości, choć różnie rozumianej. Nie oznacza to oczywiście, że zawsze grają fair. W 2011 r. Joshua Plotnik, etolog z Hunter College, przedstawił nagranie z eksperymentu, który był wariantem pomysłu Yerkesa, ale dotyczył słoni. Aby otrzymać nagrodę, dwa osobniki musiały równomiernie ciągnąć platformę ze smakołykami. Różnica pomiędzy tym doświadczeniem a schematem opracowanym przez Yerkesa polegała na tym, że konieczność kooperacji nie wynikała z wagi platformy, lecz z potrzeby stabilizowania uchwytu. Jeśli tylko jeden osobnik ciągnąłby za sznur, ten wyknąłby się z błoćka i nie udało by się zdobyć łakoci.

Przy tak skonstruowanym eksperymencie jeden ze słoni szybko zorientował się, że on i jego partner osiągną korzystny efekt nie tylko wtedy, gdy obaj będą przyciągać powróż. Wystarczy – odkryło zwierzę – jeśli ono będzie na sznurze tylko stało (i w ten sposób stabilizowało pozycję liny), a towarzysz wykona całą pracę za dwoje.

W takiej sytuacji zasada sprawiedliwości zarazem została, jak i nie została spełniona. Oba słonie współpracowały i oba dostały taką samą nagrodę. Jeden pracował ciężiej od drugiego, ale pokrzywdzony się nie zorientował, więc w przyszłości nie odmówi kooperacji.

Ten wniosek prowadzi ponownie do dwóch szympansov ze słuletniego eksperymentu Yerkesa. Dłaczego osobnik, który był najedzony, godził się na pracę, mimo że nie skorzystał w pełni z nagrody (zjadł tylko trochę, bo nie był głodny)? Uczynił to oczywiście w imię kooperacji i dobrych relacji z drugim członkiem stada. Dziś nałożył nieco pracy, choć wcale mu się nie chciało. Ale może jutro to on będzie potrzebował wsparcia kolegi w osiągnięciu jakiegoś celu, na którym to jemu zależy. Wszak w życiu społecznym wiele jest winogron do zdobycia, a każdy w winnicy wynagradzany jest indywidualnie.

© MARTA ALICJA TRZECIAK



dowo osobniki stojące na szczycie hierarchii mają uprzywilejowany dostęp do atrakcyjnego pożywienia. Gdy ktoś próbuje wyjść poza kolejkę, musi się liczyć z karą. Jeśli jednak tę regułę naruzy małe dziecko, na ogół ujdzie mu to płazem lub kara będzie symboliczna. Poza tym osobniki, zwłaszcza te o wyższej pozycji, często zachowują się jak policjanci pilnujący porządku – np. dbają o to, by wrogowie po walkach okazali sobie życzliwość i by nie dochodziło do awantur. Tak jakby małpy te kierowały się jakimś ideałem harmonii w stadzie, a zachowania antyspołeczne i burzące porządek były przez nie niemile widziane.

NIC NIE WSKAZUJE

jednak na to, by nawet szympansy oceniały zachowania innych osobników w kategoriach czysto moralnych. Prawdopodobnie jedną małpą, która stworzyła koncepcję dobra i zła, jest człowiek.

© © ŁK

Filary moralności

POCZUCIE

SPRAWIEDLIWOŚCI

(właściwie: niesprawiedliwości, czyli własnej krzywdy), którego zaczątki obserwujemy np. u kapucynek, to zdaniem prymatologa i ewolucjonisty Fransa de Waala jeden z trzech filarów moralności.

w rzece lub ugrzązł w błocie, a szympansy często pocieszają się po walkach, liżą sobie wzajemnie rany czy opiekują niedołącznymi, niesamodzielnymi członkami stada. Obserwowano też przejawy pomocy międzygatunkowej.

KIEROWANIE SIĘ REGU-

ŁAMI i egzekwowanie ich stanowi trzeci filar moralności. Również tego zjawiska de Waal doszukiwał się u małp. Żadne stado nie stworzyło oczywiście przepisów szympansiego prawa, ale zachowują się one tak, jakby pewne nieformalne reguły w nich obowiązywały. Przykła-

EMPATIA (zdolność

do postawienia się w sytuacji innej jednostki i okazywania jej wsparcia) stanowi drugi filar. Także jej przejawy obserwujemy u wielu gatunków: np. dorosłe słonie potrafią zorganizować akcję ratunkową dla młodego osobnika, który tonie

ZGUBIONE PIÓRA

Obsypana nagrodami książka tubylczej reporterki wprowadza nas w świat kanadyjskich Indian. Czy ich los jest przesądzony? Czy demony nigdy ich nie opuszczą?

BARTOSZ HLEBOWICZ



NAZYWAŁA SIĘ ROBYN HARPER. POCHO-
dziła z Keewawin, rezerwatu
Odżibuejów w północno-zachodnim
Ontario, zamieszkałego przez 350 osób.
W grudniu 2006 r. przyleciała do Thun-
der Bay nad Jeziorem Górnym, jakieś
dwie godziny lotu na południe. Miała tu
zacząć naukę w szkole średniej.

„Robyn należała do tych cichych, lu-
biła czytać książki, spędzać czas z rodzi-
cami” – relacjonuje reporterka Tanya Ta-
laga. Po ukończeniu nauki zamierzała
wrócić do domu, by opiekować się nie-
pełnosprawnym ojcem. W Thunder Bay
zamieszkała w domu Bryana Kakegamica
i Cheyenne Linklater, która jest siostrą
jej matki. Bardzo się cieszyła z perspek-

tywy nauki w Thunder Bay, bo do tej sa-
mej szkoły, Dennis Franklin Cromarty,
wybierała się także jej najlepsza przyja-
ciółka Karla. Ale na Thunder Bay nie
chciała zgodzić się jej matka Tina, bo wie-
działa, że w ciągu kilku lat zmarło trzech
uczniów tej szkoły. Robyn się uparła.

Nie wszystko jest OK

Kilka dni po przylocie do Thunder Bay Ro-
byn i sześcioro innych uczniów spotyka
się wieczorem w lokalnym centrum han-
dlowym. Robią zrzutkę i, jak chce tradycja,
przekazują ją „gońcowi”, starszej osobie,
która im kupi alkohol. Gońcem jest Peter,
pochodzi z Keewawin jak Robyn, znają
go w okolicy także jako dealera narkoty-

ków. Peter kupuje dwulitrową butelkę
wódki Smirnoff, trzy duże puszki Smir-
noff Ice i sześć ponadlitrowych piw Olde
English. Nastolatkowie idą do parku, upi-
jają się, wypalają marihuanę, a gdy robi się
ciemno, wracają do domów, brnąc przez
głęboki śnieg. Robyn nie daje rady, wy-
miotuje, przewraca się. Wążąc dużo po-
nad 100 kg dziewczynę próbuje podtrzy-
mywać koleżanka, inni już sobie poszli.
Dziewczyny docierają do ulicy, jakiś kie-
rowca zwalnia po to tylko, by rzucić w ich
stronę odpadkami z McDonald’sa i krzyk-
nąć: „Wracajcie do domu, Indianki!”

Wreszcie udaje im się wgramolić do
autobusu, którym jadą na pętlę, miejsce
spotkań indiańskich dzieciaków. „Wszy-
scy szukali tam wszystkich” – wyjaśnia
Talaga.

W poczekalni Robyn znowu się prze-
wraca. Przyjaciółka dzwoni po oficjal-
nego opiekuna – osobę pracującą dla za-
rządu szkoły. Przyjeżdża też Cheyenne,
ciotka Robyn. Odwożą dziewczynę do
domu Cheyenne, jest godz. 22.30, ukła-
dają ją na podłodze w korytarzu, opartą
plecami o ścianę. O drugiej w nocy Bryan
Kakegamic, wujek Robyn, wstaje – pra-
cuje przy rozwożeniu gazet, więc wycho-
dzi wcześniej. Po drodze trąca ją stopą,
żeby sprawdzić, czy „wszystko jest OK”.
Dziewczyna porusza się. Wujek wraca
nad ranem, zamierza położyć się spać
i dowiaduje się, że Robyn nie żyje. Już się
nie obudziła.

Demony przeszłości

„Siedem opadłych piór. Rasizm, śmierć
i brutalne prawdy o Kanadzie” napisała
reporterka (ponad 20 lat pracy w „Toronto
Star”, obecnie „Globe and Mail”) Tanya Ta-
laga, mająca odżibuejsko-polskie korze-
nie. Opowiada siedem historii „zgubio-
nych piór”, takich jak Robyn, siedmiorga
nastolatków, którzy z braku odpowied-
nich szkół w odległych osadach północ-
nego Ontario przylecieli do leżącego nad
Jeziorem Górnym Thunder Bay kontynu-
ować naukę. I którzy, nie znajdując w nim
dla siebie miejsca, zniknęli.

Talaga opisuje równie tragiczne, co
bezsensowne odejścia tych „młodych
duchów”. Ciała pięciu nastolatków zna-
lezione w rzekach otaczających Jezioro
Górne, inni umierali w domach: Robyn

*Thunder Bay nad Jeziorem Górnym
w Kanadzie.*



→ na skutek ostrego zatrucia etanolem, Paul Panacheese z rezerwatu Mishkeegogamang po prostu upadł w domu i zmarł, a jego śmierci nie wyjaśniono do dziś.

Do wszystkich siedmiu tragedii doszło w ciągu niespełna jedenastu lat, od 28 października 2000 r. do 10 maja 2011 r. W żadnej nie stwierdzono sprawstwa osób trzecich, ale każda wzbudziła gniew rodzin, które uznały, podobnie jak autorka, że można je było wyjaśnić, a może nawet im zapobiec, o ile w odpowiednim czasie podjęto by stosowne działania. Talaga oskarża lokalną policję o zbyt późne wszczynanie śledztw, koronera o niedbałość, a nieindiańską społeczność Thunder Bay – a pośrednio całej Kanady – o rasizm.

Autorka przeplata swoją opowieść długimi publicystycznymi raportami na temat kolonizacji, tzw. szkół rezydencjalnych (znanych polskim czytelnikom z „27 śmierci Toby’ego Obeda” Joanny Gierak-Onoszko), plagi samobójstw w rezerwach Odżibuejów na początku XXI wieku, dyskryminacji tubylczych społeczności w procesach sądowych (obszerny fragment poświęca ławom przysięgłych, do których tradycyjnie wybiera się białych). Indiańskie dzieci miały zostać „odsunięte od wpływu rodziców”, umieszczone w dalekich szkołach, żeby „przyswoiły nawyki i sposób myślenia białych” i przestały być „dzikusami” (słowa pierwszego premiera Kanady sir Johna A. Macdonalda, który w 1883 r. uzasadniał ideę szkół z internatem dla Indian).

Książka Talagi to w gruncie rzeczy opis kolonialnej spuścizny, która na całe pokolenia naznaczyła tubylczą ludność. Za śmierć „siódemki z Thunder Bay”, a także wielu innych – powiada Talaga – winę ponosi cała historia „wybielania Kanady”: przejmowanie tubylczych ziem, izolowanie tubylczych społeczności w nienadających się do życia rezerwach, rozdzielanie rodzin poprzez przymusowe wysyłanie dzieci do odległych szkół z internatem, obojętność instytucji białego człowieka (od szkół, przez policję, po rząd), codzienna pogarda wobec „dzikusów”, pielegnowana przez tzw. dominujące społeczeństwo po dziś dzień.

Wniosek jest przygnębiający: zgony tych dzieci były nieuniknione. Kolejne „pióra” wciąż będą się gubić. Kolonizacja najpierw przejechała jak walec po autochtonicznych wspólnotach, a przetrząciwszy im kręgosłup, sprawiła, że już ni-

gdy nie zdołają się odrodzić. Talaga kreśli ponury obraz kilku takich rezerwatów: przemoc rodzinna, masowe wężanie benzyny przez nastolatków, alkoholizm, do tego brak bieżącej wody, kanalizacji i placówek oświatowych. Upadek i nędza istnieje w Kanadzie, ostoja demokracji, kraju uważanym za lidera światowej walki o prawa człowieka i postępu.

To nie jest reportaż śledczy, który zmierzałby do rozstrzygnięcia czegokolwiek (niedoścignionym wzorem jest „Czas krwawego księżyca” Davida Granna, dziennikarza „New Yorkera”, wydany u nas przez Czarne w 2018 r.). Moc przytoczonych przez Talagę szczegółów z ostatnich godzin przed każdą z tragedii nie rzuca światła na przyczyny śmierci – do dziś np. nie ustalono, w jaki sposób pięć ofiar znalazło się w rzece. Dziennikarka ma inne ambicje: „Problemem, którego nie przewidzieli wychowawcy, było to, że każde z dzieci przyniosło ze sobą duchy przeszłości. Niektóre wpadły w przeżyły sielskie dzieciństwo, ale większość miała trudne doświadczenia. Wiele pochodziło z rodzin dotkniętych straszliwą traumą szkoły rezydencjalnej i zderzyło się z nadużyciami, skrajnym ubóstwem, uzależnieniami i zagubieniem”.

Najważniejsze jest pieczołowite odtworzenie losów tych konkretnych siedmiu chłopaków i dziewczyn, zrelacjonowanie bólu ich rodzin. To opowieść oddająca im sprawiedliwość, kojąca – za to przede wszystkim ceniąc książkę Talagi.

Nieczułość bliskich

Warto zauważyć, że ofiary nie uczęszczały do prowadzonej przez białych szkoły rezydencjalnej. Rzecz dzieje się już po tym, jak ostatnia z tych dysfunkcyjnych placówek została zamknięta.

Szkoła Dennis Franklin Cromarty była i jest zarządzana przez Northern Nishnawbe Education Council, radę reprezentującą dwadzieścia społeczności tubylczych północno-zachodniego Ontario, a jej uczniami są wyłącznie nastolatki pochodzący z tych społeczności. Niestety z reportażu Talagi nie dowiadujemy się niemal nic na temat programu i faktycznie przekazywanej w tej szkole wiedzy. Na stronie Wikipedii czytamy, że celem szkoły jest „zapewnienie, iż studenci wykształcą silne poczucie tożsamości w odrębnym języku, kulturze i tradycjach”. A „Siedem opadłych piór” można by czy-

tać zarówno jak oskarżenie kolonizacji, jak i opowieść o upadku tubylczego projektu. I mam na myśli nie tylko samą placówkę, która najwyraźniej nie potrafiła sprostać swoim ideałom, ale i cały system wokół niej: edukatorów, doradców, opiekunów, nie mówiąc o rodzinach i znajomych ofiar.

Talaga opisuje proces przeprowadzony kilka lat po ostatnim z siedmiu zgonów na skutek interwencji rodzin, prawników i działaczy społecznych, żądających lepszego naświetlenia przypadków i wyjaśnienia opieszałości policji. Autorka przypomina o chłopaku, który został pobity przez trzech białych mężczyzn w Thunder Bay i wrzucony do rzeki. Uważa, że jest mało prawdopodobne, aby inni młodzi ludzie – bohaterowie jej książki – sami wpadali do rzeki, nawet pijani. Być może ma rację. Zapewne przyczyny ich śmierci nigdy nie zostaną w pełni wyjaśnione.

Uważam jednak, że przynajmniej jeden z opisanych przez autorkę przypadków, właśnie Robyn Harper, pozwala skierować oskarżenie w innym kierunku, niż robi to autorka. Talaga wskazuje, że fatalnego wieczoru Harper wypila nieprzystojną ilość alkoholu – ale to samo zrobili pozostali uczestnicy libacji, a tylko Harper zmarła. Zatrucie alkoholowe nie musiało więc doprowadzić do zgonu. Ale nie zadaje pytania, dlaczego przewracając się, półprzytomnej dziewczyny nikt nie zawiózł do szpitala? Co jest bardziej winne jej śmierci: kilkaset lat kolonizacji, rasizm białych mieszkańców i indolencja policji czy zastrasząca obojętność najbliższych, rodaków, którzy nie zaopiekowali się dziewczyną tak, jak powinni byli z racji pełnionych ról?

Nieczułość krewnych i przyjaciół, których opieka ograniczyła się do ułożenia nieprzytomnej dziewczyny na podłodze w korytarzu i trącenia stopą, jest wręcz dojmująca. Robyn umierała, podczas gdy reszta za ścianą spała.

Jonathan Rudin, adwokat sześciu z siedmiu rodzin ofiar, uznał podczas nowego procesu, że w przypadku Robyn Harper należy mówić o zabójstwie, obarczając odpowiedzialnością zarząd szkoły. Tę uwagę adwokata odnotowuje autorka, ale pomija część wypowiedzi, w której wskazuje on konkretne osoby: opiekunkę i pracownika szkolnego, którzy zatrutą alkoholem dziewczynę odwieźli do domu zamiast do szpitala.

W dużym mieście (Thunder Bay liczy ok. 100 tys. mieszkańców) młodzi ludzie pochodzący z zapadłych wiosek toczonych chorobami społecznymi nie znaleźli nic, co by pomogło porzucić wzory zachowań znane z dzieciństwa, przegnać „duchy przeszłości”. Dla bohaterów opowieści Talagi – a nie pochodzą oni z rodzin patologicznych i są przedstawieni jako normalni nastolatki, uczuciowi i pełni marzeń – wyprawa pod most albo na polanę w parku, żeby się urządzić we wspólnym gronie, była naturalnym wyborem, normalnym sposobem spędzania czasu. Autorka nie do końca pomogła w zrozumieniu tego zjawiska. Może jednak Thunder Bay należało uczynić głównym bohaterem tej opowieści? A może tylko samą szkołę?

Z pokolenia na pokolenie

To kolejna wydana w ostatnich latach w Polsce książka o tubylczych mieszkańcach Kanady. W przeciwieństwie do literatury poświęconej Indianom Stanów Zjednoczonych, która najczęściej (choć zdarzają się istotne wyjątki) dotyczy XIX wieku, czyli czasów podboju kontynentu, wojen z Indianami i osadzania ich w rezerwach, książki kanadyjskie opowiadają o sytuacji współczesnej. I każda z nich rysuje smutny obraz tubylczej rzeczywistości.

„27 śmierci Toby’ego Obeda” to wstrząsający reportaż historyczny (ale dotyczący historii niedawnej, głównie XX-wiecznej) o szkołach rezydencjalnych – procederze, zgodnie z którym rząd kanadyjski, przy pomocy Kościołów, tłamsił tubylcze społeczności, nieraz siłą odbierając rodzinom dzieci i umieszczając je w odległych szkołach z internatem. Tam próbowano przeobrazić je na „cywilizowane” osoby, lecz ogrom uchybień i przestępstw sprawił, że najważniejszym efektem było rozbitcie rodzin i wspólnot tubylczych, a propagowaną asymilację zastąpiła izolacja i poddaństwo wobec Ottawy.

W 2022 r. ukazała się „Autostrada łez” Jessiki McDiarmid, poruszająca opowieść o przemocy wobec tubylczych kobiet w Kolumbii Brytyjskiej, mocno przypominająca książkę Talagi zarówno jeśli chodzi o styl narracji, jak i ponurą diagnozę „projektu Kanada”. Również w zeszłym roku do rąk polskiego czytelnika trafiła powieść „Pięcioro małych Indian” Michelle Good, udany debiut pisarski adwo-



ROBYN HARPER, uczennica szkoły w Thunder Bay, jedna z bohaterek recenzowanej książki.



TANYA TALAGA, reporterka „Globe and Mail”, autorka „Siedmiu opadłych piór”.

katki z ludu Kri – jej treścią są losy młodych ludzi borykających się ze zmiennym szczęściem z traumą, której doświadczyli w szkole rezydencjalnej. No i trzeba wymienić chronologicznie pierwszą: „Kanaadę, ulubiony kraj świata” Katarzyny Wężyk, dzięki której już w 2017 r. mogliśmy poznać ten kraj od strony jej tubylczych mieszkańców i już wtedy przeczytać więcej o koszmarnych wspomnianych szkół i horrorze tubylczych kobiet.

Jakże odmienny jest świat Odżibuejów z publicystyczno-reportażowej opowieści Davida Treuera „Witajcie w rezerwacie” (Czarne 2020 r.), żyjących w rozrzuconych po Minnesocie osiedlach, w sumie niewiele na zachód od Thunder Bay. Nie, nie jest to świat z Disneylandu, ale też nie jest tak czarny jak świat Odżibuejów kanadyjskich, jeśli mielibyśmy brać opowieść Talagi za streszczenie ich losu czy wręcz losu wszystkich kanadyjskich tubylców. Treuer nie naszkicował obrazu nędzy i rozpaczy, ale wzlotów i upadków tubylczych społeczności, świadomych swoich praw i o nie walczących. Z lektury

książki Talagi, i innych tutaj wymienionych, można odnieść wrażenie, że kanadyjscy Indianie są i na zawsze pozostaną biernymi ofiarami kolonizacji, zinternalizowanej przemocy, a demony złej przeszłości nigdy ich nie opuszczają.

Terra incognita

W większości przypadków spolszczania książek indiańskich nasze wydawnictwa tworzą produkt od zera, zdając się na intuicję tłumaczy (zazwyczaj różnych, nawet w tym samym wydawnictwie) i rzadko korzystając z konsultacji indianistów. Rezultatem jest powtarzanie tych samych błędów, a czasem także automatyzm translatorski, również w „Siedmiu opadłych piórach”.

Przykład? Tłumaczenie słowa „cedar” jako „cedr”, podczas gdy „cedar” to żywotnik olbrzymi, należący do rodziny cyprysowatych, wręcz symbol topografii i kultury kanadyjskich Indian, niemający nic wspólnego z cedrami (rodzina sosnowatych) z Azji i Afryki. „Industrial school” to szkoła zawodowa, a nie „przemysłowa”; „boarding house” to nie „pensjonat”, lecz prywatny dom, w którym wynajmowano pokoje uczniom; „bush” w przypadku Kanady nie może być „buszem”, bo ten występuje w Australii i Afryce Południowej. „Anishinaabe” to nie „plemię”, jak chce tłumaczka, lecz wielka grupa kilku tubylczych ludów. „Powwow” to po prostu powwow, termin, który już dawno wszedł do polskiej literatury indianistycznej, i w żadnym razie nie oznacza „rady plemiennnej”. „Inuit” to nie „Eskimos”, lecz Inuita.

I wreszcie „native” to nie „rdzenny”, lecz tubylczy – przymiotnik od „tubylec”. „Rdzenny” nie ma swojego rzeczownika, który można by odnieść do ludzi. Nie istnieją więc „rdzenni uczniowie”, „rdzenne rady plemienne”, „rdzenne władze edukacyjne”, „rdzenne ośrodki zdrowia”, „rdzenni nastolatki”, „nierdzenne dzieci” etc. O tubylczych społecznościach Kanady można pisać, nie degradując języka polskiego. Także wyznawcy mody na nieużywanie słowa zaczynającego się na „I” powinni o tym pamiętać.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Tanya Talaga

SIEDEM OPADŁYCH PIÓR. RASIZM, ŚMIERĆ I BRUTALNE PRAWDY O KANADZIE

Przeł. Emilia Skowrońska, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Historie nieoklepane

PIOTR KOFTA

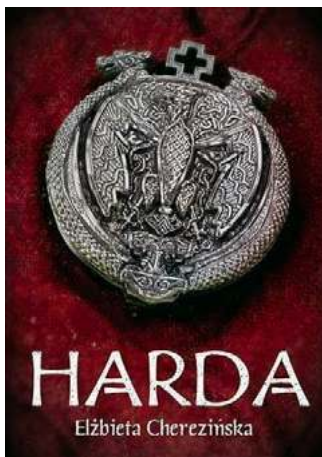
Od powieści historycznych uginają się półki w księgarniach. Okładki: on i ona, a w tle wicher dziejów. Nie da się tego czytać, choć rozumiem, dlaczego ktoś może chcieć. A co da się czytać i nawet należyć?

POWIEDZMY JASNO: WIĘKSZOŚĆ TEJ PRODUKCJI literackiej nie dorównuje wartością cenie papieru, na którym ją wydrukowano. Najczęściej są to materialne przejawy chęci zmonetyzowania przez wydawców i autorów rozmaitych rynkowo-konsumenckich mód (większość z nich przybywa do nas najpierw jako fala przekładów pochodzących z kręgu języka angielskiego). Niektóre bywają autentycznie przerażające. Mam tu na myśli choćby liczne powieści z Auschwitz w tytule, ów zalew sentymentalnego kiczu bezlitośnie żywiącego się cudzym cierpieniem. Jeśli się przeczytało jedną taką książkę, to tak, jakby przeczytało się wszystkie – do tego stopnia są do siebie podobne.

Przez lata szkolnej edukacji wbija się nam do głowy wizję literatury historycznej pisanej „ku pokrzepieniu serc”. W tym kontekście oczywista staje się popularność (zwłaszcza wśród czytelniczek) historycznych czytań: są one całkowicie eskapistyczne, nie zabierają głosu w niczyjej wspólnej sprawie, zwykłe chodzi o to, by w ogniu wojny, rewolucji, przewrotu, pieców krematoryjnych (niepotrzebne skreślić) ona i on poszli wreszcie do łóżka. Opowieści o powstańcach listopadowych, szlachciankach o bladym licu i dzielnych akowcach są tu z gruntu ahistoryczne w swojej spokojnej, wykalikulowanej, komercyjnej ignorancji.

Autentyczna powieść historyczna – poszukująca wyrafinowanej formy albo posługująca się pastiszem, ewentualnie używająca gotowego schematu zaczerpniętego z literatury popularnej (to w sumie wszystko jedno) – działa inaczej. Wchodzi w dialog z historią i historiografią, spiera się z kanonicznymi wersjami dawnych opowieści, podaje w wątpliwość imperialne i narodowe mitologie, ożywia

niegdysiejsze gatunki literackie, by za ich pomocą dokonać rozmaitych aktów odsłonięcia tego, co ukryte albo wyparte. Pisarzowi wolno więcej niż naukowcom – może posługiwać się mieszkanką faktów i fikcji, a nawet szukać rozwiązań w alternatywnych ścieżkach dziejów.



ELŻBIETA CHEREZIŃSKA swoją „**HARDĄ**” (Zysk i S-ka 2016) dedykuje „wszystkim bezimiennym, zapomnianym księżniczkom piastowskim. Mniszkom, żonom, matkom, władczyniom, o których historia milczy. Dziewczynom oznaczonym w biogramach dynastii smutnym N.N.”. Rzecz (wraz z „Królową”, drugą częścią dylogii) traktuje o losach Świętosławy, córki Mieszka I, utożsamianej przez część historyków z Sigridą Storrą, królową szwedzką, duńską, norweską i angielską. Świętosława to postać w polskiej historiografii marginalna, uznawana za hipotetyczną – naturalnie ta właśnie marginalność przyciągnęła uwagę Cherezińskiej, u której figury silnych kobiet zawsze wybijały się z tła, nawet gdy mowa była o przygodach odważnych mężczyzn.

Cherezińska – utalentowana pisarka, która mocno dowartościowała tradycyjny model powieści historycznej skupionej na losach władców i dynastii (oraz zyskała całe grono mniej utalentowanych naśladowczyń) – dokonuje w „Hardej” subtelnego przesunięcia: w centrum piastowsko-skandynawskiej intrygi w duchu „Gry o tron” umieszcza kobietę będącą nie tylko „szyją, co kręci głowami mężczyzn”, lecz mającą również własne ambicje i podmiotowość. W kraju, w którym nawet Jadwiga Andegaweńska została koronowana na króla, to ważny gest. Zresztą Cherezińską warto czytać tak czy owak, jeśli ktoś lubi zawikłane, rozgąłęzione sagi, gdzie trup ściele się gęsto, a władza działa na ludzi jak kocimiętka. To dobrze wymyślony i zrobiony pop, historycznie zdecydowanie nieobojętny.



Z nieco podobnych założeń wychodzi **MACIEJ LIZINIEWICZ** w „**CZASIE POMSTY**” (Wydawnictwo Dolnośląskie 2019), pierwszym tomie cyklu o Żegocie Nadolskim, szlachcicu i żołnierzu – owe drobne przesunięcia zachodzą tu wszelako względem potężnego obiektu literackiej grawitacji, czyli Trylogii Henryka Sienkiewicza. Wiele było prób zdyskontowania popularności Trylogii, większość z nich skończyła się klęską, na tym tle Liziniewicz radzi sobie zaskakująco przyzwoicie. Zapożycza bowiem pewną estetykę, nienachalnie stylizuje język, ale opowiada inną historię.

Jego bohater, weteran wojen z Turkami, powraca w latach 30. XVII wieku w domowe pielesze, niczym bohater klasycznego westernu. Pod nieobecność Nadolskiego ktoś wymordował jego rodzinę, lokalny watażka przejął jego majątek, cze-

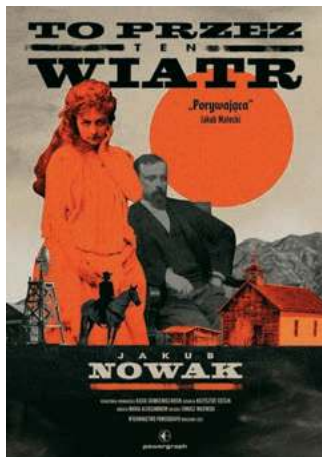
kają nań ruiny i zgłiszcza. I zemsta, naturalnie. Są w tej powieści typy jakby rodem z Trylogii – narwany młodzieniaszek zbyt skory do szabli czy sarmacki gaduła z siwym wąsem – nie zawiewa z niej jednak nadzieję, lecz chłodem i mrokiem: zagrożenia nie stanowi inwazja obcych wojsk, to swoi są zagrożeniem, krajanie, bracia szlachta. Celną metaforę owego swojego piekielka „demokracji szlacheckiej” Liziniewicz odnajduje w poetyce *fantasy*, ale czyni to z umiarem, trzymając się w stylistycznych postsienkiewiczowskich ramach.



Do Sienkiewicza jeszcze wrócimy, ale skoro mowa o stylu, nie można pominąć świeżo wydanej powieści **„SEGRETARIO” MACIEJA HENA** (Wydawnictwo Literackie 2023). Hen już „Solfatarą” (W.A.B. 2015) pokazał, że niewielu autorów w Polsce może się z nim współcześnie równać w sztuce inteligentnego pastiszu – „Solfatarą”, historia neapolitańska, XVII-wieczna, przypominała poetykę i rozmachem powieści przygodowe Alexandre’a Dumasa ojca, dodajmy, lecz miała w sobie pierwiastek całkiem nowoczesnej, XXI-wiecznej refleksji na temat rewolucji, lojalności i obywatelskiego nieposłuszeństwa. „Segretario” – rzecz o Filipie Kallimachu (1437-1496), tokańskim polityku, humaniście, poecie i doradcy polskich królów – idzie w swoim pastiszowym skomplikowaniu nawet dalej jako tekst z XXI wieku traktujący o świecie późnego średniowiecza za pomocą narzędzi XVIII-wiecznej powieści epistolarnej i łotrzykowskiej.

Listy, które składają się na „Segretaria”, z Krakowa do Heidelbergu śle do przyjaciółki niejaki Georg Starkfaust, młody

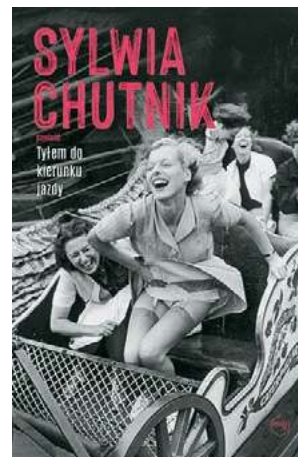
kancelista zatrudniony przez Kallimacha. Tyle że Starkfaust to nie Starkfaust – ale Gredechin Specht, dziewczyna, która chce studiować, a może to ze zrozumiałych względów czynić tylko w męskim przebraniu. Hen bawi się groteskową komedią pomyłek i buduje farsowe ciągi rozmaitych, wysoce nieprawdopodobnych zdarzeń (obrana estetyka bardzo mu to ułatwia, dopiero w XIX wieku powieść zaczęła obsesyjnie dbać o realizm) po to w istocie, by dać czytelnikowi piękną historię o przyjaźni oraz przełamywaniu granic języka, klasy i płci. Ma się z „Segretaria” wiele melancholijnej przyjemności: odpowiadają za to gawędziarska płynność narracji i pietyzm technicznego wykonania tej prozy. No i poczucie, że udało się wystrychnąć na dudka oficjalną wersję historii.



Henryk Sienkiewicz jako bohater powieści historycznej? Proszę bardzo. Choć mamy tu do czynienia bardziej z apokryfem. **„TO PRZEZ TEN WIATR” JAKUBA NOWAKA** (Powergraph 2022) relacjonuje dłuższy epizod z amerykańskiej wyprawy Heleny Modrzejewskiej i kręgu jej postępowych przyjaciół – w 1876 r. Modrzejewska wraz z mężem i synem, a także grupą znajomych (w tym – z Sienkiewiczem) wyemigrowała do Kalifornii z zamiarem założenia tam socjalistycznego falansteru, samowystarczальной farmy. Nowe życie w Nowym Świecie.

Nowak trzyma się bazowych faktów, ale ubiera swoją prozę w gatunkowe ramy westernu (znów! – literaci nie mają już jak uciec od kultury wizualnej), czy może nawet antywesternu, bo wszyscy mają tu rozmaite grzeszki na sumieniu. Jest to tekst bardzo sensualny, pełen skry-

wanych emocji, rozgrywa się tu szczególnie miłosna pantomima między Modrzejewską a Sienkiewiczem (dopiero ta powieść tak jasno uświadomiła mi, że Sienkiewicz był absolutnie kieszonkowych rozmiarów: miał 154 centymetry wzrostu), nad falansterem ciemnieje fatum, wychodzą na jaw tajemnice, jacyś ludzie kręcą się wokół, chcąc załatwić cudzym kosztem szemrane interesy. Nowakowi nie chodzi o odkręcenie historycznego fałszu, on portretuje – nader zrećznie, z impresjonistycznym luzem – prywatne oblicza ludzi, których postawiliśmy na cokółach w roli pomników. A puenta powieści należy do najbliższych, z jakimi się w ostatnich latach spotkałem. Po takiej puencie chce się od razu czytać „To przez ten wiatr” ponownie, żeby przyrzeć się temu, jak precyzyjnie Nowak wznosił całą tę konstrukcję.



„TYŁEM DO KIERUNKU JAZDY” (Znak 2022) SYLWII CHUTNIK jest powieścią o wolności i wielkim egzystencjalnym apetycie. Bo nierównowaga między wielką historią a prywatnym doświadczaniem świata często jest tematem powieści historycznych. Gdzie kończy się historia, a zaczyna indywidualna biografia? Czy da się przeżyć życie, uniknąwszy definiowania go w odniesieniu do „momentów przełomowych” (jak w tych polskich filmach i powieściach o PRL-u, w których losy bohaterów kształtują się zawsze w rytmie: 1956, 1968, 1970, 1976, 1980, 1981, 1989, jakby poza obrębem tych dat w kalendarzu widniały rozległe białe plamy) i rozmaitych grupowych identyfikacji?

Odpowiedzi udzielane przez literaturę zwykle są negatywne: nie da się, historia ma postać buta, który wgniata cię w głębie. ➔

→ Ale czasami można dać nogę gdzieś w bok. Jak u Chutnik właśnie, gdzie wnuczka Magda (która kiedyś była wnuczką) poszukuje psychicznego oparcia po transycji płci – znajduje to oparcie w autobiograficznym monologu 90-letniej babci Staśki, która, będąc osobą obdarzoną wielkim temperamentem, również erotycznym, zawsze brała sobie to, na co miała ochotę, nie zważając na aktualny system polityczny i moralne skrupuły. Babcia wspomina (Chutnik zawsze miała dobrą rękę do takiej ekstrawertycznej, potocznej, „babskiej” paplaniny – to są znakomite fragmenty w tej książce), a czytelnik, rozbawiony i rozczulony, zaczyna się łąpać na tym, że kazano mu przecież tamte czasy pamiętać inaczej. U Chutnik owa wyzwolona pamięć indywidualna wygrywa z traumatyczną pamięcią zbiorową. To daje nadzieję – nie tylko Magdzie.

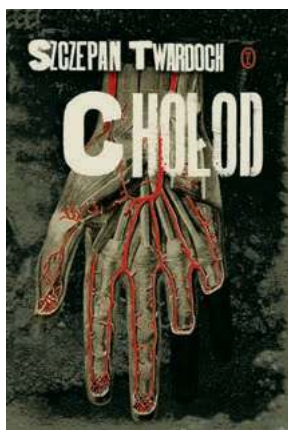


A jak to jest, kiedy historia – ta ujęta nowocześnie, w kategoriach racjonalnego szczucia na innych i obcych, ta z podręczników, z przemówień, z ulotek i gazet – zderza się z pamięcią ludową, tą oralną, a nie piśmienną, tą, która ma wiele narracyjnych odnóg, ale nieźle potrafi pamiętać wyrządzone krzywdy? Podobną kolizję opisuje **RADEK RAK** w słynnej i nagradzanej „**BAŚNI O WĘZOWYM SERCU ALBO WTYRÓM SŁOWIE O JAKÓBIE SZELI**” (Powergraph 2019), opowiadając dzieje rabacji galicyjskiej w konwencji skazu przemieszanego z magią.

Wiele o tej książce pisano – ja tylko przypominam, że to jest bardzo dobra, brawurowa, konsekwentnie poprowadzona powieść; powieść, która wcale nie ułatwia czytelnikowi prostej interpretacji tamtego krwawego buntu w kategoriach ludowej zemsty.



Od innej strony owej kolizji tradycyjnej pamięci z historią zakleszczoną w nowoczesnych nacjonalizmach przypatra się **HUBERT KLIMKO-DOBZANIECKI** w „**ZŁODZIEJACH BZU**” (Noir sur Blanc 2019). W tej opowieści, estetycznie zadłużonej (to żaden zarzut) w hrabalowskiej frazie, zwłaszcza spod znaku „Obsługiwałem angielskiego króla”, nowocześnieść przychodzi pod postacią księdza-patrioty. Klimko-Dobrzaniecki zdaje relację z procesu nabywania tożsamości etnicznej przez ludzi, którzy do tej pory uważali się po prostu za „tutejszych”. A teraz nagle są Polakami i Ukraińcami. I coś – powiada ksiądz – należy z tym zrobić. Jest to, niespodziewanie, kwestia fizycznego przetrwania. I w tym duchu Klimko-Dobrzaniecki o tym wszystkim opowiada: to rzecz właśnie o strategii przetrwania, o ludziach, którzy chwytają się błazeńskich, amoralnych chwytów, by nauczyć się przemykania wśród kropel deszczu w suchej koszu.



A gdyby tak po prostu uciec Historii z pola widzenia? Schować się przed

nią? To motyw, który obsesyjnie powraca w twórczości **SZCZEPANA TWARDOCHA** – a w „**CHOŁODZIE**” stał się szkieletem fabularnym całej powieści. Konrad Wiśniewski, zbieg z sowieckiego łagru, były Ślązak, były rewolucjonista, były mąż i ojciec – jego życie usłane jest zużytymi, utracenymi wcieleniami – w rezultacie osobliwych zbiegów okoliczności (a może w deterministycznym świecie Twardocha nie ma miejsca na zbiegi okoliczności?) łąduje w latach 40. zeszłego wieku w odległej osadzie na końcu świata, na oceanicznym skraju syberyjskiej tundry. W osadzie tej mieszkają ludzie, którzy posługują się archaicznym indoeuropejskim narzeczem i stanowią dziwaczny relikwiarz dalekiej przeszłości – również intelektualnie, bo żyją tak, jakby ostatnie dwa tysiące lat się nie wydarzyło. Jest to, rzecz jasna, wspaniała antropologiczna retrotopia, niespełnialne marzenie o swobodzie cywilizacyjnego wyboru, której świat nam nie oferuje. Nie oferuje jej w szczególności Rosja: ponury, imperialny, niszczycielski cień rysujący się z każdą przeczytaną stroną coraz wyraźniej na horyzoncie „Chołodu”.

Dla porządku dodam, że osobny nurt stanowi literatura posługująca się konceptem historii alternatywnej bądź kontrfaktycznej. Polacy zaprojektowali bowiem literacko wiele równoległych Polsk. Wspomnę tylko o dwóch interesujących znaleziskach z gatunku „najfajniejsze powieści, o których istnieniu nie mieliście pojęcia”.



Pierwsze z nich to „**CZARNY BAŁTYK**” **MACIEJA PATERCZYKA** (Lira 2021), stylowy kryminał noir rozgrywający się w tużpóźnowojennym Kołobrzegu. W obranej przez Paterczyka ścieżce dziejów na Ziemie

Odzyskane napływają setki tysięcy Żydów uciekających z Izraela, który po króciutkim epizodzie niepodległości przegrał wojnę z państwami arabskimi; Niemcy przegrały swoją wojnę wcześniej, więc i Zagłada nie dokonała się w całej rozciągłości, Polska przy wsparciu aliantów zdołała też odepchnąć Sowietów na wschód. Teraz jednak staje w obliczu poważnego konfliktu wewnętrznego. Niemal w przeddzień referendum ktoś morduje młodzieńką Żydówkę w hotelu Czarny Bałtyk... Tak, jeśli rozpoznajecie w tym pomysłe idee zapożyczone ze „Związku żydowskich policjantów” Michaela Chabona, to macie rację – ale to zapożyczenie jest subtelne i kreatywne.

Drugie odkrycie to „**CZERWONA ZIEMIA**” **MACIEJA ZAJĄCZKOWSKIEGO** (Moc Media 2021), czerpiąca z kolonialnego mitu o polskich posiadłościach na Madagaskarze. Oto w świecie powołanym do życia przez Zajączkowskiego elity Polski międzywojennej ewakuowały się po II woj-



nie na wykupioną od Francji w późnych latach 30. enklawę, leżącą na północno-zachodnim wybrzeżu Madagaskaru. Wraz z nimi wyemigrowała również część ocalałych z Holokaustu Żydów. Zaistniały zatem dwie Polski – jedna komunistyczna, druga będąca przedłużeniem II RP.

Ta nowa Polska pod amerykańskim patronatem przybiera z czasem kształt handlowej potęgi, czegoś w rodzaju malgaskiego Singapuru. Przychodzi jednak rok

1989 i Jesień Ludów: dalsza polityczna egzystencja malgaskiej Polski, która zdążyła opanować do tego momentu całe terytorium wyspy, staje pod znakiem zapytania.

Na Madagaskar przybywa z Warszawy uznany reporter, powiedzmy: odpowiednik Ryszarda Kapuścińskiego. Im głębiej wgrzyza się w polsko-malgaską rzeczywistość, tym więcej się dowiaduje o tym, jak potężną cenę trzeba było zapłacić – głównie przelewając krew krajowców – za kolonialne sny o potędze. Bardzo pomysłowa, dobrze napisana powieść, która przemknęła przez rynek książki niezauważona, bez promocji i rozgłosu. Może dlatego, że brakowało jej „Auschwitz” w tytule.

© PIOTR KOFTA

Autor (ur. 1973) jest pisarzem, publicystą i krytykiem literackim. Wydał dwie książki z opowiadaniem. Stały współpracownikiem „Dziennika Gazety Prawnej” i Programu II Polskiego Radia. Lubi chodzić po lesie, najchętniej w Czechach. Mieszka w Warszawie.

REKLAMA



TWARZĄ W TWARZ

26.02
– 4.06.2023

mnwr.pl

Pawilon Czterech Kopuł
Muzeum Sztuki Współczesnej
Oddział Muzeum Narodowego
we Wrocławiu, ul. Wystawowa 1



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Narodowe we Wrocławiu jest instytucją
kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Patronat honorowy



Miejsce Muzeum
Narodowego
we Wrocławiu



Bank Polski

Patronat medialny



Przytul Kijów, przytul wieczność

OLEH SHPUDEIKO (HEINALI):

Im lepiej Zachód zrozumie, czym jest ukraińska kultura, tym szybciej odrzuci narrację o „bratnich narodach”. Właśnie ta fałszywa opowieść jest dziś wielkim problemem Ukrainy.

JAN BŁASZCZAK: Opowiedz o swoim ulubionym miejscu w Kijowie.

OLEH SHPUDEIKO: Aleja Pejzażowa, znajdująca się w centrum promenada, z której rozciąga się widok na miasto. Wzgórza, przyroda – to wszystko sprawia, że można się poczuć jak na dalekich obrzeżach. Przed rewitalizacją aleja Pejzażowa nie była specjalnie popularna, więc spacerowałem nią prawie każdego dnia. Obecnie cieszy się dużą popularnością... To znaczy – wróć! – cieszyła się przed samą wojną.

Twój album „Kyiv Eternal”, który ukazał się w rocznicę wybuchu wojny, pełen jest dźwięków miasta, również z alei Pejzażowej. Czy odkąd opuściłeś Kijów, częściej do nich wracasz?

Słuchanie tych nagrań jest bolesne. Przypominają nie tylko o moim mieście, ale także o mojej przeszłości. Zdaje sobie wtedy sprawę, że utraciłem z nią kontakt. Nie mam już dostępu do przeszłości. Żaden z Ukraińców nie ma. W pewnym sensie straciliśmy naszą najbliższą przeszłość.

Czy po 24 lutego Twój stosunek do Kijowa jakoś się zmienił?

Zdecydowanie. Choć urodziłem się w Kijowie i spędziłem w nim niemal całe życie, nie byłem jego wielbicielem. Przecież tyle tu brzydoty w postaci infrastruktury miejskiej i współczesnego byle jakiego budownictwa. Ale kiedy zaraz po Bitwie o Kijów wróciłem do miasta, poczułem nagle, jakby ono żyło. Jakby było istotą, którą chciałem objąć, przytulić i chronić przed niebezpieczeństwem. Wielu moich przyjaciół czuło po-

dobnie. Zrozumiałem wtedy, że ważna część mojej tożsamości jest zrosnięta z Kijowem.

Na okładce „Kyiv Eternal” widzimy pomnik hetmana Sahajdacznego obłożony workami z piaskiem. Trudno o lepszy symbol takiej troski, utulenia.

Okładka rzeczywiście stanowi wizualną reprezentację troski, czułości. W Kijowie jest dziś wiele pomników zabezpieczonych workami z piaskiem i innymi materiałami, które mają je chronić przed zniszczeniem. W tym trudnym czasie mieszkańcy rzeczywiście postanowili przytulić Kijów.

„Kyiv Eternal” to płyta jednoznacznie przyjemna, nic nie zwiastuje zagrożenia. Trochę tak, jakby tej wojny nie było. A przecież dużo się mówi o tym, że powinniśmy czuć się zaniepokojeni, że nie możemy zapominać o tej wojnie i jej ofiarach.

Sam się temu dziwię, ale kiedy wracam myślami do czegokolwiek dotyczącego Kijowa sprzed wojny, zwykle towarzyszą temu ciepłe odczucia. Nawet jeśli to są złe wspomnienia, to w parze idzie z nimi może nie rozrzewnienie, ale pewna przyjemna nostalgia.

Istnieje szerszy problem ze sztuką dotyczącą wojny. Ogromna jej część jest bardzo niepokojąca. I oczywiście trudno się temu dziwić. Jednak ludzie są już tym zmęczeni. Dostrzegam to na Zachodzie, którego mieszkańcy nie mają już na nią siły. Niepokojące, drastyczne dzieła działają mocno, ale krótko. Za ich sprawą możesz przestraszyć odbiorców, ale ostatecznie oni się do tego przyzwyczają. Przejdą

nad kolejnym do porządku dziennego. Nie zwrócą uwagi, jeśli w tym przekazie pojawi się znów coś alarmującego. To tak jak z newsami. Ludzie czytają tragiczne wiadomości z Ukrainy, które początkowo szokują i mobilizują do działania, ale setny, dwusetny artykuł nie działa już z taką siłą.

Jakie widzisz rozwiązanie?

Postanowiłem nagrać album, w którym będzie pobrzmiwała nadzieja. Kiedy chodziłem do szkoły, nie przepadałem za zajęciami z literatury ukraińskiej, bo ogromna jej część traktowała o bólu, prześladowaniu, byciu ofiarą. Mam wrażenie, że jesteśmy w stanie opowiedzieć o tym, co dzieje się w Ukrainie, w inny sposób i na innych warunkach. Pokazać, że wiążemy nadzieję z naszą przyszłością. Tytuł „Kyiv Eternal” odnosi się do Wiecznego Miasta, bo Kijów jest Rzymem Europy Wschodniej. Tutaj zaczęła się Ruś i dlatego to miasto-symbol. Kijów to wieczność. Dlatego chciałem, aby ten album dawał nadzieję, budził inne emocje.

Zrealizowałeś we Lwowie koncert, który odbił się w świecie szerokim echem: „Live from a Bomb Shelter”. Jak przebiegała jego organizacja?

Początkowo wszystkie koncerty z cyklu „Live from Ukraine” odbywały się w Szkole Muzyki Współczesnej Vedel, gdzie mieliśmy cały sprzęt potrzebny do tego, aby grać i transmitować kolejne występy. Przed moim koncertem pojawił się problem, bo alarmy bombowe stały się dużo częstsze. Z ich powodu musieliśmy już wcześniej odwołać lub przełożyć kilka występów. Stąd pomysł na schron – mieliśmy szczęście, bo znajdował się bardzo blisko szkoły. Musieliśmy tylko zaopatrzyć go w internet. Załatwiliśmy więc dwa pięćdziesięciometrowe kable, które podłączyliśmy do szkolnej sieci i pociągnęliśmy je aż do schronu. Trochę padało, więc na wszelki wypadek owinęliśmy je foliowymi reklamówkami z pobliskiego sklepu. Głupie pomysły, ale zadziałały. Jedyna niedogodność polegała na tym, że koncert odbywał się bez udziału widowni. Nie mogliśmy ryzykować ściągania publiczności, która w wypadku zagrożenia bombardowaniem zabrałaby miejsce okolicznym mieszkańcom.



KSENIA POPOVA / ARCHIWUM PRYWATNE OLEHA SHPUDEIKO

HEINALI, właściwie **OLEH SHPUDEIKO** jest ukraińskim kompozytorem, artystą dźwiękowym, twórcą muzyki filmowej i projektów multimedialnych. W centrum jego zainteresowań znajduje się muzyka dawna, którą przekłada na język syntezatorów modularnych. Rezultatem tej praktyki był album „Madrigals” (2020), który zebrał entuzjastyczne recenzje w światowej prasie. Prace nad jego kontynuatką – płytą „Organa” – przerwał wybuch wojny. W kwietniu 2022 r. Heinali dał koncert z jednego z lwowskich schronów. W rocznicę wybuchu wojny kompozytor opublikował album „Kyiv Eternal”, będący hołdem dla jego rodzinnego miasta.

kulturę. Tłumacząc, jak bardzo jest to dziś istotne, powiedzieliś niedawno, że państwo bez własnej kultury to tylko terytorium. Czy już wtedy we Lwowie towarzyszyła Ci tego świadomość?

Nie, bo naprawdę nie wiedziałem jeszcze, jak słabo nasza kultura jest obecna za granicą. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Kiedy przyjechałem do Niemiec i zobaczyłem, jak niewiele odbywa się tu ukraińskich koncertów i festiwali w porównaniu z rosyjskimi, byłem zszokowany. Spoglądasz na repertuar oper i teatrów, a tam wszędzie Czechow, Czajkowski, Dostojewski, Prokofiew – instytucje są wypchane po brzegi rosyjską kulturą. Ukraina w tych programach pojawia się incydentalnie.

Teraz to się zmienia.

Moim zdaniem ta kwestia wymaga wsparcia ukraińskiego Ministerstwa Kultury. Należałoby zdobyć zewnętrzne finansowanie i rozesłać naszych artystów po Europie. Niech oni tam występują, pokazują swoją sztukę i budują świadomość naszej kultury. Bo ta wojna w bardzo dużym stopniu dotyczy właśnie jej. Im lepiej Zachód zrozumie, czym jest ukraińska kultura, tym bardziej będzie nas wspierał. Im pełniej ją przyswoi, tym szybciej odrzuci narrację o „bratnich narodach”. Właśnie ta narracja jest dziś wielkim kulturowym problemem Ukrainy.



Czy widząc nazwy tych wszystkich opiniotwórczych mediów, które informowały o Waszym występie, choć przez chwilę pomyślałeś, co to może oznaczać dla Ciebie i Twojej dalszej kariery?

Chyba zablokowałem takie uczucia. Myślałem raczej o tym, co jeszcze mogę zrobić. Jak zaprosić kogoś popularniejszego ode mnie, aby przyciągnąć jeszcze więcej medialnej uwagi dla sytuacji w na-

szym kraju. Dzięki niej mogliśmy pozyskać finansowe wsparcie dla naszej armii. I to właśnie były te radosne chwile: kiedy słuchacz pisał do nas, że właśnie kupił kamizelkę kuloodporną dla ukraińskich żołnierzy.

Oprócz zbierania środków za sprawą podobnych występów, pokazywaliście światu, że Ukraina ma własną, żywotną, interesującą

⇒ **Czy tam na dole, w schronie, kiedy zacząłeś grać, coś się zmieniło?**
Rzeczywiście, coś kliknęło, przeskoczyło. Nagle poczułem się tak, jakbym po prostu dawał koncert. Ciekawe, bo podczas prób w ogóle nie mogłem się skoncentrować na graniu.

„Muzyka Heinaliego w cudowny sposób wypełnia przestrzeń schronów, przemieniając je w święte rzymskie katakumby”.

To słowa Tatiany Wołoszyny, kuratorki sztuki, która pomagała nam w organizacji koncertu. Myślę, że to najpiękniejsza recenzja, jaką kiedykolwiek dostałem.

Pytałem o tę przemianę, bo siła muzyki polega również na tym, że ludzie znajdują w niej oparcie i otuchę w trudnych czasach.

Nie wiem, z czego to wynika, ale wciąż nie radzę sobie ze słuchaniem muzyki. Przed wojną każdego dnia odkrywałem co najmniej jeden nowy album. Byłem naprawdę zagorzałym fanem. Od 24 lutego przesłuchałem może trzy, cztery płyty. Rolę, o której wspominasz, pełni teraz dla mnie literatura. Pamiętam jedną absurdalną sytuację, która przytrafiła mi się we Lwowie. Byłem akurat w supermarkecie, kiedy rozległ się alarm bombowy. Sklep został natychmiast zamknięty, a my – skierowani na zaplecze, gdzie mieliśmy poczekać, aż sytuacja się uspokoi. Przez dwie godziny stałem więc przy długim rzędzie lodówek z mięsem. Tak się złożyło, że w torbie miałem „Opowieści kanterberyjskie”. Wspaniale się czytało w tych okolicznościach. Myślę, że Chaucer byłby zaskoczony, gdyby się dowiedział, że w XXI wieku podczas wojny w Ukrainie ktoś studiuje jego opowieści na tyłach supermarketu, czekając, aż minie alarm bombowy. Zabawne doświadczenie, w jakiś przedziwny sposób podnoszące na duchu.

Muzyka dawna w swoją istotę ma wpisana obietnicę pewnej tajemnicy, której nigdy nie uda się wyjaśnić.

Wiesz, że coś tam jest, ale nigdy nie rozwiążesz tej zagadki.

Skoro pojawił się temat średniowiecznej literatury, to zostaniemy jeszcze na chwilę w odległej przeszłości. Czy fascynacja muzyką dawną i – idąc dalej – światem, który ma tak niewiele wspólnego z dzisiejszym, pozwala na, choćby chwilową, ucieczkę od współczesności?

To tak nie działa. We wrześniu ubiegłego roku na festiwalu w Utrechcie występował Graindelavoix – mój ulubiony zespół wokalny wykonujący muzykę dawną. Pierwszy raz miałem okazję posłuchać ich na żywo. Wykonywali dzieła Josquina Despreza, który przez ostatnie dziesięć lat swojego życia pisał lamente i elegie, ale sam jakoś wciąż nie umierał. Kiedy ich słuchałem, czułem, jakby wszystkie moje doświadczenia nabrały abstrakcyjnego, symbolicznego charakteru i zaczęły prowadzić ze mną dialog ze sceny. Poprzez lamente Despreza i muzykę Graindelavoix zaczęło ze mną rozmawiać wszystko, czego doświadczyłem od początku wojny. Nie wiem, jak to się stało, ale się stało.

Szesnastowieczny kompozytor?

Tak! Żadna inna muzyka, żaden inny kompozytor nie zabrał mnie w takie miejsce. Minęło pół tysiąca lat, odkąd Josquin pisał te utwory: zmienił się kontekst, najpewniej nie ma tu żadnej bezpośredniej relacji... A z drugiej strony to było najbardziej bezpośrednio, trudne i niezwykle doświadczenie koncertowe mojego życia. Muzyka dawna nie jest szczęśliwą krainą, w której mogę się schować. To był przecież czas wojen, epidemii, głodu. Świat tak bardzo się nie zmienił.

W rezultacie wojny w Ukrainie wyłądowałeś w miejscu będącym kiedyś sceną dla muzyki, którą się zajmujesz.

Obecnie mieszkam niedaleko Bingen. Jedną z moich ulubionych średniowiecznych kompozytorek jest Hildegarda z Bingen, więc pójdę do muzeum, w którym znajduje się poświęcona jej wystawa.

Miewasz czasem rozterki, czy powinieneś pozwalać sobie na takie codzienne przyjemności?

Ciągle się to zdarza. Teraz tak wiele wystaw i koncertów wydaje mi się zupełnie nieistotnych. Dotyczy to zwłaszcza sztuki współczesnej. Trochę inaczej jest ze sztuką średniowieczną czy renesansową – paradoksalnie odnajduję tam punkty wspólne z naszym światem. Może chodzi o duchowy wymiar tej twórczości, który jest w niej nie tylko obecny, ale też wyraźnie artykułowany? Muzyka dawna ma wpisana w swoją istotę obietnicę pewnej tajemnicy, której nigdy nie uda się wyjaśnić. Wiesz, że coś tam jest, ale nigdy nie rozwiążesz tej zagadki. Co przypomina mi o jednym wspaniałym muzycznym doświadczeniu, które przytrafiło mi się na początku wojny.

Opowiedz o nim.

Zaraz po tym, jak ewakuowałem rodziców, trafiłem na kilka dni do Użhorodu. Stamtąd miałem ruszyć pociągiem do Lwowa, ale kiedy dotarłem na dworzec, zaczynała się już godzina policyjna. Musiałem więc spędzić na nim całą noc. Bardzo chciało mi się spać, ale dworzec był totalnie załadowany ludźmi. Wszyscy byliśmy w takiej samej sytuacji – utknęliśmy na tę jedną noc w Użhorodzie. Nie było nawet miejsca, żeby usiąść. Pomyślałem, że muzyka pozwoli mi nie zasnąć. Włączyłem sobie Ensemble Organum i ich wykonanie Mszy Notre Dame autorstwa Guillaume'a de Machaut. Kiedy tylko zacząłem jej słuchać, całe miejsce się odmieniło. Nagle dworzec kolejowy w Użhorodzie stał się katedrą, a wszyscy ludzie stojący wokół wydawali się uczestniczyć ze mną w tej średniowiecznej mszy. Trwało to moment, ale była to absolutnie magiczna przemiana.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

Autor jest redaktorem działu muzycznego portalu Dwutygodnik.com

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

W Sądzie Rejonowym w Tarnowie Wydział I Cywilny toczy się do sygn. akt I Ns 1458/22 sprawa z wniosku Zofii Wilk o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na rzecz Zofii Wilk i Zygmunta Wilka na prawach wspólności majątkowej małżeńskiej z dniem 05.10.2004 roku prawa własności nieruchomości położonej w miejscowości Breń, gm. Lisia Góra, składającej się z działki ewidencyjnej nr 369 o pow. 0,64 ha, objętej LWH 360 gminy katastralnej Kobierzyn. Posiadaczem tej nieruchomości są obecnie małżonkowie Zofia i Zygmunt Wilk.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności zaś ewentualnych następców prawnych hipotecznych właścicieli gruntu stanowiącego przedmiot sprawy, tj. Tekli Libirtówny, Jana Libirta, Agaty Żaba, aby w ciągu 3 miesięcy od chwili ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie przy ul. Dąbrowskiego 27 w Wydziale I Cywilnym, zgłosili się do udziału w postępowaniu i udowodnili swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Tarnowie Wydział I Cywilny toczy się do sygn. akt I Ns 89/23 sprawa z wniosku Gminy Miasta Tarnowa o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Nabożnej, zm. 9 lipca 2012 r. w Tarnowie i tu ostatnio przed śmiercią stale zamieszkała (ul. ks. S. Indyka 3).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności zaś ewentualnych spadkobierców ustawowych lub testamentowych spadkodawczyni, aby w ciągu 3 miesięcy od chwili ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie przy ul. Dąbrowskiego 27 w Wydziale I Cywilnym, zgłosili się do udziału w postępowaniu i udowodnili nabycie praw do spadku z ustawy lub testamentu pod rygorem pominięcia w postanowieniu spadkowym.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 399/22 toczy się postępowanie o zasiedzenie z dniem 9 sierpnia 1999 r. zabudowanej działki nr 28 (poprzedni nr 33) we wsi Barcząca, gm. Mińsk Mazowiecki, przy ul. Świtez 6, na rzecz Mirosława Bociana.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, w szczególności Hanna Ananiewicz i Weronika Chrzanowska albo ich spadkobiercy, w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 125/21 toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Miotły o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności udziału 2/3 w wydzielonej części nieruchomości położonej w gminie Opole Lubelskie, obręb 04-OPOLE LUBELSKIE, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 678 o pow. 0,1269 ha, która objęta jest księgą wieczystą nr LU10/00014406/1.

Sąd wzywa wszystkich, którzy roszczą sobie prawa do ww. nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali swoje prawa, albowiem w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie jej własności zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach toczy się pod sygn. akt I Ns 596/21 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po:

- Marii Kubicy z d. Sokołowskiej, c. Józefa i Urszuli, ur. 26 września 1926 r. w Lubaczowie, zm. 24 czerwca 1990 r. w Gliwicach, gdzie ostatnio stale zamieszkiwała.
- Andrzeju Kubicy, s. Michała i Marii, ur. 14 czerwca 1954 r. w Bytomiu, zm. 10 marca 2021 r. w Gliwicach, gdzie ostatnio stale zamieszkiwał.

W skład spadku wchodzi spółdzielcze własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Gliwicach przy ul. Kozielskiej, a znajdującego się w zasobach SM „Zachodnia” w Gliwicach.

Sąd wzywa spadkobierców Marii Kubicy i Andrzeja Kubicy, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do niniejszego postępowania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygn. akt I Ns 332/22 postępowanie z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej Lokatorsko-Własnościowej w Jarocinie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Zielonym, zm. 12 maja 2022 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi własnościowe spółdzielcze prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Ostródzie I Wydziale Cywilnym za sygn. akt. I Ns 475/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Eugeniuszu Kwaśnym, s. Tadeusza i Frydy, zm. 11 kwietnia 2011 r. w Barczewie, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Wyżnicach.

Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygn. akt I Ns 472/22 postępowanie z wniosku Starosty Powiatowego w Jarocinie o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Tarcach, oznaczonej geodezyjnie: – jako działka 156/3 arkusz mapy 3, o pow. 0,56,13 ha, – jako działka 156/4 arkusz mapy 3, o pow. 0,24,92 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Czador i podszewka

ANITA PIOTROWSKA

Większość scen „Holy Spider” rozgrywa się w mrocznej szarej strefie, w której każda kobieta bez czadoru jest potencjalną prostytutką, podczas gdy oprawca z dnia na dzień zamienia się w bohatera.

TO DLA IMAMA REZY” – POWTARZA Said, seryjny kobietobójca z Mszhedu, świętego miasta szyckiego islamu. Najczęściej dusi swe ofiary za pomocą ich własnych chust, wiązanych potem w podwójny supeł. I nie jest to przypadek. W ten sposób pobożny mężczyzna wykonuje fatwę na „upadłych” niewiastach, a te, jak wiadomo, lubią odsłaniać włosy. Przy okazji zabójca „oczyszcza” miasto słynące z okazałego sanktuarium i od wieków odwiedzane przez pątników. Jednakże główna bohaterka o nazwisku Rahimi nie przyjeżdża tu ani na pielgrzymkę, ani do pracy na ulicy. Teherańska dziennikarka chciałaby osobiście zbadać sprawę „Pajaka”, traktowaną zbyt opieszale przez lokalne media i organy ścigania. Tak, po szokującym prologu, rozpoczyna się „Holy Spider”, który sięgając po fakty z początku XXI wieku (szesnaście morderstw w niespełna rok) i po akcesoria rodem ze śledczego thrillera, portretuje religijne społeczeństwo zainfekowane nienawiścią do kobiet.

Bo w filmie Alego Abbasiego nie chodzi o pojedynczy przypadek kliniczny, lecz o zbiorowy stan umysłu. Said (w tej roli Mehdi Bajestani) to pozornie zwyczajny mąż i ojciec, pracownik budowlany i weteran wojny z Irakiem. Tyle że zamiast leczyć PTSD, katuje się faktem, iż nie było mu dane zostać męczennikiem. Nie uderza w system czy jego głównych beneficjentów, lecz w ofiary: samotne, żyjące w nędzy kobiety, zepchnięte na margines

tak odległy, że nikt po ich śmierci nawet nie zapłaci. Raczej przyklasną zabójcy za to, że w ich imieniu i ku chwale Allaha „odwala całą robotę”.

Skandynawski reżyser patrzy na swój kraj pochodzenia oczami kobiety. Tej z zewnątrz – wykształconej, samodzielnej, z wielkiego miasta – ale doświadczonej na własnej skórze, czym jest antykobieca kultura przemocy. Najpierw w stołecznej redakcji, skąd Rahimi została zwolniona, odrzuciwszy awanse szefa, potem w Mszhedzie, gdzie musi zmagać się z tym samym ze strony nachalnego stróża prawa. Zanim dostanie jednoosobowy pokój w hotelu, także dozna upokorzenia – milicja obyczajowa ma na oku niezamężne kobiety. Wreszcie, żeby poznać bliżej aktywność „Pajaka”, reporterka podejmuje ryzykowną wcieleniówkę: nakłada ostry makijaż i rusza samotnie w noc. Nie będzie to jej jedyne przebranie, bo na rozmowę z sędzią założy, dla odmiany, ciemny czador, zakrywający całe ciało. Zresztą taki sam strój morderca każe przywdziać swojej ofierze, by ukryć ją przed wścibskim okiem sąsiadów. W tym świecie bowiem królują przebieranki i Abbasi non stop obnaża jego brudną podszewkę. A większość scen rozgrywa się w mrocznej szarej strefie, w której każda kobieta bez czadoru jest potencjalną prostytutką, podczas gdy oprawca z dnia na dzień zamienia się w bohatera. Co gorsza, rychło może doczekać się naśladowców.

Dwadzieścia lat temu, czyli niedługo po wydarzeniach w Mszhedzie, uchwycił te nastroje Maziar Bahari, opozycyjny dziennikarz i filmowiec przebywający na emigracji. Jako korespondent nakręcił w Iranie telewizyjny dokument „And Along Came a Spider” („I wtedy przyszedł Pajak”), zawierający rozmowy z zabójcą i jego rodziną. Już w tamtym filmie udało się zarejestrować patologiczny kult mordercy w hierokratycznym państwie. Abbasi wpisuje te obserwacje w pełnokrwistą, trzymającą za gardło kino, które za nic ma jakąkolwiek cenzurę, zarówno w scenach przemocy, jak i seksu. Dlatego „Holy Spider” żadną miarą w dzisiejszym Iranie by nie powstał. Choć mówiony w farsy, z konieczności kręcony był w Jordanii, całość jest koprodukcją europejską, a grająca dziennikarkę Zar Amir Ebrahimi, nagrodzona za tę rolę w Cannes, to w ojczyźnie postać wyklęta, kiedyś z powodu wyciekłej do internetu sekstaśmy, teraz zaś na skutek mocno dysydenckiej postawy. Aczkolwiek oglądając kolejne kobietobójstwo, filmowane ze szczegółami i niemal w czasie rzeczywistym, można się spierać, na ile tak drastyczne sceny uwarżliwiają, na ile żerują.

W kraju ajatollahów cenzorskie nożyce mogłyby też nie przepuścić oskarżycielskiej wymowy filmu. Said to nie tylko zwyrodnialec i nawiedzony atencjusz, lecz i żywy symbol religijno-politycznego zakłamania. Był przydatny, dopóki po cichu odchwaszczał miejską



GUTK FLM



HOLY SPIDER

– reż. Ali Abbasi.

Prod. Dania/Niemcy/
/Szwecja/Francja 2022.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach od 3 marca.

Ali Abbasi urodził się
w 1981 r. w Teheranie.
Jako student
wyemigrował do Szwecji,
dziś mieszka w Danii.
Po niezbyt udanym
debiucie „Shelley”
(2016) zabłysnął filmem
„Granica” (2018), body
horrorem zanurzonym
w skandynawskiej
mitologii i nagrodzonym
na festiwalu w Cannes.
Prócz sukcesu
„Holy Spidera” ma na
koncie reżyserię dwóch
ostatnich odcinków
serialu „The Last of Us”
dla HBO Max.

przestrzeń; stał się niebezpieczny, kiedy publicznie i na całego wszedł w buty bożego szaleńca. Z jego procesu zrobiono pokazówkę i wcale nie to jest w tej opowieści najstraszniejsze. Prawdziwe mdłości wywołuje atmosfera narosła wokół postaci Saïda, kiedy z pająka przeistacza się w istną hydrę. W dodatku dużo starszą niż islamska rewolucja. Niedawno Mania Akbari, mieszkająca w Londynie dokumentalistka, znana również ze swych oskarżeń pod adresem Abbasa Kiarostamiego, który miał ją przed laty napaść seksualnie, nakręciła esej o irańskim kinie sprzed 1979 roku. Z montażu kilkudziesięciu filmowych fragmentów wyłania się porażający obraz poniewierania kobietami i błedną przy nim zachodnie ekrany tamtych czasów. W „Holy Spider” widać dobrze, jak po wprowadzeniu w Iranie obyczajowych represji cała ta, również ekranowa, brutalność spłynęła do podziemia i zgęstniała. Ponieważ tamtejsze kino próbuje ją wypierać, film o „Pająku” może wywoływać pewien dysonans. Z jednej strony mamy czadory i szyickie świątynie, z drugiej – dręczone kobiece ciała i najciemniejsze strony miasta.

Podczas gdy filmy produkowane w Islamskiej Republice zaczynają się od wyznania wiary, Abbasi jako motto wybrał cytát z kazań Imama Alego – niekoniecznie w antyreligijnych zamiarach, choć zapewne ironicznie. Nie zmienia to faktu, że ten duszny dreszczowiec, z dudniącą muzyką, jakiej nie powstydziłby się Bernard Herrmann, rozpoznaje w religijnej dyktaturze samoreprodukcją się pajęczynę. Czytany z perspektywy dzisiejszych wydarzeń na irańskiej ulicy, pozostawia nas, mimo zamknięcia tamtej sprawy, z zakończeniem niepokojąco otwartym.

Nadzieję znajdziemy przynajmniej na filmowym plakacie. Wygląda niczym modlitewny dywanik czy może perski dywan, w jaki „Pająk” zawinał ongiś jedną ze swych ofiar. Utkano na nim twarz kobiety w chuście – wyzywająco umalowaną, z buńczucznie wystawionym językiem. ©

Lektor: Rytuał



■ Marc Bloch **KRÓLOWIE CUDOTWÓRCY. STUDIUM O NADPRZYRODZONYM CHARAKTERZE PRZYPISYWANYM WŁADZY KRÓLEWSKIEJ ZWŁASZCZA WE FRANCJI I W ANGLII**, przełożył Jan Maria Kłoczowski, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2023, ss. 540.

„RĘCE KRÓLA MAJĄ MOC UZDRAWIANIA” – MÓWI w „Powrocie króla” stara Joreth i rzeczywiście Aragorn, dziedzic władców Gondoru, jeszcze przed koronacją leczy ofiary cienia Saurona. Tolkien, znawca średniowiecza, wiedział oczywiście, że wiara Joreth podzielana była kiedyś w Europie. Tyle że chodziło o konkretną dolegliwość: skrofule, czyli ropne zapalenie węzłów chłonnych na szyi, zapewne na tle gruźliczym.

Wielki historyk francuski Marc Bloch, autor „Społeczeństwa feudalnego” (1940), współtwórca czasopisma „Annales” i patron szkoły historycznej wokół niego skupionej, zamordowany w 1944 r. przez nazistów, zjawisku wiary w cudotwórczą moc monarchów poświęcił monografię wydaną w 1924 r. To fascynujące i pionierskie dzieło nie było dotąd u nas tłumaczone. Obejmuje kilka wieków z dziejów Francji i Anglii, gdyż rytuał leczniczego dotykania skrofulew przetrwał (mimo głosów sceptyków) do XVIII wieku, a w XVII-wiecznej monarchii francuskiej należał do ceremonii szczególnie uroczystych. Jeszcze król Karol X w 1825 r., choć niechętnie, ugiął się przed tradycją. „Ta ostatnia – pisze Bloch – tak nieśmiała i z niewielkim entuzjazmem przyjęta próba wskrzeszenia chwały cudu królewskiego jest najlepszym świadectwem definitywnego upadku dawnej wiary w monarchię”.

Bo przecież w przypadku tego osobliwego zwyczaju chodzi o splendor władzy. Sięgnąć trzeba do źródeł sakralnego charakteru przypisywanego godności królewskiej i do roli rytuału namaszczenia. Poznać inne odmiany legendy o szczególnych mocach królów – a także na przykład siódmych synów (chodzi o ostatnie z ciągu siedmiu dzieci płci męskiej). Siódemka to liczba magiczna – magiczne źródła miał również związany z Wielkim Piątkiem angielski rytuał wytwarzania pierścieni uzdrawiających (*cramp-rings*). Za patrona leczenia skrofulew uznano we Francji św. Marcoula (Markulfa), żyjącego w VI wieku – stąd pielgrzymki, także królewskie, do jego relikwii...

Jacques Le Goff opatrzył dzieło mistrza obszernym wstępem, przypominając historię jego powstania, czasem rewidując jego tezy. I podkreślając, że dzięki „Królom cudotwórcom” Bloch stał się ojcem antropologii historycznej. ©

OLGA

Drenda: *Walcem po serku*



„DOBRE, ŻE WYCOFALI TEN SEREK WANILIOWY. I tak go nie kupowałem” – gdybym miała wybrać mój ulubiony typ wypowiedzi w internecie, stawiałabym właśnie na ten. „Dobrze, że zamknęli ten supermarket, bo tam nie chodziłam”, „Dobrze, że już nie wydają tego miesięcznika, nawet nie wiedziałam, że dalej wychodził”, „I tak tam nie kupowałem. Można wyburzać” (o targowisku). Jest to oczywiście typ ulubiony, lecz z dużym przekąsem, bo też takiego sposobu myślenia nie podzielam, choć uważam, że mówi o wypowiadającym coś ważnego. Zdarza mi się przytaczać takie wypatrzone wcześniej słowa i za każdym razem wpadam w śmiech. Trudno powiedzieć, co mnie tak bawi, zdumiewa, a jednocześnie co uważam za najbardziej trafione: poczucie nieomyślności, zdradzenie się z całkowitym brakiem skrępułów w czuciu się pępkiem świata, a może jakaś słabo skrywana przyjemność destrukcji, rozjeżdżania walcem. To coś, co przez wypsunięcie ujawnia jakąś brzydką prawdę.

O tym rozjeżdżaniu walcem serków waniliowych pomyślałam odruchowo, gdy dowiedziałam się o istnieniu deinfluencerów. Po polsku moglibyśmy nazwać ich zniechęcającami. To użytkownicy TikToka, którzy odradzają kosztowne zakupy, kiedy można zastąpić je czymś równie dobrym, a tańszym, albo informują, jakim produktem towarzyszy niezasłużona renoma. Kultowe produkty do stylizacji włosów, makijażu, pielęgnacji (bo TikTok kocha modę i urodę) są poddawane weryfikacji bez ogródek – de-

influencerzy pokazują, na co ich zdaniem nie ma potrzeby wydawać pieniędzy, choć podobno „tysiące użytkowników nie mogą się mylić”.

Samo w sobie zjawisko to ma wiele pożytecznych stron, przede wszystkim – odwołuje się do rozsądku potencjalnych klientów. Oglądanie deinfluencerów uruchamia przy okazji przyjemne poczucie satysfakcji: oho, Polacy byli już tu wcześniej. Trochę przemawia przeze mnie doświadczenie pokolenia, bo „mniej więcej to samo, lecz za mniejsze pieniądze” pamiętam jako podstawową strategię radzenia sobie w świecie. Nie chodzi bowiem o to, żeby szczyścić się życiem w ascezie, lecz o oszczędny luksus i o to, by korzystać z przyjemności, tylko bez przepłacania. Zwłaszcza w dziedzinie mody i urody – tu TikTok nie różni się tak bardzo od tego, co dawno temu zalecała Barbara Hoff, a 10-15 lat temu chyba cała prasa kolorowa świadoma możliwości nabywczyczy Polek (przy jednoczesnym uszanowaniu wcale nie błahej potrzeby bycia modną).

Zdaje sobie jednak sprawę, że trudno zatrzymać się na samej budującej zaradności. Mamy bowiem inną popularną (choć chyba ostatnimi czasy na szczęście mniej spotykaną) cechę, mianowicie skłonność do malkontenctwa i braku umiaru w marudzeniu. Bywa ona irytująca, bo nie wiadomo, czy rozmówczyni utyskująca np. na „beznadziejny” film naprawdę tak uważa, czy film był po prostu taki sobie, a ona lubi sobie nieco udratyzować życie. Wysłuchawszy jednak w życiu wystarczająco wielu tego rodzaju słów, oczami wyobraźni szybko ujrzałam całe potencjalne uniwersum deinfluencerów po polsku: nie tylko ludzi, którzy coś łagodnie odradzają i sugerują, że lepiej zainwestować w coś innego. To za mało! Gdyby ten internetowy format stworzył fuzję z żywiołem malkontenctwa, mielibyśmy treści o tym, że produkt X jest naprawdę BEZNADZIEJNY, a ten, kto wierzył w jego działanie, musi być FRAJEREM. Arcymistrzami takiej wyrafinowanej kalumni byłiby ci zniechęcający do produktów, których sami nie wypróbowali, ale już dobrze wiedzą, że są one do bani i należy je wycofać.

Zamiast wchodzić w daremną polemikę z takimi wypowiedziami, wolę spojrzeć na nie jak na gatunek literatury potocznej. Etnolog Piotr Kędziorek dawno temu opublikował pracę „Chłopskie zrządzenie”, gdzie stawiał tezę, że narzekanie czy choćby krzyczenie do telewizora to utarta formuła wypowiedzi – przejaw światopoglądu, w którym człowiek ma nikły wpływ na własne życie, a to nieuchronnie dąży ku gorszemu. Jakim gatunkiem byłyby więc malkontenckie zaklęcia, negatywne epistoły, wyrazy wrednej satysfakcji z wycofania i tak niekupowanego serka, małe fantazje o charakterze dyktatorskim („ten program jest głupi, powinni go zabronić”)? Nie sympatyzując z nimi w najmniejszym stopniu (ten, kto szkaluje serek, nie będzie mi przyjacielem), myślę o nich jako o rodzaju magicznej formuły, dającej mały, paskudny, szkodliwy, ale jednak wpływ na świat. Coś jak w dawnych baśniach krasnoludki sikające do mleka.

©

Serek
uhonorowany
w Radomiu
(pomnik jest
wielkości
serka)



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Z dziejów makaronu



TALIZMAN SZCZĘŚCIA – KAŻDY I KAŻDA Z WAS zna odpowiedź, czym to coś jest, o ile ktoś byłby na tyle bezczelny, żeby zadawać wam tak intymne pytanie. Ale jest też za górami naród, dla którego sprawa jest od stu lat rozbrajająco prosta i najzupełniej

publiczna. Prawie każdej włoskiej pannie młodej wręcza się jako ślubny prezent kolosalną, ponad tysiącstronicową książkę kucharską o tym tytule. Jedną z zaledwie kilku, które w tym opętanym regionalizmem kraju mogą pretendować do miana wzorcowej (w dowolnym sondażu zebrałyby na pewno większe poparcie niż jakakolwiek partia u szczytu swojej potęgi). Cóż, znaczna część społeczeństwa nie ma najmniejszego problemu z identyczną jak u progu nowoczesności mapą ośrodków nagrody w mózgu kobiety i mężczyzny, o czym świadczy dowodnie statystyka sprzedaży tej ciągle wznawianej pozycji, notująca znaczny skok na wiosnę, kiedy też następuje spiętrzenie ślubów.

Ale za to ślubów jest z dekady na dekadę coraz mniej, mogłaby zauważyć osoba skłonna widzieć raczej społeczne przemiany niż trwanie. Czy jednak w związku nieformalnym o dowolnej kombinacji płciowej lub gospodarstwach jednoosobowych dobrze przygotowany obiad traci na znaczeniu? Wątpię. Ale faktem jest, że w niezmiennych ramach włoskiego zafiksowania na kuchni dzieją się niesłychane ewolucje, w sumie nawet dość szybkie, tyle że nieuświadamiane. Z wierzchu mamy zaś dla niepoznaki nieustanne gadanie o tradycji. Ta recepta na konserwatywny postęp sprawdza się w wielu innych dziedzinach obyczajów.

O czym przekonuje choćby lektura „Historii makaronu w dziesięciu daniach” Luki Cesariego. Książka erudycyjna, ale z werwą napisana, pełna pysznych cytatów z receptur i zbiorów przepisów sprzed stuleci (ich przekład, stylizowany nie zawsze fortunnie na staropolszczyznę, jest bodaj jedynym mankamentem polskiego wydania). Nawet u czytelnika jako tako oswojonego z wieczną zmiennością techniki, estetyki oraz społecznych kontekstów potraw budzi zawrót głowy. Oczywiście dla nas kombinacja makaronu z sosem i uzyskanie przezeń statusu pełnoprawnego ciepłego dania to proces zauważalny dopiero w połowie XIX wieku, kiedy to, co prywatne, „domowe”, żywe w przekazie ustnym, staje się powoli również publiczne, czyli „wysokie”, godne rozkolportowania drukiem. Albowiem z całym szacunkiem dla książek nadwornych kuchmistrzów, w dziedzinie gotowania zakle-

tego w tekst robi się dopiero ciekawie, gdy na front wychodzi kuchnia niekoniecznie całkiem „uboga”, ale jednak niższa, nieostentacyjna, raczej miejska niż dworska.

To w jej ramach doszło do rozmycia się w trakcie XVIII w. wzorca klusek z byle czym – najczęściej był to ser i prosta omasta albo w najlepszym razie sos spod wczorajszej pieczeni – jako prostego zapychacza brzucha. Śledząc fascynujące postępy nowego dania będącego przodkiem dzisiejszego sosu bolońskiego widzimy, jak XIX-wieczni Włosi wzięli makaron na serio, jako niezbywalny element kulinarnego zadowolenia i ambitnych poszukiwań. Co nie znaczy, że dziś lubilibyśmy jeść go w ten sam sposób, większość ówczesnych zbiorów kazała go gotować pół godziny, a nawet i dłużej. A pesto genueńskie, do którego dziś puryści pozwalają dawać jedynie bazylię, i to koniecznie wyrosłą w Ligurii, bo inaczej to haniebna podróbka, przewidywało bez skrępowania jeszcze sto lat temu natkę pietruszki i majeranek.

Zręczność pisarską Cesariego widać, gdy zabiera się za ocisywanie mgły, czyli próbę rzetelnego opisu carbonary. Ten sos (a raczej sposób omaszczania) pojawił się w trakcie ostatnich parudziesięciu lat nie wiadomo jak i skąd, wciąż nie ma jasnych granic zwłaszcza co do składników, np. nieszczęsnej i moim zdaniem psującej cały efekt śmietany.

W audycji „Droga przez mękę” Łukasz Modelski sprowokował niedawno Tessę Capponi-Borawską, by dyskutując o „Historii makaronu” wyznała, iż zdarza jej się dodać śmietany. Jestem w kropce. Moja tolerancja dla tego, jak kto sobie chce zepsuć obiad, jest ogromna i obejmuje nawet keczup na pizzy, ale tutaj kark mi się usztywnia. Mam jednak czołobitny stosunek dla wielkich zasług Tessy w krzewieniu dobrych obyczajów, jest prawdziwą księżniczką naszych podniebień. Dlatego utnę te dywagacje: Tessie wszystko wolno. Ale nam, śmiertelnym, od śmietany wara! ©

Brak umiaru ze śmietaną to typowa cecha kuchni, jaką imigranci z południa dręczą w knajpach Niemców, a także sytuacji kulinarnej w samych Włoszech dań z lat 80.,

kojarzących się z kiczem i rozbuchaną konsumpcją, które obecni 40-, 50-latkowie wspominają z pewnym rozrzwinięciem.

Oto np. bardzo modne

wówczas farfalle a' la

Gorbatchev, czyli zwykłe

kokardki z łososiem

wzbogacone o wódkę,

kłóła właśnie przeżywała

okres popularności. Na dużej

patelni topimy 40 g masła, dodajemy

pokrojonego w kostkę 100 g wędzonego

łososia, podsmażamy na średnim ogniu

minutę, rozprawdzamy 50 ml czystej

wódki, odparowujemy, zmniejszamy ogień do

minimum i powoli dolewamy, ciągle mieszając,

200 ml śmietanki 36%, dusimy jeszcze ze dwie

minuty. Przekładamy ugotowane al dente kokardki,

łączymy na ciepło, ewentualnie dodając nieco

śmietanki, posypujemy na wydaniu pieprzem.



CICHO, CIAŁO!

PATRYCJA BEREZNOWSKA, MISTRZYNI ŚWIATA W BIEGU 48-GODZINNYM:

Biegło nas dwie. Ja i jakby narratorka, która obserwowała mnie z lotu ptaka. Kiedy słabłam, ona mówiła: daj spokój, to tylko mózg wymięka. Zmęczenie to ściema. Nie istnieje.

PATRYCJA BEREZNOWSKA: Jak mnie słycać?

MAREK RABIJ: Doskonale.

Przepraszam, podczas naszej rozmowy będę tu sobie dalej pedałowac na rowerze treningowym. Ale on jest cichutki, nie będzie przeszkadzać. Lampy na pewno nie będzie słycać.

Jakiej lampy?

Za kilka dni startuję w 48-godzinny bieg na Tajwanie. Temperatura będzie dużo wyższa niż teraz w Polsce, wilgotność również, dlatego podczas treningów w domu próbuję odtworzyć, przynajmniej częściowo, warunki, jakich się spodziewam w dniu startu. Mam lampę na podczerwień, która mnie teraz od góry lekko przygrzewa.

I tak od rana? Rozmawiamy w porze, w której większość ludzi myśli o obiedzie.

Rano biegałam. 26 kilometrów w umiarkowanie szybkim tempie. Potem było rozciąganie, a teraz dołożę kilkadziesiąt kilometrów na rowerze. Wieczorem znów będę biegać, tym razem już na bieżni. Jestem na etapie bezpośrednich przygotowań do startu, kiedy przyzwyczajam organizm do znoszenia długotrwałego wysiłku.

Bo na Tajwanie będziecie biec non stop 48 godzin?

To zależy od zawodnika. Mnie w tym czasie powinny wystarczyć trzy, cztery kilkunastominutowe drzemki. Może nawet mniej. Zwycięży ten, kto w ciągu 48 godzin pokona najdłuższy dystans. Im dłużej się wypoczywa, tym mniej czasu pozostaje na bieg, ale wypoczynek poprawia wydolność i pozwala biec szybciej. Taktyka polega więc na odpowiednim żonglowaniu czasem biegu i wypoczynku.

Ile wynosi Twój rekord w biegu 48-godzinny.
403,3 kilometra.

Dodajmy, że to kobiecy rekord świata w tej kategorii. Żadnej kobiecie nie udało się dotąd przebiec w takim czasie więcej niż 400 kilometrów. W 2017 r. w Belgii ustanowiłaś też fantastyczny, pobity dopiero niedawno, kobiecy rekord świata w biegu 24-godzinny. Do równych 260 kilometrów zabrakło Ci wtedy dziewięciu metrów.

Tak. Miałam dużo frajdy z obydwu startów.

Frajdy? Jak Ty właściwie odkryłaś ultrabieganie?

Już w podstawówce zauważyłam, że przeciętnie radzę sobie w sportach zespołowych i w sprincie, błyszczę za to w biegach na dłuższym dystansie. Fascynował mnie też świat sportów ekstremalnych z tą całą narracją o pokonywaniu bólu, przekraczaniu własnych ograniczeń i walce z siłami natury. I takie tam...

Potem, już na studiach, wpadłam w świat konnych rajdów długodystansowych. Z wykształcenia jestem zootechnikiem, moją pierwszą wielką miłością były konie i zawsze chciałam mieć swojego wierzchowca. Przypadek sprawił, że trafił mi się arab czystej krwi, czyli koń, który sprawdza się świetnie w rajdach długodystansowych, rozgrywanych na dystansie od 30 do nawet 160 kilometrów. W tej dyscyplinie można jechać wierzchem, ale wolno też biec obok konia, kiedy chce się mu ulżyć. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że biega mi się w sumie przyjemniej niż jeździ. Tak zaczęłam trenować bieganie.

Mnóstwo ludzi biega, wielu marzy o maratonie, ale tylko promil dociera w tym hobby do dystansów liczonych w setkach kilometrów.

Zbieg okoliczności. Kiedyś w Janowie Podlaskim, gdzie byłam na kursie trenerskim, mieliśmy imprezę. Nazajutrz rano miał być trening. Przetańczyłam całą noc z resztą ekipą, o szóstej rano poszłam biegać, wzięłam prysznic, punktualnie o ósmej stawiałam się na zajęcia – i okazało się, że większość moich kolegów i koleżanek nie przyszła. Nie zwlekli się z łóżek. Wtedy



PATRYCJA BEREZNOWSKA

jest wielokrotną mistrzynią świata i Europy w biegach 24- i 48-godzinnych. W 2019 r. ustanowiła kobiecy rekord ultramaratonu Badwater, uważanego za najtrudniejszy bieg świata, poprawiając najlepszy żeński czas aż o półtorej godziny. Jest doktorem nauk rolniczych w dziedzinie zootechniki.

po raz pierwszy pomyślałam, że mogę mieć predyspozycje do sportów wytrzymałościowych, bo mój organizm nie potrzebuje zbyt wiele snu i bardzo dobrze znosi wysiłek. Mieszkłam wtedy w Ossowie pod Warszawą, a obok mojego domu prowadziła trasa dorocznego półmaratonu. Obserwowałam z okna biegaczy i zastanawiałam się, czy sama dałabym radę.

Skąd się wziął ostateczny impuls?

W końcu tak się tym zastanawianiem zmęczyłam, że wystartowałam – i wykręciłam czas dwie godziny i dziewięć minut. Niezły wynik jak na 33-lletnią wówczas debiutantkę biegającą od trzech miesięcy. Potem przyszła kolej na maraton. Poszło nieźle, zaczęłam więc poważnie myśleć o ultramaratonie. Właściwie to marzyłam o tym od początku biegania, ale chciałam dać

ciału czas na przygotowanie się do takiego wyzwania. W 2012 r. wystartowałam w kultowym bieszczadzkim Biegu Rzeźnika. Znajomy zaproponował, żebym wcześniej spróbowała swoich sił w biegu 12-godzinnym w Rudzie Śląskiej. No i poszło wyśmienicie, bo ze 118 kilometrami na koncie byłam trzecia wśród kobiet. Tam zrozumiałam, że ultra to mój świat. Początek przebiegłam bardzo spokojnie, żeby po 10 godzinach przyspieszyć, a ostatnie kółka biec tempem niemal sprinterskim. I do tego czułam się świetnie!

Na starcie Biegu 7 Dolin w Krynicy usłyszałam kiedyś biegacza – jak się potem okazało, zakonnika – który tłumaczył debiutującej na dystansie 100 kilometrów dziewczynie, że bieganie ultramaratonów przypomina



różaniec. Zawsze jest część radosna, czyli początkowe kilometry, kiedy człowieka jeszcze rozsadza energia, ale potem przychodzi czas na część bolesną – czyli walkę ze słabością. A na koniec część chwalebna?

Wielu biegaczy w końcówce dystansu odczuwa nagle coś na kształt zmartwychwstania. Kwadrans temu wymiotowałaś na poboczu z wyczerpania, a teraz połykasz ostatnie kilometry z lekkością, jakiej nie miałaś nawet na starcie.

Różnie z tym bywa. Mam za sobą biegi, których początek, środek i koniec wyglądały kompletnie inaczej, jeśli chodzi o moje samopoczucie. Podczas wielu najtrudniejszych startów od początku aż do mety czułam jednak wyłącznie satysfakcję. Tak było na przykład w 2019 r. na trasie Badwater. 217 km, trasa prowadząca dnem Doliny Śmierci, a potem wspinająca się wysoko w góry. Suma przewyższeń to ponad 4 kilometry, za dnia temperatury dochodzą więc do 50 stopni, ale w nocy może być przymrozek. Do tego niesiony wiatrem piasek, który wchodzi w zakamarki ciała, powodując paskudne otarcia. Mimo to od początku biegło mi się bardzo dobrze. Wręcz przyjemnie. Dopiero na ostatnich metrach przed metą dały znać o sobie problemy z oddychaniem. Myślałam, że ze zmęczenia, a to był efekt wysokości.

Utytułowany polski maratończyk Jerzy Skarżyński mówił mi kiedyś na tych łamach, że jeśli na trasie maratonu uderzasz „w ścianę”, czyli nagle doświadczasz kompletnego wyczerpania, to znaczy, że się źle przygotowałaś do startu.

Zgodzę się, jeśli mówimy tylko o dystansie maratońskim. Bo biegając ultra, trzeba być już przygotowanym, że kryzys przędzie czy później nadejdzie. Pytanie brzmi: ile razy, jak bardzo będzie dotkliwy i jak szybko minie? Nie da się przygotować fizycznie do biegu na dystansie 200 kilometrów w taki sposób, żeby uniknąć wyczerpania. Można się natomiast nauczyć znosić ten wysiłek. Lekceważyć ból. Zabawa zaczyna się zwłaszcza po 100 czy 150 kilometrach, kiedy organizm jedzie już na oparach. Powyżej pewnego progu zmęczenia biegnie się już głową, nie nogami.

To kiedy głowa włącza się w bieg u mistrzyni świata, która w ciągu doby potrafiłaby bez snu i praktycznie bez przystanków dobiec z Krakowa do Wrocławia?

Jeśli masz na myśli sytuację, kiedy podczas biegu odpływam dokąś w myślach – to nigdy. Bieganie od pewnego poziomu wiąże się już z koniecznością ustawicznego kontrolowania tempa, samopoczucia, planowania przystanków i jedzenia, a w przypadku startów ultra – również odpoczynku. Muszę też pilnować, co robią rywalki, a czasem i takich drobiazków jak



ANETA MIKULSKA

PATRYCJA BEREZNOWSKA:

W biegach ultra nie walczy się z rywalami. Pytano mnie, z kim się zmierzę na Tajwanie, ale nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie sprawdziłam nawet listy startowej. Na pętli będę ścigać głównie samą siebie.

listwy chroniące okablowanie rozłożone przy trasie biegu – bo można się o nie potknąć i zrobić sobie krzywdę. Mało to ezoteryczne, ale najlepsze rezultaty miałam właśnie na zawodach, podczas których byłam w stu procentach „tu i teraz”, skupiona wyłącznie na bieganiu. Często słyszę pytanie, czy się nie nudzę, biegając w kółko przez dobę czy dwie. A ja wtedy nie mam wolnej chwili na nudę. Muszę być ciągle skupiona na taktyce i samopoczuciu.

Ale na treningu chyba bujasz sobie czasami myślami w obłoczkach?

Trening dla określonych efektów, a żeby je wypracować, również muszę się stale kontrolować. Kiedy nie jestem na etapie bezpośrednich przygotowań do startu i biegam dla utrzymania ogólnej wydolności, lubię w trasie posłuchać podkastów. Ale na zawodach? Nie potrafiłabym się chyba skupić na treści.

A co z wewnętrznymi głosami, które podczas prawie każdego ultramaratonu szepczą, żeby dać sobie spokój?

Amator jak ja, biegający po to, żeby dowlec się do mety, w pewnym momencie słyszy diabliki: „Przecież nic się nie stanie, jeśli w tej chwili zejdziesz z trasy, rodzina wybaczy”.

Mnie bardzo motywują starty w barwach narodowych. Świadomość, że biegnę z orzełkiem na piersi, znaczy dla mnie bardzo dużo i diabliki to czasem wykorzystują, próbując zaszczerpić mi obawy, czy sprostam zadaniu. Wymagające są także starty drużynowe, kiedy wiem, że mój start idzie na konto drużyny i nie mogę zawieść. Więc diabliki nie mają ze mną lekko. Bo ja uwielbiam rutynę. Jestem też z natury osobą zdyscyplinowaną i zorganizowaną. Nawet gdy startuję treningowo w krótkim biegu gdzieś w mojej okolicy...

Przepraszam, ale muszę dopytać. Czym jest właściwie dla Ciebie „krótki bieg”?

Choćby pięć kilometrów. Oczywiście biegnę ten dystans o wiele szybciej niż te, w których się specjalizuję. Niektóre z takich startów okazują się trudniejszym doświadczeniem od maratonu, bo nigdy nie odpuszczam.

Ile kilometrów przebiegasz tygodniowo?

W tej chwili około dwustu, ale – jak już mówiłam – jestem na finiszu przygotowań do poważnego startu. Zdarza mi się na tym etapie treningu przekraczać 220 km tygodniowo. Biegam wtedy nawet dwa razy dziennie albo kumuluję długie wybiegania na weekend. Wtedy na przykład w sobotę rano startuję w biegu na dystansie pięciu kilometrów, po którym już sama dobijam do 40 kilometrów. I nazajutrz drugie 40 kilometrów. W okresie między startami zwykle schodzę do 160-170 kilometrów tygodniowo.

Codziennosc sportowca zawodowego.

Nie uważam się za zawodowca. Jestem w kadrze Polski, miewam nawet sponsorów, ale wciąż utrzymuję się z pracy w wyuczonym zawodzie zootechnika. Bieganie to mój styl życia. Mam oczywiście potrzebę rywalizacji, kocham wygrywać, ale w gruncie rzeczy liczy się dla mnie tylko to, czy w danym momencie dałam z siebie wszystko. Jeśli polecałam na sto procent i to zaowocowało rekordem świata, to oczywiście wspinałam się. Ale jeśli moje sto procent wystarczyło tylko na piąte miejsce – też będę zadowolona. Biegi ultra mają właśnie taką specyfikę. Tutaj się walczy bardziej ze sobą niż z rywalami. Pytano mnie niedawno, z kim się zmierzę na Tajwanie, i nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie sprawdziłam nawet listy startowej. Na pętli będę więc ścigać głównie samą siebie.

Na pętli?

Tak. Jedno okrążenie to 660 metrów.

Dosyć nużące, nieprawdaz?

Dlaczego? Trasa prowadzi ponoć ścieżkami malowniczego parku.

Przez 48 godzin będziesz się kręcić w kółko!

Biegi trialowe, czyli z punktu do punktu, są oczywiście ciekawsze krajobrazowo. Starty na pętli zapewniają z kolei lepszy kontakt z serwisem. Pod ręką masz swój zespół wsparcia, jedzenie, masażystów, lekarzy – gdyby zaszła taka potrzeba. Jest bezpieczniej, można się skupić na wyniku. A na samej bieżni odbywa się wielki teatr, gra nerwów i pozorów, bo stawka nie jest rozciągnięta i wszyscy się nawzajem bacznie obserwujemy. Udaję silniejszą, niż jestem, żeby zniechęcić rywala albo zmusić go do biegu ponad jego możliwości.

Coś odgrywasz sama przed sobą?

Pętla pozwala sprawdzić, czy w bieganiu lubisz samo bieganie. Bo jeśli robisz to raczej dla widoków czy kontaktu z innymi biegaczami, z którymi możesz pogadać na podejściach, wówczas z pewnością wybierzesz starty trailowe. Biegi na krótkiej pętli mogą być również dobrym miejscem debiutu dla kogoś, kto chce się po raz pierwszy zmierzyć z dystansem ultra i na przykład nie wie, jak się będzie czuć samemu w nocy w lesie lub na odludziu. Gdzie ukończyłeś swój pierwszy bieg ultra?

Nie ukończyłem. Startowałem dwa razy. Za każdym razem kolano odmawiało współpracy na mniej więcej 70. kilometrze.

I zapewne musiałeś jeszcze na tej bolącej nodze doczłapać do najbliższego punktu kontrolnego, skąd organizatorzy zawieźli cię na start. Na pętli zszedłbyś po prostu z bieżni.

Poddałbym się wcześniej, skuszony bliskością namiotów z komfortowym łóżeczkiem.

Oczywiście. Świadomość, że po każdym okrążeniu możesz komfortowo skończyć bieg, bywa niebezpieczna dla zawodnika. To część tej przebiegłej gry. Zwłaszcza pod koniec, kiedy niektórzy zasypiają na stojąco.

Ile trwał najdłuższy bieg w Twojej karierze?

Trzy doby.

A ile z tego przespaał?

Łącznie około 45 minut, ale mam wątpliwości, czy można to w ogóle nazwać snem. Zapadałam w stan dziwnej półświadomości, czuję swoje ciało, zapachy, wyraźnie słyszę rozmowy w pobliżu. W zeszłym roku, podczas startu w biegu 48-godzinnym, musiałam się położyć z powodu silnego bólu żołądka. Było mi na przemian zimno i gorąco. Wierciłam się, aż w końcu stwierdziłam, że nie ma sensu się tak dłużej męczyć. Przebrałam się i wróciłam na trasę. Myślałam, że trwało to chwilę. Okazało się, że przeleżałam tak trzy godziny.

Miewasz na trasie halucynacje?

Nie. Najbliżej nich byłam chyba podczas biegu 24-godzinnego we francuskim Albi. Miałam wtedy wrażenie, jakby biegło nas dwie. Ja i narratorka, która obserwuje mnie z lotu ptaka. Kiedy słabłam, ona mówiła: daj spokój, to tylko mózg wymięka. Zmęczenie to ściema, nie istnieje. Ostatecznie dobiegłam jako trzecia.

Większość niebiegających nazwałaby to masochizmem.

A dla mnie to życie w zgodzie z własnymi marzeniami. Uwielbiam doprowadzać się do stanu, kiedy całe moje ciało krzyczy: już nie. Wtedy głowa odpowiada: o nie, moja droga, jeszcze nie, jeszcze nie koniec. Wielki sport nie istnieje bez przekraczania własnych granic.

To jak się przekracza granice?

Trzeba kazać się ciału po prostu zamknąć. Ma siedzieć cicho i słuchać głowy. Ale głowa musi pamiętać o priorytetach. W zeszłym roku podczas mistrzostw świata w Weronie powtarzałam sobie, że mój organizm to robocik, któremu wydaję polecenia, a on nie może nie posłuchać. W pewnym momencie spojrzałam na zegarek. Do końca biegu zostało równo osiem godzin. „Dobra, czyli została jeszcze dniówka do zrobienia i potem fajrant” – pomyślałam. Byłam druga, ale ciągle przyspieszałam. W końcu udało mi się zrównać i następnie wyprzedzić prowadzącą Francuzkę. Wtedy ogarnął mnie strach, że ona również przyspieszy i odbierze mi prowadzenie. Na szczęście szybko sama siebie w myślach opieprzyłam: „To jest właśnie moment, do którego się przygotowywałam od miesięcy. Tego chciałaś, więc teraz nie panikuj”. Po kilku pętach zobaczyłam, że Francuzka płacze, i już wiedziałam, że nie będzie w stanie dotrzymać mi kroku.

Tobie nie zdarzyło się płakać?

Jeszcze nie. Ale co z tego? Mam w karierze trzy starty, które wspominam jak koszmar. Mistrzostwa Polski w Supraślu. Bieg 24-godzinny w Chinach. Pierwsza przymiarka do ultramaratonu wokół węgierskiego Balatonu. Potworne problemy żołądkowe, wymioty, dreszcze, osłabienie. Każdy z tych biegów ukończyłam. Na Węgrzech byłam druga wśród kobiet. W Chinach trzecia. W Supraślu czwarta. Sukcesem było oczywiście dotarcie do mety, ale poza zmęčeniem doskwierała mi też bezsilność. Bo zrobiliśmy wszystko jak należy, po czym szyki pomieszał nam pewnie jakiś wirus.

© Rozmawiał MAREK RABII

STANISŁAW

Mancewicz: Skonfiskowana rzeczywistość



OD LAT MNIEMAMY, ŻE NASZE ZDOLNOŚCI DO trzeźwych ocen są większe niż znakomitej większości analizujących polskie idee. Oczywiście tutejsze idee – zważmy – nie są skomplikowane. Spisywanie ich, sumowanie, rozbieranie na części, syntetyzowanie

jest zajęciem raczej rozrywkowym, miłym w kawiarni nawet takiej dla niepalących, niż dajmy na to w auli uniwersytetu.

A jednak coś nas ostatnio zaskoczyło, a jest to kolejny lęk podparty ideowo. Polskie lęki znamy, to wielki temat. Ileż to razy, idąc polną drogą, w szpalerze wierzb, czuliśmy przenikliwie mrowienie, gdy ktoś/coś nie daj Boże mruknęło w listowiu, stęknęło wstrętnie bądź zaczęło pohukiwać w mrocznej dziupli i sypać nam w oczy próchnem. Tak. To są sprawy znane każdemu od dziecka, od młodości, jakże innej niżli młodość we Francji, w Niemczech czy w Ameryce, gdzie myśl w tym wieku biegnie raczej ku miłości bliźniego, ku wielkim biznesom, kształtnym autom, ku tańcom brzucha bądź ku plażom Kalifornii, gdzie można się opalać pod wpływem niedrogich środków odrzucających. Tu jest inaczej.

Tu każdy z nas jest zgięty pod bagażem kultury i sztuki, pod garbem bolesnego dziedzictwa, tu każdy z nas jest otoczony wianuszkami duchów przodków, tu żyjemy w zaciskającej się pętli brzydko realizowanych rekonstrukcji historycznych. Realizowanych nawet w tak nieoczekiwanym miejscu jak burta pociągu osobowego, co ostatnio widzieliśmy na dworcu kolejowym w Łodzi. Stojąc na peronie, wraz z innymi pasażerami, zobaczyliśmy, że na bezszelestnie posuwającym się supernowoczesnym wagonie prędkiej kolei aglomeracyjnej są wymalowane, rzecz jasna za publiczne pieniądze, straszne plamy krwi, trupy, pobite twarze, wycelowane w nas pepeszki i lecące granaty. Nikt nie wiedział, czy ukłęknać, czy wsiadać, drzwi zamykać. Cisza owego peronu była ciszą nie-

zwykłą, świątynną jakby, godną mauzoleum. Tego nigdzie na świecie – pasażerze miły – nie uświadczysz. Tylko u nas. Warto więc pamiętać, że nie jest tu ani różowo, ani łatwo, że nasza Kraina Uśmiechu zmienia się czasem, wcale nierzadko, w Peron Horroru.

Gdzieś pomiędzy tymi miejscami, Krainą Uśmiechu i Peronem Horroru, leżą ostatnie rekonstrukcje spożywcze, prezentowane ochoczo przez polityków naszej niesłuchanej prawicy, wciąż u władzy. Każdy już chyba widział podwładnych Gospodarza, którzy zrobili sobie fotografie w czasie spożywania kosztownych potraw mięsnych w proteście przeciw nie wiadomo czemu. Nawiasem parlamentarzysta o nazwisku Mejza to, co protestacyjnie spożył, nazwał „mięchem”. Można więc rzec, że jego dieta jest po prostu „żarłem”. Jest to słownictwo zaskakująco przystające do kompletu: danie plus p. Mejza.

A więc znów mamy do czynienia z brzdąkaniem tą samą struną: brzdęk! Polaku miły, bój się. Niechaj twe życie i twoich dzieci będzie ciągłym lękiem przed wszystkim. Ale pamiętaj, że tylko p. Jaki, p. Mejza i p. Kaczyński pozwolą ci jeść do końca życia mięso (mięcho), pozwolą ci się dowolnie ubrać i przebrać, i pozwolą ci jeździć autem spalinowym.

Rzec trzeba, że ktoś spokojnie i rzeczowo, niepolsko myślący, patrzący na te wszystkie żeberka protestu z buraczkami, na mielone w Polsce i w głowie, na umysłowe golonki w piwie, które przemknęły przez naszą umęczoną ojczyznę, musi przyznać, że pomiędzy Odrą, Nysą Łużycką a Bugiem ktoś konfiskuje rzeczywistość. Pytania, ilu rodakom uda się poczuć rzeczywistości skonfiskować, ilu z nich uwierzy w zakaz jedzenia parówek, jak prędko i jak wielka będzie rzesza ludzi jedzących pierogi z mięsem w poczuciu bycia spożywcą wykłętym – to pytania zdaje się poważne. Jeszcze tydzień temu nie do wymyślenia. One ilustrują rodzaj, rozmiar i jakość tutejszości. I jest to ilustracja prawdziwa.

©

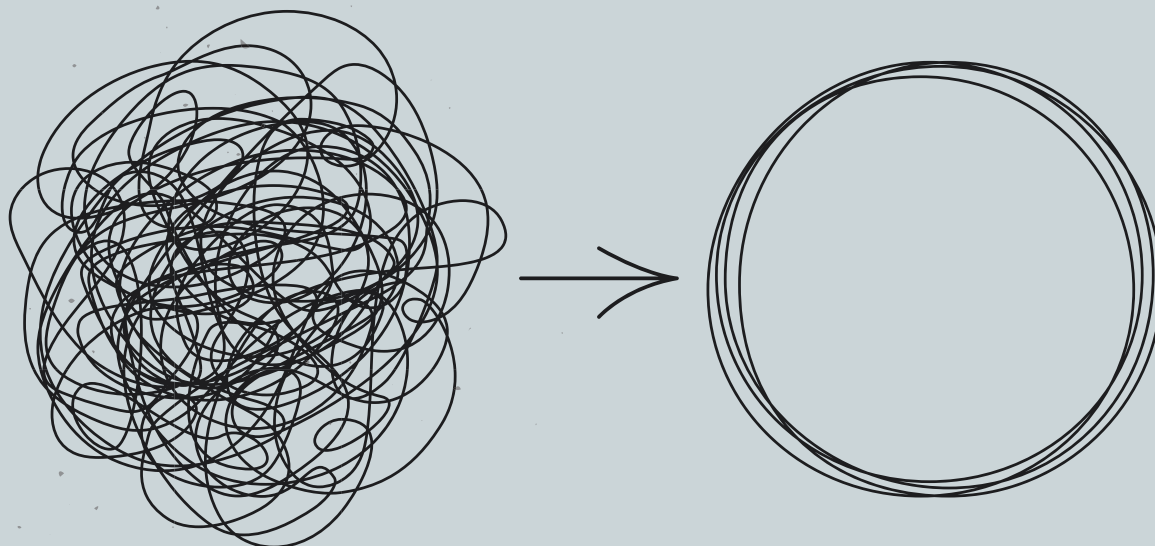
BARTOSZ MINKIEWICZ



PO WIZYJCIE PREZYDENTA USA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

najprościej



Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

**PRENUMERATĘ WYDANIA Drukowanego
można zamówić przez:**

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrz w godz. 11–15
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Chmielowski w godz. 10–14
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

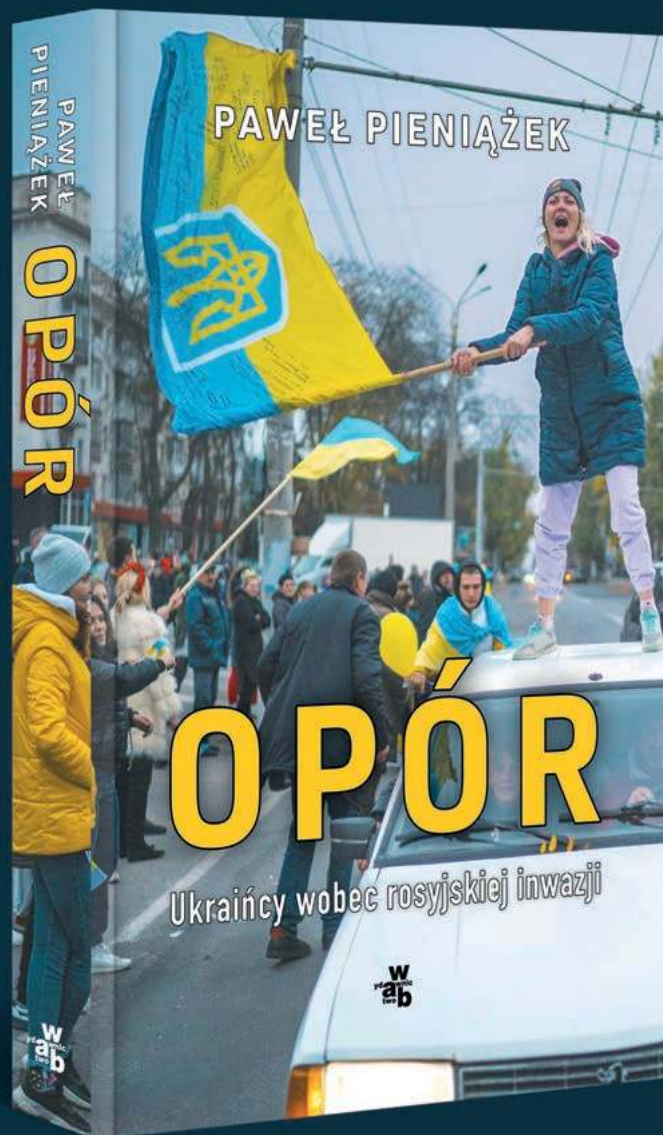
PARTNER MARKETINGOWY

SALES 
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

NOWY REPORTAŻ PAWŁA PIENIAŻKA, CENIONEGO DZIENNIKARZA I REPORTERA WOJENNEGO



RABAT 40%

z kodem: **OPOR**

w dniach 22 lutego–12 marca 2023 r.
w księgarni internetowej

www.gwfoksal.pl

Paweł Pieniążek relacjonuje wydarzenia w Ukrainie z pierwszego frontu walki, a swoją nową książkę poświęca tym, którzy w tragicznych okolicznościach, trudnych warunkach i rzucając wyzwanie strachowi, starają się ratować swój kraj.